ROZMOWA „DO RZECZY”

## Efekt Mentzena – Krzysztof Bosak o rozbijaniu duopolu PO-PiS

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY
NR 14/623 31 MARCA–6 KWIETNIA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

## Co Karol Nawrocki napisał w książce o gangsterze „Nikosiu”

## Kataster, czyli rozbój – Warzecha o podatku, którym straszą politycy

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 43 500 egzemplarzy

# MENEDŻER NIENAWIŚCI

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# PÓŁROCZNA PRENUMERATA

## TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

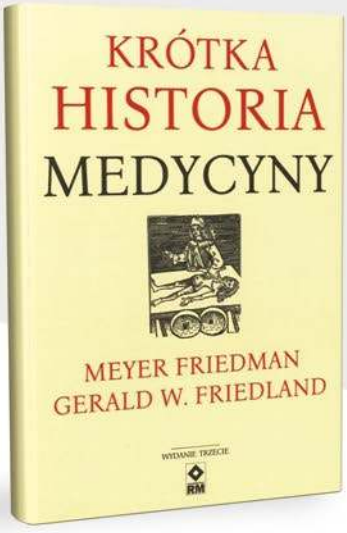


+

W PREZENCIE
**KSIĄŻKA**

MEYER FRIEDMAN, GERALD W.FRIEDLAND:
„KRÓTKA HISTORIA MEDYCYNY"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~756 ZŁ~~

**291,00 ZŁ**

OSZCZĘDNOŚĆ 465ZŁ

### CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a6f11ff05f

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

# Te przeklęte negocjacje

Obserwując ogół zachodnich, liberalnych mediów, które komentują przebieg rozmów pokojowych na Ukrainie, mam dziwne wrażenie, jakby cytowani przez nie eksperci i znawcy robili wszystko, co tylko możliwe, by udowodnić, iż muszą się one zakończyć fiaskiem. Nic dziwnego, skoro te same media i ci sami eksperci od trzech lat konsekwentnie powtarzają, że jedyną przyczyną wojny na Ukrainie są ekspansjonistyczne dążenia Kremla, że Ukraina broni Europy przed Rosją i że ta musi w końcu napaść na Europę.

Jak zatem tłumaczą oni spotkania przedstawicieli amerykańskiej administracji z Rosjanami? Większość przedstawia Donalda Trumpa i jego otoczenie trochę tak, jak dawniej pisano o dzikusach z buszu. Nie znają się, nie rozumieją, są naiwni, ulegają propagandzie, dają się wykiwać i oszukać, przejmują kremlowską narrację, są niedoświadczeni itd., itp. Ot, głuptaski, które przypadkiem dostały do ręki prawdziwe narzędzia wielkiej polityki i teraz nie wiedzą, co mają z nimi zrobić. Każde potencjalne porozumienie musi być zatem podejrzane, dwuznaczne, wątpliwe. Musi ono być, jakżeby inaczej, efektem podstępu Moskwy, która to zastawiła sidła na prostaczków z Ameryki.

Co do tego, że polityka zagraniczna USA znalazła się w ręku niedojrzałych naiwniaków, panuje pełna zgoda. Wystarczy posłuchać, co oni mówią. Jak to możliwe, że amerykański negocjator Steve Witkoff mógł powiedzieć, że wierzy Putinowi i że rosyjski prezydent nie jest niegodziwcem? Albo jak mógł uznać, że na terenie wschodniej Ukrainy mieszkają i tacy, którzy opowiadają się za Rosją? Prawdziwy negocjator powinien zacząć swoje rozmowy od jednoznacznego stwierdzenia, że uważa Putina za zbrodniarza, i zażądać, żeby ten wydał się w ręce światowego aparatu sprawiedliwości. Następnie powinien jasno zażądać natychmiastowego wycofania się wojsk rosyjskich poza granice z 2014 r. Brak takich roszczeń pokazuje całkowity brak profesjonalizmu i nic dziwnego, że tylu znawców się burzy. Nie wspomnę nawet o haniebnym wpisie innego wysłannika Donalda Trumpa, Richarda Grenella, który powiedział, że stacjonująca na Ukrainie broń atomowa była własnością Rosji.

Na szczęście mądrzy generałowie i specjaliści – ci sami, którzy wcześniej opowiadali o miażdżącej kontrofensywie Ukrainy i wieszczyli natychmiastowy rozpad Rosji – wiedzą wszystko lepiej. Rosję trzeba po prostu pokonać, rzucić na kolana, wgnieść w ziemię i doprowadzić do kapitulacji. Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w grę, bo żadne nie jest trwałe, a w i a d o m o, że za trzy lub pięć, lub dziesięć lat wojna i tak m u s i wybuchnąć.

Jedyne prawdziwe rozwiązanie polega zatem na tym, by wspierać militarnie Ukrainę, dać sobie spokój z negocjacjami i walczyć. No, może nie samemu, ale za to rękami Ukraińców jak najbardziej. Skoro są chętni, skoro prezydent Wołodymyr Zełenski i jego doradcy wierzą w wojnę, to dlaczego im utrudniać? Skoro na każdym kroku dają do zrozumienia, że gdyby ich lepiej uzbrojono, na więcej pozwolono, sami rozprawiliby się z Moskwą, to jak można tego nie popierać?

Ciekawe, że uczestnicy tego jednolitego frontu medialnego w ogóle nie odpowiadają na kluczowe pytania. Po pierwsze: Skąd wiadomo, że Rosja m u s i zaatakować Europę? Jaki miałaby osiągnąć cel? Dlaczego liczące sobie 140 mln państwo miałoby uderzyć na państwa NATO, lekko licząc zamieszkane przez ponad 800 mln mieszkańców? Dlaczego Moskwa miałaby ryzykować wojnę nuklearną z USA? W jaki sposób Rosja, która do tej pory, po trzech latach, zajęła ok. 20 proc. terytorium Ukrainy, miałaby teraz najpierw podbić resztę, a więc 80 proc., i jeszcze uderzyć na pozostałe państwa Zachodu? Jak miałaby to zrobić, skoro im bardziej na Zachód Ukrainy, z tym większym oporem miejscowych musiałaby się liczyć? Nawet Izrael, prowadzący brutalną wojnę przeciw Palestyńczykom w Gazie, używając znacznie bardziej radykalnych środków – a więc masowego bombardowania zabudowy cywilnej – nie sprawuje pełnej kontroli nad Gazą. Co na to powiedziałyby Chiny czy Turcja? Czy te pierwsze, dla których Unia Europejska jest głównym terenem ekspansji gospodarczej, patrzyłyby obojętnie na taki rosyjski atak? Czy rosnąca w siłę Turcja, członek NATO, pozostałaby bierna w przypadku rosyjskiej napaści?

Można mnożyć pytania. Im więcej się ich zadaje, tym bardziej widać, na jak kruchych podstawach zbudowany jest główny, medialny przekaz. Właściwie dostrzegam tylko jedno jego uzasadnienie: emocje. Powszechne wzbudzanie strachu przed rzekomą agresją Moskwy ma prosty cel: chodzi o to, by w ten sposób wymusić na państwach Europy rezygnację z suwerenności i przekazanie kwestii własnego bezpieczeństwa do Brukseli. Dlatego negocjacje są dla zwolenników tej idei tak niebezpieczne. Jeśli Amerykanie osiągną pokój, to czym będą nas straszyli globaliści? ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

## TEMAT TYGODNIA

**14** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**MENEDŻER NIENAWIŚCI**
O co chodzi znanemu adwokatowi

## KRAJ

**18** ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
**EFEKT MENTZENA**
Ambicje Konfederacji

**21** PIOTR SEMKA
**PLATFORMA I PIS PATRZĄ NA MENTZENA**

**24** PAWEŁ ZDZIARSKI
**CO KRYJE BIOGRAFIA ZNANEGO GANGSTERA?**

**28** ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
**REALITY SHOW – PRYWATNOŚĆ NA SPRZEDAŻ**

## KULTURA

**30** ROZMOWA Z JOLANTĄ NOWAKOWSKĄ
**NALEŻY BYĆ W ŻYCIU PRZYZWOITYM**
90. rocznica urodzin Marka Nowakowskiego

**34** PIOTR GOCIEK
**DZIECI W SIECI**

## NIE PRZEGAP

**36** NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI, GRA**

**42** GRZEGORZ KONDRASIUK
**ZOMBIE, WSZĘDZIE ZOMBIE**

## MEDIA

**43** DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
**DEMON I ZBYDLĘCENIE**
Zatracenie wrażliwości

## OPINIE

**44** ROZMOWA Z BARTOSZEM KOPCZYŃSKIM
**POLACY JAKO ŻYWE TARCZE NA SPALONEJ ZIEMI**
„Tarcza Wschód" nie ma osłaniać Polski, tylko UE

**46** ROBERT BOGDAŃSKI
**POLSKA: RYCERZ CZY KLIENT?**

**48** KAJA GODEK
**ABORCJONIŚCI TESTUJĄ POLSKĘ**

**50** ROZMOWA Z PIOTREM KORYSIEM
**ZABRAKŁO BURŻUAZJI**

**52** PAWEŁ CHMIELEWSKI
**WŁADZA W RĘCE KOBIET?**

## HISTORIA

**54** GRZEGORZ MAJCHRZAK
**NIE TYLKO ŚWIDNICKIE SPACERY**
Polacy przeciw propagandzie

## ŚWIAT

**60** TERESA STYLIŃSKA
**PRZEZ WIĘZIENIE DO PREZYDENTURY**
Bezczelność władz w Ankarze

**62** MACIEJ PIECZYŃSKI
**PANIKA NAD DNIEPREM**

**64** PIOTR WŁOCZYK
**AMERYKA NIE DLA PORTORYKA**

## EKONOMIA

**68** ŁUKASZ WARZECHA
**KATASTER, CZYLI ROZBÓJ**
Państwo jest chciwe

**70** ZIEMOWIT MIŁOSZ MALECHA
**OZE, CZYLI PASOŻYT?**

**72** JACEK PRZYBYLSKI
**CEL: SZMAL**

## STYL

**76** JOANNA BOJAŃCZYK
**CIEMNA STRONA OZEMPICU**
Kontrowersje wokół leku

## FELIETONY:
SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (58), KOMUDA (59), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (74), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)




eprasa.pl a6f11ff05f

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Marysia Zawada/Reporter, Włodzimierz Wasyluk/Forum**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

**Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.**

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
**Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Adam Borzęcki,** a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
**Joanna Gosek, Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
**Kolporter sp. z o.o.** (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
**Garmond** tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
**GLM sp. z o.o.** tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
**Poczta Polska** https://prenumerata.poczta-polska.pl/

**ISSN nakładu podstawowego 2299-8500**
**Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

## *Drodzy Czytelnicy!*

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

## *„Bezpieka" walczy z Bogiem, Kościołem i proboszczem*

*W 1950 r. zostali zamordowani przez komunistów 48-letni ks. Boguchwał Tuora i jego czworo współpracowników. 2 kwietnia br. upłynie 75 lat od tej zbrodni. Jej okoliczności wciąż pozostają niewyjaśnione.*

*Pragnę zainteresować czytelników heroiczną postawą kapłana, proboszcza parafii w Poczesnej w latach 1941–1950. Były to mroczne czasy okupacji niemieckiej i pierwsze lata okupacji sowieckiej. Ksiądz Tuora w tych ponurych czasach nie tylko odbudowywał zniszczony kościół i plebanię w Poczesnej, lecz także pomagał biednym rodzinom z parafii. Przede wszystkim jednak wzmacniał i ożywiał wiarę w Boga wśród parafian. Tym samym dobrze budował autorytet Kościoła. Dlatego został uznany przez komunistów za człowieka, którego należało „uciszyć", „usunąć". Ludzi wypytywano, czy odwiedza ich ks. proboszcz, co mówi, a szczególnie, co mówi o władzy. Wiele razy go zastraszano, sugerowano, żeby opuścił swoją parafię. Ksiądz Tuora pozostał i zorganizował w parafii pierwsze po wojnie misje święte. Odbywały się one w Wielki Tydzień 1950 r. i przyniosły oczekiwane owoce – wielu mieszkańców dawno nieobecnych w kościele nawróciło się, przyjęło sakramenty święte. Ksiądz Tuora nie krył radości, miał powiedzieć: „Nie dadzą nam komuniści rady, wymyka im się »rząd dusz«". Ostrzegano wtedy ks. Tuorę, że jego życie jest zagrożone. Być może kapłan uniknąłby tragedii, gdyby wtedy wyjechał. Świadomie jednak został w parafii razem ze swoimi współpracownikami. Za swoją postawę wszyscy zapłacili najwyższą cenę. W nocy z 2 na 3 kwietnia 1950 r. na plebani w Poczesnej zamordowany został przez uduszenie ks. Boguchwał Tuora oraz jego współpracownicy: Józefa Dzieża, Władysław Lompa, Władysława Szczepańska i Zofia Zielińska.*

*W latach 1950–1952 komuniści w sprawie zabójstwa w Poczesnej prowadzili „wnikliwe i skuteczne" śledztwo, i to na najwyższym szczeblu! W aktach widnieją bowiem podpisy ppłk Heleny Wolińskiej (stalinowskiej prokurator, zwanej „potworem w mundurze") z Naczelnej Prokuratury Wojskowej w Warszawie. Szybko „wytypowano" kilku sprawców, a następnie postawiono im zarzuty karne.*

*W maju 2002 r., na wniosek członka rodziny ks. Tuory, prokurator Ewa Koj z Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach wydała postanowienie o wszczęciu nowego śledztwa. Jednakże w listopadzie 2003 r. prokurator Teresa Kurczabińska wydała postanowienie o jego umorzeniu.*

*Zbrodnię oficjalnie przypisano człowiekowi o nazwisku Omasta. Dziś wiadomo, że winni byli ci, którzy bezpośrednio mordowali, i ci, którzy o tym decydowali – przedstawiciele ówczesnej władzy. To oni dali tym pierwszym iluzoryczne poczucie bezkarności i to oni sfingowali śledztwo.*

*Jako mieszkańcy parafii Poczesna szczególnie zależy mi, aby postać tego niezłomnego, szanowanego kapłana i dobrego człowieka poznali mieszkańcy Polski, zwłaszcza teraz, gdy księża wciąż są pozbawiani życia.*

*Szerzej o życiu ks. Boguchwała Tuory i tych tragicznych wydarzeniach można przeczytać w artykule mojego autorstwa pt. „Godnie trwał przy Bogu. Ksiądz Boguchwał Tuora (4 I 1902–2 IV 1950)". Artykuł ten ukazał się w publikacji „Częstochowskie Kościoły wobec systemów totalitarnych 1939–1989", Katowice–Warszawa 2023. Książkę można zakupić w Oddziale IPN w Katowicach. Link do publikacji: https://katowice.ipn.gov.pl/pl3/publikacje/ksiazki-katowice/181552,Czestochowskie-Koscioly-wobec-systemow-totalitarnych-19391989.html.*

*Na koniec apel do czytelników! Jeśli ktoś miałby jakieś informacje na temat ks. Tuory i o tych wydarzeniach, to bardzo proszę o kontakt na adres e-mailowy: daisyxxx@o2.pl.*

**Dorota Czech**



eprasa.pl a6f11ff05f

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Więdnąca koniczynka

Teoretycznie Szymon Hołownia jest wspólnym kandydatem prezydenckim Trzeciej Drogi, czyli Polski 2050, i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Konia z rzędem jednak temu, kto zobaczyłby w tej kampanii Władysława Kosiniaka-Kamysza u boku Hołowni. Lider ludowców ogranicza się jedynie do strzelistych deklaracji wiary w sukces swego koalicyjnego partnera. Pytany o niekorzystne sondaże dla Trzeciej Drogi stwierdził, że są one jedynie „próbą kreowania rzeczywistości, a nie opisywania".

Kosiniak-Kamysz bawi się w kurtuazję, za to struktury lokalne PSL uchylają się, jak mogą, od pomagania partii marszałka Sejmu na kampanijnym szlaku. W wiejskim elektoracie pretensjonalny styl Hołowni budzi niechęć, a jego brak oporów wobec aborcji na życzenie – wręcz oburzenie.

Stylizacja Hołowni sprzed dekady na głęboko wierzącego katolika okazała się tak samo sztuczna, jak jego kreacja sceniczna w programie „Mam talent". Peeselowcy z irytacją reagują na pytania o udział w kampanii lidera Polski 2050. Widzą w nim nieudacznika, który wciąga ich partię w niszczący wir.

W ostatnim sondażu Research Partner marszałek Sejmu zdobywa mizerne 5,7 proc. Nóż w plecy prezydenckim ambicjom Hołowni wbił Sławomir Mentzen, który bezceremonialnie zabrał głosy niegdysiejszego gwiazdora TVN.

Ludowcy obawiają się, że notowania kandydata Trzeciej Drogi mogą jeszcze spaść i 18 maja wyniosą kompromitujące 4–5 proc. W tej sytuacji ośmieszony Hołownia nie przekona już nikogo do pozostawienia go na marszałkowskim, „kadencyjnym" fotelu. Trafi na tylne ławy poselskie z rozpadającą się Polską 2050.

A blednięcie partii Hołowni pociąga w przepaść PSL. We wspomnianym już sondażu Research Project z 26 marca Trzecia Droga zdobywa jedynie 6,9 proc., czyli jako koalicja nie przekracza progu wyborczego. A partie koalicji 13 grudnia według sondaży nie mają dziś w Sejmie większości.

Działacze PSL pocieszają się jedynie tym, że newralgiczna dziś funkcja szefa MON daje Kosiniakowi-Kamyszowi okazję do prestiżowych spotkań na najwyższym szczeblu. Ale to już koniec powodów do radości. Minister rolnictwa Czesław Siekierski musi z niepokojem myśleć o dacie 5 czerwca, kiedy przestanie obowiązywać unijna blokada na import produktów rolnych z Ukrainy. A rolnicy już zasypują lokalnych posłów PSL pytaniami, jakie będą nowe limity bezcłowego importu ukraińskiego zboża.

Wraz z anihilacją Polski 2050 PSL musi zacząć myśleć, z kim iść na wybory w 2027 r. Bo sami raczej nie przejdą progu 5 proc. – Po wyborach prezydenckich nie ma możliwości, abyśmy weszli w koalicję z PiS – ogłosił Krzysztof Hetman, minister rozwoju i technologii, szef lubelskich struktur PSL.

Tylko jeśli nie z PiS, to z kim? Dla konfederatów ludowcy mogą być zbyt etatystyczni i stetryczali. Pozostają Wujek Donald i jego Platforma. Tylko czemu to jakoś zdaje się nie cieszyć Kosiniaka-Kamysza? ©℗

FOT. NICK EHLERS/DPA/PAP

## KOSMICZNY WIR NAD POLSKĄ

W ubiegły poniedziałek na polskim niebie można było zaobserwować bardzo nietypowy spektakl świetlny. Błyszczący na niebiesko, dość szybko przemieszczający się wir rozgrzał do czerwoności media społecznościowe. Internauci szukali odpowiedzi na pytanie, co takiego widzieli nad głowami. Niezwykłe zjawisko było śladem na niebie powstałym w wyniku zrzutu paliwa ze zbiorników rakiety Falcon 9 firmy SpaceX (należącej do najbogatszego człowieka świata Elona Muska). ***(jap)*** ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

# dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Dziś na początek cytat. „Prace i publikacje Pana Prezydenta Chin Xi Jinpinga uważam za wybitne. Pan Xi Jinping zwraca wielką uwagę na rozwój chińskiej gospodarki i społeczeństwa i nie tylko dotyczy to najważniejszego wyzwania, jakim jest walka z ubóstwem, lecz także rozwoju klasy średniej. Klasa średnia to ci Chińczycy, którzy mają marzenia, aspiracje i ciężko pracują, aby ich plany się materializowały”. To wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna, gwiazda Lewicy. Media twierdzą, że nie dostał dostępu do tajnych informacji z powodu alkoholu i/lub obyczajówki. Cóż, prawdziwy powód właśnie podaliśmy.

Generalnie przed Szejną jako osobnikiem głęboko zafascynowanym Chinami Ludowymi przestrzegaliśmy w naszej rubryce, jeszcze zanim został powołany na stanowisko. Gdyż wiemy, jak wyczuleni na tym punkcie są nasi partnerzy z NATO. Ale niestety ten rząd nas nie słucha. I nie czyta. Zresztą poprzedni też nie słuchał. Czytał, ale nie wyciągał wniosków.

Tymczasem w kampanii. Kandydat Rafał Kazimierz Trzaskowski, aby się odmłodzić, udał się był na youtube’owy wywiad do rapera Winiego, znanego też jako Winicjusz Bartków. Bardzo nas zainteresowało, jak Rafał Kazimierz opisuje początki swych występów medialnych. „Mi się wydawało, że jestem zaje….y”. Niestety, jego wyczyny spotkały się z chłodnym przyjęciem. „Ludzie mówili mi: stary, to się do niczego nie nadaje”. Podziwiamy lapidarność. Rafał Kazimierz w dwóch krótkich zdaniach streścił nie tylko swą karierę medialną, lecz także całe życie polityczne. Nie trzeba czytać jego słynnej książki.

Raper Wini znany jest nie tylko ze spopularyzowania słowa „essa”, lecz także jako producent odzieży. Co przypomniało nam związaną z przemysłem tekstylnym anegdotkę. Dotyczy ona tajniaków z abwery, jak popularnie nazywa się ABW. A konkretnie o outfitach, które preferują podczas co ważniejszych zatrzymań. Funkcjonariusze gustują bowiem w marce Red Is Bad. Właśnie w takich wdziankach zatrzymywali Marcina Romanowskiego.

Tymczasem świat żyje aferą signalową. Chodzi o rozmowę najważniejszych osób rządzących Ameryką na czacie w komunikatorze Signal, do której w tajemniczy sposób dołączony został dziennikarz Jeffrey Goldberg. Nam rozwiązanie afery zajęło dwie sekundy i jedno spojrzenie na klawiaturę: inicjujący grupę Mike Waltz chciał wpisać „JD”, ale mu się palec omsknął i wpisał „JG”. Niektóre media twierdzą przy tej okazji, że w Białym Domu panuje powszechne przekonanie, że jest on idiotą. Jeśli tak, to spadają szanse na odprężenie w relacjach Ameryka – Europa: idioci z idiotami nigdy się nie dogadają.

Kronika towarzyska. Bawiliśmy na gali „Gazety Polskiej” w hotelu Bellotto. Czyli w dawniejszym Pałacu Prymasowskim. Dziwnie nam się biesiadowało na sali, w której stał niegdyś katafalk z truchłem prymasa Michała Poniatowskiego. Tego samego, o którego zgonie pospólstwo szeptało: „Książę prymas zwąchał linę, wolał proszek niż drabinę”. Tłumaczymy. Prymas targowiczanin skonał niespodzianie, kiedy zaczęto mu wznosić przed oknami szubienicę. Targowiczan wieszano, wyciągając im spod nóg drabinę.

Kiedy już porzuciliśmy te historyczne skojarzenia, zagłębiliśmy się w menu. Do wyboru było danie wegańskie i mięsne. Mimo postu rzuciliśmy się na mięso. Były to bowiem osławione policzki wołowe. Takie same, jakimi raczyli się biesiadnicy u Sowy i Przyjaciół. Liczyliśmy jeszcze na ośmiorniczki, ale się przeliczyliśmy.

Prestiżowe hotele z okolic Starówki to w ogóle miejsce ulubione przez prawicę. Rzut kamieniem dalej, w hotelu Verte, swoją konferencję zorganizował bowiem europoseł Patryk Jaki. Nie chodziło o konferencję prasową, lecz konferencję „Kulturowe dziedzictwo Europy w świetle 1000-lecia Królestwa Polskiego”. Powiemy krótko: gdyby Zjednoczona Prawica organizowała swoje rządy tak, jak Patryk Jaki swoje konferencje, to rządziłaby do dzisiaj.

Do Opola zawitała cywilizacja. Nie chcemy przez to powiedzieć, że piękny gród nie był do tej pory cywilizowany, chodzi nam o wizytę przedstawicieli wyższej cywilizacji. Pojawili się w Opolu z okazji otwarcia nowego stadionu futbolowego i pozostawili ślady cywilizowanego świata: rozwalone kible, zdewastowane ściany i takie tam. A potem wrócili do siebie, do prawdziwej cywilizacji, pozostawiając polskie wiochy i szamba za sobą. Byli to kibice zespołu drugiej Bundesligi 1. FC Magdeburg. Aż strach pomyśleć, jak cywilizowani muszą być przedstawiciele cywilizacji pierwszej Bundesligi.

W sumie nie ma się co czepiać, u nas różne kluby też mają takich cywilizowanych zwolenników. Ale bawi nas to, jak tzw. media głównego nurtu omijały temat narodowości sprawców. Używano bowiem sformułowań: „zdewastowano”, „został zdewastowany”, „został zniszczony”. Tak jakoś po prostu został. Ot, wzięło się i zdewastowało. Teraz już rozumiecie, jak mało cywilizowane mamy media. Bo te na wyższym poziomie, niemieckie, to w analogicznej sytuacji napisałyby po prostu: „Polnische Banditen”, prawda?

Tymczasem Zły Donald z Sopotu poszedł na mecz Polska – Malta, ale niczego nie dewastował, tylko wrzucił na sosziale selfika ze sobą, jakimiś ludźmi i podpisem, że się bawi wśród zwykłych kibiców. Okazało się jednak, że bawił się w strefie VIP. Nie rozumiemy oburzenia. A wy myślicie, że dla króla Europy to jacy kibice są zwykli? ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

PŁYWANIE W KISIELU

# Przywracanie praworządności

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się sesja naukowa: „Przywracanie praworządności w polskiej prokuraturze". Sesję otworzył sam Adam Bodnar, po nim przemawiali m.in. prokurator uzurpator Korneluk oraz dziekan Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW – dr hab. Daniel Przastek. Nie byłoby powodu tej „naukowej" sesji odnotowywać, gdyby nie obecność, i to w roli gospodarza, tego ostatniego.

Być może nie wszyscy czytelnicy zauważyli, bo sprawa wybuchła w medialnej „bańce" lewicowo-liberalnej, ale Danielowi Przastkowi w ostatnich tygodniach postawiono w mediach bezprecedensowo ciężkie zarzuty. Byli pracownicy wydziału opisują go jako wulgarnego i bezczelnego zboczeńca łapiącego podwładnych i studentów za rozporki, demonstracyjnie pomiatającego ludźmi i z zamiłowaniem łączącego poniżanie ich z plugawym, homoseksualnym świńtuszeniem. Po pierwszych nieśmiałych jeszcze opowieściach o zachowaniach udzielnego dziekana na uniwersyteckich włościach następne sypnęły się istną lawiną – portal gazeta.pl porównał tę sytuację z otwarciem puszki Pandory. Przypisywane Przastkowi czyny i zachowania są takie, że dawniejsze oskarżenia o plagiat to przy nich drobiazg – trudno to nawet cytować w szanującej się gazecie. Jakieś, mówiąc po wojskowemu, „szwancparady" studentów pod pozorem wydziałowego przedstawienia (za państwa czasów urządzano na uczelniach „teatrzyki", w których chłopcy ustawiali się na scenie nago? Ja nie słyszałem), gdzie dziekan ze znawstwem komentował penisy podopiecznych, czy pokazywanie przyrodzenia podwładnym z informacją, że „na tym zrobił karierę" i niech by kto tej karierze zagroził, to dziekan ma takich „patronów", że go…

I w szczycie tych oskarżeń – wspomniana sesja, minister Bodnar, „prokurator krajowy" Korneluk i wszyscy Tuskowi święci. Oraz pogróżki dziekana, że tych, którzy na niego „nadają", załatwi procesami. I, dwa dni potem, decyzja UW – jednak – o jego zwolnieniu. Ciekawe, czy „patroni" nie okażą się silniejsi? ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

# Sezon na fake newsy

Współczesny liberalizm odkrył dezinformację! Dużo na to potrzebował czasu i łatwo mu to nie przyszło.

Chesterton poświęcił cały rozdział „Kuli i krzyża", by opisać, jak łatwo w „pogoni za newsem" depcze się nudną prawdę. Dlatego też bł. Pius IX z taką odrazą patrzył na absolutyzację wolności mediów. Dezinformacja i propaganda to fundamenty współczesnego liberalnego świata. Od momentu, gdy wojnę wietnamską komuniści wygrali na ekranach amerykańskich telewizorów, i od chwili, kiedy adwokatki Coffee i Weddington namówiły Normę McCorvey („Jane Roe") do złożenia skargi na wymyślony gwałt, by przeforsować legalizację aborcji. Tamto aborcyjne kłamstwo do dziś jest wychwalane przez wszystkie autorytety liberalnego świata, na czele z władzami UE.

O dezinformacji mówiłem, gdy nikt jeszcze o fake newsach nie słyszał. Kiedy w 1993 r. prezydent Wałęsa przyniósł do Sejmu przygotowaną przez Lecha Falandysza i Wiktora Osiatyńskiego Kartę Praw i Wolności, pytałem w imieniu Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, „gdzie w tym dokumencie ochrona obywateli przed dezinformacją". I dlaczego karta „nie mówi o prawie obywateli do otrzymywania wiarygodnej informacji i o obowiązku sądów publicznych, by nakładały sankcje w wypadku dezinformacji i wprowadzania ludzi w błąd". Wtedy takie pytania uchodziły za podważanie Wolności Słowa. Donald Tusk też brał udział w tamtej debacie, ale wtedy fake newsami się nie martwił. Dziś się martwi, że każda nowa stacja telewizyjna to ryzyko dezinformacji, więc chce prawnie zagwarantować, by największe były kierowane przez tych, do których władza ma zaufanie. A że społeczeństwo jego zaufania nie ma – Telewizję Polską postawił w stan likwidacji.

Obalono już zasady i autorytety, które miały zostać obalone. Czas kontestacji pomału się kończy. Wolność Słowa zrobiła już swoje i wolność słowa może odejść. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# O „Manifeście z Ventotene"

Manifest, dość komunistyczny, powstał w 1941 r. Napisali go lewicowi intelektualiści Altiero Spinelli, Ernesto Rossi i Eugenio Colorni, internowani przez Mussoliniego na niewielkiej wyspie Ventotene. Postulowali utworzenie unii państw europejskich, co miało położyć kres wojnom i biedzie. Autorzy okrzyknięci zostali prorokami, a ich broszurka – niemal pismem świętym.

15 marca w Rzymie odbyła się spora demonstracja „euroliryków" na rzecz zjednoczonej Europy. Rozdawali broszurkę. W parlamencie premier Giorgia Meloni powiedziała potem, że nie zgadza się z wieloma tezami manifestu, a zwłaszcza z ideą społeczeństwa tresowanego: „To nie moja Europa".

Rozpętało się piekło! Trzeba było przerwać obrady. We włoskich lewicowych deputowanych wstąpił diabeł. Pienili się, wrzeszczeli i obrażali. Był to naprawdę brutalny i emocjonalny spektakl. Wielu deputowanych wygrażało pięściami, a Federico Fornaro się rozpłakał. Cóż, najwyraźniej polityka potrzebuje swoich świętych i świętości, a wielu polityków w obronie dogmatów i bóstw swoich politycznych wierzeń gotowych jest niemal na wszystko.

Naturalnie awantura w parlamencie rozlała się na wszystkie włoskie media. Co robi włoska lewica? Zorganizowała pielgrzymkę przebłagalną na Ventotene, składając wieńce na ołtarzach swojej wiary. Przy okazji „ojcu współczesnej włoskiej lewicy" – jak mówi się teraz o Romano Prodim – przydarzyła się przykra wpadka. W Rzymie na marginesie politycznego eventu dziennikarka pracująca dla telewizji Berlusconich spytała go, czy zgadza się ze słowami: „Własność prywatną trzeba wyjąć spod prawa", bo tak stoi napisane w „Manifeście". Prodiemu puściły nerwy. Najpierw zawyrokował, że to pytanie jest „wulgarnym sposobem robienia polityki", a potem lekko szarpnął kobietę za włosy. Nie przeprosił, za to zakpił: „Niedługo powiedzą, że ją zgwałciłem". Cała włoska lewica, tak czuła na punkcie przemocy wobec kobiet, w akcie pomnikowej hipokryzji stanęła w obronie swego duchowego ojca. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



eprasa.pl a6f11ff05f

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

## CENA NIE GRA ROLI

Niby niechcący, przypadkiem, ale raz po raz wychodzą różnice w mentalności celebrytów i nas, zwyklaków. Aktorka Marieta Żukowska chętnie dzieli się ze swoimi fanami miłością do Włoch. Jak przyznaje, ten kraj, który był celem pierwszych wakacji w życiu, skradł jej serce. – Miałam 16 lat i zwariowałam. Zobaczyłam włoskie dziewczyny, włoskich chłopaków, ten ich luz, ich radosne podejście do życia. Myślę, że to była taka pierwsza miłość [...]. Bardzo kocham ten kraj [...]. Włochy dają mi radość, słońce, jedzenie. Ja się tam po prostu wyluzowuję na maksa [...] – podkreśla aktorka. Żukowska przyznaje, że wiele razy myślała o tym, żeby przeprowadzić się do Włoch, jednak za bardzo

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS

kocha Warszawę. – Myślałam wiele razy o tym, ale kocham Warszawę, kocham tu pracować i myślę, że to jest dla mnie takie idealne połączenie, że jeżdżę tam sobie, mam tam dom i wracam tu i żyję w Warszawie – wyznała. Upodobanie do zagranicy nie jest wśród polskich celebrytów rzadkością. Ostatnio Maciej Dowbor, który ma mieszkanie w Hiszpanii, porównał tamtejsze ceny do polskich. Zaskoczyła go cena kawy, która w Hiszpanii kosztuje maksymalnie 1,5 euro. O to porównanie kosztów życia zapytano też Żukowską. – Nie skupiam się na cenach. Lubię bardzo Maćka, jest naprawdę spoko gościem, ale nie skupiam się na cenach i jakoś nie jest to dla mnie najważniejsza sprawa w życiu. Ja też wiele nie potrzebuję [...]. Staram się po prostu żyć, cieszyć się, a jeżeli mnie na coś stać, to po prostu jestem wdzięczna losowi, że podarował mi taką możliwość – powiedziała. A darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda, wiadomo.

## INWESTYCJA NA PRZYSZŁOŚĆ

Cenami nie przejmuje się też Weronika Sowa, czyli Wersow. Niedawno influencerka wybrała się do Stanów Zjednoczonych, gdzie wpadła w zakupowy szał. Na lotnisku okazało się, że nadbagaż jest gigantyczny. Co zrobiła Wersow? Dokupiła nową walizkę. Ale nie, nie, nie byle jaką. Internetowa gwiazda zdecydowała się na zakup luksusowej walizki Rimowa Classic Trunk, której cena to 9 tys. zł. – Nie mam już upgrade'u na ten lot. Bardziej opłaca mi się kupić walizkę, niż dokupować nadbagaż [...]. Ja bardzo często podróżuję, więc chciałabym mieć taką konkret walizkę [...]. Stwierdziłam, a dam se, a mogę, więc kupiłam tę srebrną. I fajnie, mam nadzieję, że się nie zniszczy. Jest dożywotnia gwarancja, więc zobaczymy. Zobaczymy, jak długo wytrzyma – relacjonowała Weronika we vlogu. – Myślę, że to będzie najdłużej używana przeze mnie walizka i obym miała ją cały czas [...]. Kupiłam walizkę, o której marzyłam, i bardzo się z niej cieszę. Tak się prezentuje ta walizka i powiem wam tyle: fajnie. Dałam sobie [...]. Pracuję, to se dałam. I jestem zadowolona, i się cieszę z tego – podsumowała Sowa. Marzenia trzeba spełniać.

## PREMIERA TWARZY

Stała bywalczyni naszej rubryki, pisarka nie najwyższej próby Blanka Lipińska, zaprezentowała światu nowe oblicze. Nie jest to żadna metafora, skądże. Lipińska zafundowała sobie – dosłownie – nową twarz. Wyjawiła, że cena zabiegu równa się z wykupieniem „dwóch/trzech garażowych miejsc na Wilanowie". Ciekawscy obserwatorzy dopytywali, jak czuje się po operacji, którą przeszła kilka tygodni temu. Pisarka przyznała, że choć „obecnie nie czuje tylko połowy twarzy", to niczego nie żałuje. – A tam zaraz połowę twarzy. Za max. trzy miesiące czucie wróci. Nie czuję połowy ucha i części szyi. Ale to spoko, bo nawet nie wiem, czy te blizny bolą. No wiem, z.....ą mam teraz linię szczęki – dodała. Dlaczego zdecydowała się na tak poważny zabieg? – Źle się czułam ze swoją wiszącą skórą. Na co miałam czekać? Aż wiek będzie „odpowiedni"? I przez te wszystkie lata do „odpowiedniego" wieku nie lubić własnej twarzy? A po co? Wychodzę z założenia, że jak ci coś nie pasuje, zmień to! – oznajmiła Blania. W mediach społecznościowych zaprezentowała zdjęcia blizny kilka dni i dwa tygodnie po zabiegu. – Profesor mówi, że śladów po nich nie będzie, i jak na to patrzę, to nawet mu wierzę – zapewniła rozradowana. Jednych cieszy nowa walizka, innych nowa twarz. Życie,

## DZIÓBEK W DZIÓBEK

Nowa edycja „Tańca z gwiazdami" oznacza nowe aferki. Do show, w roli tancerki, powróciła Agnieszka Kaczorowska. Kiedyś walczyła o stołek jurora, jednak ostatecznie posadę dostał Tomasz Wygoda. Kaczorowska nie mogła tego przeboleć i ostro zaatakowała choreografa, przy okazji rozpoczynając wojenkę z inną jurorką, Iwoną Pavlović. Po powrocie Agi do programu media na nowo rozgrzebały aferę. Panie nie miały jeszcze okazji porozmawiać, jednak Palović przyznała, że ostatnio nawet się przytuliły. – Był taki moment, po jednym programie, że nawet się przytuliłyśmy do siebie. To nie jest tak, że ja teraz z Agnieszką będę psiapsiółką i będziemy spijać sobie z dzióbków, tylko uważam, że czasami w emocjach mówimy rzeczy niepotrzebne albo też zmieniamy zdanie najzwyczajniej w świecie – relacjonowała znana tancerka. – Rzeczywiście, Agnieszka wysunęła sporo słów negatywnych w stronę jury, ale ja też nie jestem taką osobą, która by trzymała takie rzeczy, pielęgnowała i podlewała, żeby to rosło. Wręcz przeciwnie – podkreśliła Pavlović. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, mamy problem na naszym modnym deweloperskim osiedlu na obrzeżach, tzn. przedmieściach Krakowa, gdzie wynajmujemy mikroosobokawalerkę w cenie 10 tys. zł za miesiąc (plus media, Internet i śmieci).

Otósh w ostatnim czasie, iż nadszedł wiosen, znów na place zabaw wyległy dzieci, które nie dość, iż grają w piłkę, inne gry zespołowe, to jeszcze wydają z siebie dźwięki ponadnormatywnie głośne w stosunku do dopuszczalnej liczby decybeli w przestrzeni publicznej. Czyli, innymi słowy, strasznie się drą i wrzeszczą.

Jak pewnie wielu z Was, my również w określone dni pracujemy zdalnie (w formie benefitu, raz w miesiącu), więc takie zachowanie ze strony osobodzieci nas bardzo drażni. Dlatego walczymy o wprowadzenie zakazu gry w piłkę na osiedlu, a także chcemy pójść dalej – wprowadzić zakaz wychodzenia osobodzieci na place zabaw i o nakaz trzymania ich w domu. Zwłaszcza że te wrzaski płoszą psieci naszych przyjaciół, które później dostają nerwicy i szczekają przez całe dnie, no ale bądźmy wyrozumiali, psiecko musi szczekać.

Na szczęście wiecie, jak jest. W tym kraju przyrost naturalny ciągle spada, bo i jak ma nie spadać, z kim ze znajomych byśmy nie rozmawiali, to wolą psiecko, bo tyle się nie drze, nie trzeba z nim odrabiać matematyki, rozmawiać, skąd się biorą inne psieci, i wozić na urodziny do innych osobodzieci. Dlatego za parę lat problemu już pewnie nie będzie, wrzaski ustaną, a place zabaw dla dzieci przerobimy na wybiegi dla psieci i w spokoju będziemy mogli się relaksować na home office.

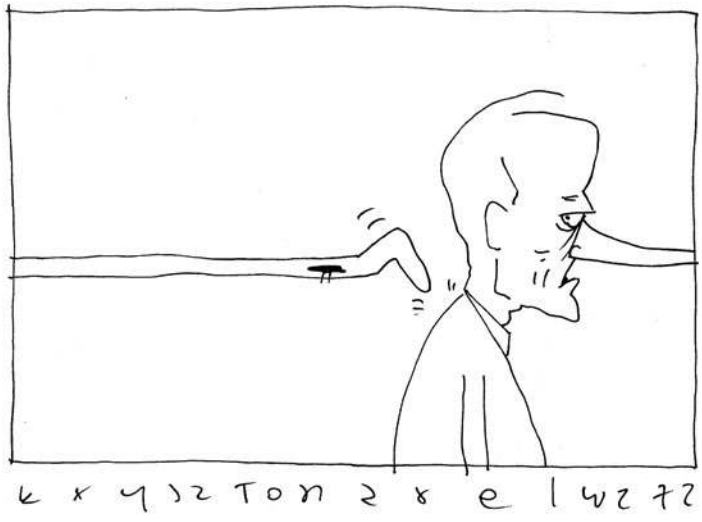

Jak się macie w ogóle, kochani, po tej zmianie czasu, która miała miejsce w ten weekend? Nas zaskoczyła w bardzo nieprzyjemny sposób, iż byliśmy na clubbingu, nagle z 2 zrobiła się 3, zostaliśmy wyproszeni, przykra sytuacja.

Natomiast z tego, co rozumiemy, wygląda to tak, iż po prostu dzień został teraz skrócony o godzinę, prawda? A zatem wychodzi na to, iż mając krótszą dobę, coraz szybciej zmierzamy w kierunku kolejnych wyborów parlamentarnych, po których – iż Polacy niczego się nie uczą – może rządzić nami koalicja pisu z konfederacją.

Wynikałoby więc z tego, iż zmiana czasu jest pułapką, którą na obecny rząd zastawił Jarosław Kaczyński. Natomiast zastanawia nas, czy na pewno jest to konstytucyjne, iż skoro doba jest krótsza, to kadencja parlamentu i rządu powinna zostać wydłużona. Nie do końca to ogarniamy.

Czujemy za to realną zmianę, jeśli chodzi o well-being, iż kiedy jedziemy do korpo, to jest jasno, ale za to jak wracamy z korpo, to nadal jest jasno. Jest to więc na pewno pułapka Kaczafiego, który w ten sposób chce obniżyć naszą produktywność, która spada w tęsknocie za słońcem świecącym za oknem, a co za tym idzie – prowadzi do spadku PKB.

My jednak nie damy się tak łatwo, iż w oknach mamy rolety, zasuniemy je i z łatwością skupimy się na realizacji KPI, iżby wesprzeć rząd w budowaniu dobrobytu. ©℗

***FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO***

## PODSŁUCHANE

# Sok z winogron

**Andrzej, ja wszystko rozumiem. Ale tę Justynę to naprawdę musiałeś lać po gębie?**
Włodek, wiesz, jakie są kobiety. Choćbyś nie wiem, jak się starał, czasem nie zdzierżysz.

**Ech, myślisz, że ja bym nie miał ochoty takiej Anny-Marii zamalować? Ilekroć do mediów toto lezie, zawsze mam gęsią skórkę, co znowu palnie.**
No właśnie. A jeszcze bardzo z siebie zadowolona jest.

**Fakt. Ale z tym tankowaniem to musisz przystopować. Donek się wściekł.**
Przysięgam, mam to pod kontrolą.

**No to co masz w tej butelce?**
Sok z winogron.

**Przecież czuję, nie rób ze mnie idioty.**
Bo to jest sfermentowany sok z winogron. ©℗

***Łukasz Warzecha***

## OD RZECZY

**„[...] wdrażanie świeckości przypomina chirurgiczne leczenie nowotworu".**

***PRZEMEK STAROŃ,*** *kulturoznawca, psycholog i nauczyciel etyki, w wypowiedzi dla „Gazety Wyborczej"*



eprasa.pl a6f11ff05f

# WIELKIE TRZĘSIENIE ZIEMI W BIRMIE, TAJLANDII I INDIACH

Trzęsienie ziemi o magnitudzie 7,7 nawiedziło w piątek Mjanmę (dawniej Birmę). W gruzy obróciło się wiele budynków. Uszkodzone zostały autostrady, ulice oraz mosty. W kraju zapanował wielki chaos. Przed zamknięciem tego numeru „Do Rzeczy" nieznana była liczba ofiar, szacowano jednak, że w wyniku kataklizmu zginąć mogły setki, jeśli nie tysiące osób.

Trzęsienie ziemi było tak potężne, że wyrządziło istotne szkody nawet w oddalonym o ponad 1,2 tys. km od epicentrum Bangkoku. W stolicy Tajlandii niczym domek z kart zawalił się, będący jeszcze w budowie, ogromny nowoczesny wieżowiec (na zdjęciu: gruzy tego budynku). Uszkodzeniu uległ również budynek polskiej ambasady – MSZ poinformowało więc o ewakuowaniu pracowników placówki. Na ulice kilkumilionowego miasta wylewała się także woda z basenów na dachach.

Wstrząsy odczuwalne były również w Indiach oraz w Chinach. ***(jap)*** © ℗

FOT. SANCHAI LALIT/AP/EAST NEWS

# Menedżer nienawiści

Rafał A. Ziemkiewicz

**Prywatnie prominentni przedstawiciele oświeconych elit nadal zapewniają, że się Romanem Giertychem brzydzą – ale publicznie nie zgłoszą już wobec niego żadnych zastrzeżeń. Jeśli wciąż nie został on, jak publicznie domagała się Ewa Wrzosek, ministrem sprawiedliwości, to tylko dlatego, że sam tego nie chce. Rola „szarej eminencji" – wpływy niepołączone z odpowiedzialnością za cokolwiek – odpowiada mu znacznie bardziej**

W roku 2006 lewicowo-liberalne salony wzywały na demonstracje pod prostym, wdzięcznym hasłem: „Giertych won!", podczas których noszono transparenty „Giertych do wora, wór do jeziora!" i kukłę przedstawiającą tego polityka jako potwora Frankensteina. „Gazeta Wyborcza" inspirowała do oporu przeciwko „faszyście", który chce publicznie palić dzieła Witolda Gombrowicza i przebrać wszystkich uczniów w mundury na wzór Hitlerjugend, a Polskę oderwać od Unii Europejskiej i na powrót wepchnąć pod okupację putinowskiej Rosji. Szczytem moralnej ohydy i wrogiem numer jeden ogłosiły oświecone elity lidera reaktywowanej Młodzieży Wszechpolskiej i Ligi Polskich Rodzin, gdy po ujawnieniu szczegółów negocjacji Jacka Kuronia z płk. SB Janem Lesiakiem z końca lat 80. zamachnął się na świętość, żądając odebrania Kuroniowi Orderu Orła Białego. Potępieniom, „antyfaszystowskim" kazaniom i przestrogom nie było końca, a żadnej użytej obelgi ani pogróżki (włącznie z takimi jak zapowiedź felietonisty „Polityki", że gdy spotka Romana Giertycha osobiście, „da mu po mordzie") nie uważano za zbyt mocną.

Dziś ten sam „faszysta", jako szara eminencja rządu, w którym lewicowo-liberalne salony widzą jedyne ocalenie przed grozą „powrotu PiS", jest dla swych dawnych wrogów autorytetem i bohaterem, całkowicie wyjętym spod krytyki. Dawne „autorytety" od walki z „faszyzmem", które szczuły na Giertycha i straszyły nim dzieci (dosłownie – był przecież w koalicyjnym rządzie PiS, Samoobrony i LPR ministrem edukacji i to młodzież była adresatem wezwań o „worze i jeziorze"), wspierają jego walkę i rozpinają parasol ochronny nad najbrudniejszymi poczynaniami zarządzanych przez Giertycha oszczerców i hejterów. Gdy z rzadka muszą się z niego tłumaczyć, mówią, że przez te lata



eprasa.pl a6f11ff05f

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

„Giertych się bardzo zmienił", „dojrzał", został demokratą, zwolennikiem Unii Europejskiej i „naprawił swe dawne błędy".

## OSOBISTE PROFITY

Nic podobnego. Istotnie Roman Giertych – by użyć niezapomnianej frazy Mariana Hemara – „co kiedyś kąsał, liże, co lizał, dzisiaj kąsa", ale próżno by szukać w jego licznych wypowiedziach jakiejkolwiek samokrytyki. Obecny Giertych może nie powtórzyłby publicznie swych tez o Unii Europejskiej i o potrzebie przyjaznych stosunków z Rosją z programowej książki „Kontrrewolucja młodych" z roku 1994 (szukał wtedy swojego miejsca na scenie politycznej we współpracy z Unią Polityki Realnej i Januszem Korwin-Mikkem), ale też nigdy się od nich nie odciął ani się z nich nie tłumaczył. Nikt tego od niego wcale nie wymagał, choć przecież w innych wypadkach wymóg samokrytyki (np. wobec pisarzy, którzy przyjęli kiedyś „prawicową" Nagrodę Józefa Mackiewicza) egzekwowany jest przez salon bardzo konsekwentnie.

W istocie to nie Giertych się zmienił; to lewicowo-liberalna elita zaakceptowała go z całym „dobrodziejstwem inwentarza". Polityczny plan Giertycha, który zaczął on realizować po upadku wspomnianego wyżej wspólnego rządu z PiS i Samoobroną, był zasadniczo różny od zwykłych „przesiadek" z PiS do PO, których dokonali Stefan Niesiołowski, Radosław Sikorski, Joanna Kluzik-Rostkowska czy Paweł Kowal. Przypominał powtórkę z kolaboracji z komunistami Bolesława Piaseckiego. I – powiedzmy od razu – przyniósł podobne skutki: z politycznych wyrachowań nic nie wyszło, ale próba ich realizacji zapewniła autorowi makiawelicznych koncepcji znaczne osobiste profity.

Zdaniem większości komentatorów jedyną motywacją Giertycha ma być chęć zemsty na Jarosławie Kaczyńskim. Lider PiS istotnie usiłował swego koalicjanta zniszczyć, podobnie jak Andrzeja Leppera, i przejąć jego partię – Giertych opowiadał o prowokacji CBA analogicznej do tej z „odrolnianiem działki", w którą wkręcono Leppera; w jego wypadku chodzić miało o jakiegoś podstawionego księdza, który błagał, by mu coś tam z przymknięciem oka na przepisy załatwić dla parafii. Giertych jest generalnie mało wiarygodny, ale ta akurat opowieść pasowała do ówczesnych działań ludzi PiS w służbach i może być prawdą. Nawet zresztą jeśli nie, to w latach 2005–2007 PiS niewątpliwie dążył konsekwentnie do zmarginalizowania i zniszczenia koalicjantów, na których skazał go wyrok wyborców (być może dlatego, że Jarosław Kaczyński zwyczajnie się nimi, „chamem i faszystą", brzydził), i dążenie to zrealizował, jakkolwiek za nieprzewidzianie wysoką cenę utraty władzy. Tym samym cały dotychczasowy dorobek polityczny Giertycha został obrócony w gruzy.

Zajadła nienawiść, która przepełnia wypowiedzi Giertycha na temat Kaczyńskiego, Ziobry i ich politycznych stronników, nie pozwala wątpić, że jego stosunek do lidera PiS jest głęboko emocjonalny. I – jak się zresztą zdaje – odwzajemniony. Trudno nie zauważyć, że lider PiS wywodzi się z krańcowo odmiennej formacji – inteligenckiej, mocno zanurzonej w tym, co wypada, a co nie, czego się nie robi, a przynajmniej udaje, że się nie robi, czym „porządny człowiek" się brzydzi. Po Giertychu, z jego skomplikowaną sytuacją rodzinną (ojciec, Maciej, przyjął zaproszenie do Rady Konsultacyjnej przy Wojciechu Jaruzelskim, realizując ekscentryczne, prorosyjskie koncepcje dziadka Jędrzeja), nigdy nie było znać takich zahamowań, wyznawał zawsze kult skuteczności i dopuszczalności wszelkich środków, które prowadzą do celu. Krótko po upadku pierwszych rządów PiS otwarcie chwalił się w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", że jako koalicjant Kaczyńskich świadomie sabotował rząd, potajemnie współpracując z Donaldem Tuskiem i wspólnie z nim grając na zmianę władzy. Ani Tusk, ani nikt z jego otoczenia nigdy się do tych rewelacji nie odnieśli.

Jeśli Giertych nie kłamał i rzeczywiście liczył na zmianę sojuszy po doprowadzeniu do upadku wspólnego rządów z PiS i Samoobroną, to został wtedy przez Tuska ograny. Lider PO odrzucił promowaną przez Giertycha koncepcję rządu „wszyscy przeciwko PiS" i doprowadził, wbrew obawom swego politycznego i medialnego zaplecza, do wcześniejszych wyborów, które wygrał, a w których Giertych – podobnie jak Lepper – stracił wyborców na rzecz PiS i znalazł się na politycznym marginesie. Pozostał w polityce wyłącznie jako prawnik, którego z sobie znanych powodów postanowił obdarzyć swym zaufaniem i powierzyć mu prowadzenie swych spraw Tusk, oraz jako dyżurny krytyk Kaczyńskiego, zawsze gotowy rzucać dowolne kalumnie na swego byłego koalicjanta i jego brata, prezydenta, u Moniki Olejnik i innych redaktorów wspierających PO w walce o „domknięcie systemu".

Zaczynając od tej drugiej sprawy: złośliwości, oskarżenia i insynuacje pod adresem braci Kaczyńskich nie były jedyną treścią jego medialnych wystąpień. Z uporem, podobnym jak przed laty „genialnyj malczik" Piasecki



eprasa.pl a6f11ff05f

gen. Sierowowi czy później Kuroń Lesiakowi, klarował swym rozmówcom, że nad Polską nie da się trwale zapanować, nie mając w koalicji rządzącej komponentu „narodowo-katolickiego". Szczególnie znaczący jest tu wywiad, którego udzielił Giertych „Gazecie Wyborczej" w roku 2012, w czasie, gdy Tusk, rozpoczynając po drugim wyborczym zwycięstwie w Polsce starania o posadę w Unii Europejskiej, zaczął zdecydowanie zmieniać profil swej formacji na bardziej „europejski", czyli lewicowo-liberalny. Skończyły się rodzinne zdjęcia na tle krzyży i świętych obrazków, zaczęły deklaracje o „nieklękaniu przed księdzem", „związkach partnerskich" i „prawach kobiet" oraz aplikowanie Polsce konwencji stambulskiej. Giertych przestrzegał we wspomnianym wywiadzie, że ten skręt rządzącej formacji w lewo i osierocenie umiarkowanego centrum skończyć się musi powrotem do władzy PiS. Jak się okazało, przewidywał trafnie, czego jednak lewicowo-liberalne elity, po nieoczekiwanym wyborczym sukcesie w roku 2007 „żyjące w stanie silnej rokoszy" (określenie Jarosława Kaczyńskiego z nieco wcześniejszych czasów) i w przekonaniu, że elektorat katolicko-narodowy „wymiera jak dinozaury", nie chciały przyjąć do wiadomości. O poważnym potraktowaniu politycznej oferty Giertycha nawet nie myślano. Zaakceptowano go wyłącznie w roli antypisowskiego bulteriera.

## ZAMIAST POPULARNOŚCI UŻYTECZNOŚĆ

Próby zbudowania i doklejenia do formacji, umownie mówiąc, „pomagdalenkowej", jakiegoś narodowo-katolickiego neo-Paxu budowanego na bazie Instytutu Myśli Państwowej, z udziałem polityków takich jak Michał Kamiński, Stefan Niesiołowski i Kazimierz Marcinkiewicz, przy nieformalnej współpracy Radosława Sikorskiego, skończyły się więc fiaskiem – ostateczny kres tym staraniom położyła wyborcza klęska Bronisława Komorowskiego, który miał być politycznym patronem nowej formacji. Sam fakt, że taka próba została podjęta i że były lider LPR włożył w nią sporo wysiłku, dowodzi, iż będąc sprawnym w intrygach i kuluarowych spiskach, pozostaje on zupełnie pozbawiony wyczucia społecznych nastrojów. Giertych z tamtych czasów wydawał się autentycznie wierzyć, że stoi jeszcze za nim jakiś katolicko-narodowy elektorat, że demonstracyjne chodzenie do kościoła i pamięć o niegdysiejszym wkręceniu się w orbitę Radia Maryja wystarczą, by występować w imieniu Polski tradycjonalistycznej. W istocie wiarygodność byłego lidera LPR wśród „prawicowych" wyborców zmalała do zera, został u nich nieodwołalnie skreślony jako zdrajca i koniunkturalista – szybko on sam i jego ludzie usunięci zostali z Młodzieży Wszechpolskiej, w której do głosu doszło nowe pokolenie na czele z Robertem Winnickim i Krzysztofem Bosakiem, oraz ze wszelkich struktur Ruchu Narodowego. A w łaski „młodych, wykształconych i z wielkich miast" i tak się nie wkupił.

**Bez internetowych hejterów Giertycha propaganda rządzących zostałaby łatwo przykryta kpinami i krytyką**

Nie mogąc być popularny, postanowił Giertych być użyteczny. Na dwa sposoby. Po pierwsze, świadczył usługi osobiście ważnym ośrodkom i osobom z obozu lewicowo-liberalnego jako prawnik. Podejmował się prowadzenia każdej zleconej sprawy, bez oglądania się na jej konteksty moralne. Wyciągał z kłopotów bliskich ważnych osób (np. negocjując wycofanie oskarżenia z amerykańskim właścicielem sklepu, w którym przyłapano na próbie kradzieży żonę byłego ministra sportu i turystyki Mirosława Drzewieckiego), zastraszał ich przeciwników (fraza „Roman już pisze pozew" stała się internetowym memem), obsługiwał interesy, także te najbardziej wątpliwe. W palestrze jako przykład jego sposobu działania opowiada się anegdotę o magazynie pewnego powiązanego z władzą biznesmena, w którym służby celne spodziewały się znaleźć znaczną ilość kontrabandy. Na szczęście dla wspomnianego biznesmena Giertych przybył z Warszawy na czas i mnożąc przeszkody formalne oraz proceduralne sztuczki, uniemożliwiał kontrolerom wejście do magazynu aż do końca dnia. Gdy następnego ranka wrócili oni z żądanymi przez adwokata papierami, okazało się, że w nocy magazyn został do gołych ścian obrabowany przez nigdy niewykrytych sprawców.

Jako prawnik Giertych nie wykazał się nigdy wybitnością, ale w sięganiu po tego rodzaju sztuczki – przy „dziwnej" pobłażliwości dla nich sądów i organów samorządu adwokackiego – osiągnął renomę niezwykle biegłego. Zresztą i w polityce jego największym sukcesem, obok utrącenia w 2005 r. prezydenckiej kandydatury Włodzimierza Cimoszewicza przez odpalenie skandalu z Anną Jarucką, było sparaliżowanie na cały dzień prac Sejmu regulaminowymi sztuczkami, czego udało mu się dokonać już po opuszczeniu koalicji z PiS w sierpniu 2007. Sam także uniknął w 2020 r. odpowiedzialności w związku z aferą związaną ze spółką Polnord (w transakcjach między firmą a czterema spółkami, formalnie należącymi do jego bliskich współpracowników, reprezentował wszystkie strony jednocześnie) dzięki sławnemu „omdleniu" podczas rewizji i stawianiu zarzutów, co pozwoliło mu uciec za granicę, gdzie ukrywał się przez ostatnie trzy lata rządów PiS, kierując pracami swej kancelarii w Warszawie zdalnie.

Właśnie na „wygnaniu" w Toskanii zajął się Giertych działalnością, która przyniosła mu obecny sukces. Na wzór powstałej spontanicznie internetowej grupy #SilniRazem agregującej w Internecie przekaz lewicowy założył własną internetową bojówkę – „Sieć na wybory". W przeciwieństwie do poprzedników, którzy wydawali się działać dość spontanicznie, po prostu oznaczając się wspólnym dla sympatyzujących ze skrajną lewicą hashtagiem, Giertych podszedł do zagadnienia metodycznie, przenosząc do Internetu swe dawne doświadczenia z okresu budowania Młodzieży Wszechpolskiej, która w jego wersji pełna była różnych dziwnych, paramasońskich podległości, wewnętrznych poufnych struktur i wielostopniowych wtajemniczeń. O wewnętrznej strukturze tej bojówki, przez Giertycha uparcie reklamowanej jako „społeczna inicjatywa obywateli", wiemy dziś sporo dzięki internaucie o nicku Profesor Pingwin, który z kilkoma współpracownikami zdołał


eprasa.pl a6f11ff05f

wejść w szeregi Giertychowych trolli i częściowo poznać strukturę, w której grupy liczące po kilkadziesiąt osób, przeważnie dysponujących wolnym czasem i podatnych na fanatyzm emerytów, zarządzane są przez lokalnych koordynatorów, a ci z kolei otrzymują „przekazy dnia" i listy celów do atakowania bądź „plusowania" z grupy ścisłego kierownictwa. Zdaniem „Profesora Pingwina" struktura ta oparta została głównie, przynajmniej na szczeblu średnim, na dawnych regionalnych działaczkach Ligi Polskich Rodzin z czasów, gdy Giertych uchodził za gorliwego katolika i starał się wykorzystać do swej kariery Rodzinę Radia Maryja. Perwersyjna droga, którą przeszły koordynatorki, od publicznych różańców do kolportowania w Internecie wezwań do homoseksualnych gwałtów na aresztowanych politykach PiS i fizycznych napaści na tych, których przewodniczącemu „sejmowego zespołu do rozliczenia rządów PiS" dopaść się jeszcze nie udało, wydaje się doskonałą egzemplifikacją politycznej demoralizacji, której Giertych stał się wzorcem.

Sam mecenas zaprzecza, jakoby inspirował swoją internetową jaczejkę do hejtu i szerzenia nienawiści, nazywa ją „społecznym przeciwstawianiem się dezinformacji szerzonej przez PiS". Sieć nie jest zresztą jedynym narzędziem, którym się w swej kampanii posługuje. Tajemnicą poliszynela jest jego patronat nad patostreamerem Janem Pińskim – upadłym dziennikarzem dawnego „Wprost", za poprzednich rządów Tuska mianowanym naczelnym przejętego przez Grzegorza Hajdarowicza tygodnika „Uważam Rze", który swą tyleż tępą, co spiskową propagandą błyskawicznie doprowadził ten tytuł do upadku. Mimo to dzięki protektorom nadal funkcjonuje i rozsiewa niestworzone teorie, natychmiast repostowane przez sieć Giertycha i prominentnych polityków PO. To Piński np. po śmierci Barbary Skrzypek upowszechnił narrację, z której mogło wynikać, że to Kaczyński odpowiada za jej śmierć – narrację symetryczną do – całkowicie zmyślonych, jak się potem okazało – sensacji ogłoszonych w „Gazecie Wyborczej" przez Wojciecha Czuchnowskiego. Obu tych peowskich influencerów łączy zresztą skrywane porozumienie, które widać we wzajemnym nagłaśnianiu i agregowaniu zasięgów wszystkich swoich poczynań – analizowała je przed laty Dorota Kania, pokazując także istotny udział wówczas w tym porozumieniu trzeciego patologicznego hejtera, Zbigniewa Stonogi. Ujawnione też zostały, w czasach ukrywania się w Toskanii, powiązania Giertycha z hejterskim portalem Sok z Buraka, wyspecjalizowanym w poniżaniu, lżeniu i zniesławianiu pomówieniami o rzekome przestępstwa ludzi związanych z PiS bądź krytykujących dziennikarzy PO.

## ZDEJMOWANIE DAWNEGO ODIUM

Wszędzie, gdziekolwiek pojawiają się plugawy język, życzenia śmierci, oszczerstwa i wulgarne aluzje seksualne pod adresem wrogów obecnej elity rządzącej, utopione w sosie spiskowych „dowodów" powiązań z Władimirem Putinem i mafią, tam w ten czy inny sposób pojawia się Roman Giertych. W miarę jak kolejne „konkrety" Tuska i wszelkie pozytywne punkty programu, z którym on i jego koalicjanci szli do władzy, znikają bądź zostają skompromitowane i narasta potrzeba przykrywana kolejnych klęsk rządu emocjami „rozliczeń", dawny „faszysta" jest dla elit już nie tylko użyteczny, lecz także coraz bardziej niezbędny.

To był długi proces – michnikowszczyzna i jej polityczne emanacje „giertychizowały" się stopniowo, krok po kroku. W miarę jak Giertych stawał się dla niej przydatny, wykonując najbrudniejszą robotę, którą nie wypadało osobiście brudzić sobie inteligenckich rączek, ta zdejmowała z niego dawne odium. Dotyczyło to także spektakularnego powrotu na salony jego sędziwego ojca; lider partyjki, która w 1991 r., szła do wyborów parlamentarnych pod hasłem „ani żydokomuna, ani żydosolidarność" 20 lat później znalazł się na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej" z tytułem „Nestor ruchu narodowego przestrzega przed PiS!". O wydrukowaniu tam czegoś podobnego jak dwuczęściowa „Saga rodu Giertychów" Artura Domosławskiego z 2002 r. nie ma już dziś mowy. Bez Giertycha nie byłoby powrotu animowanej przez niego od początku afery „dwóch wież", bez jego internetowych hejterów propaganda rządzących zostałaby łatwo przykryta kpinami i krytyką, zepchnięta do defensywy. Prywatnie prominentni przedstawiciele oświeconych elit nadal zapewniają, że się Giertychem brzydzą – ale publicznie nie zgłoszą już wobec niego żadnych zastrzeżeń. Jeśli wciąż nie został on – jak publicznie domagała się Ewa Wrzosek – ze sławnym „to nie jest czas na trzymanie się litery prawa" następcą Adama Bodnara, to tylko dlatego, że sam tego nie chce; rola „szarej eminencji" – wpływy niepołączone z odpowiedzialnością za cokolwiek – odpowiada mu znacznie bardziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA MUZYKA



eprasa.pl a6f11ff05f

# Efekt Mentzena

**Z Krzysztofem Bosakiem, wicemarszałkiem Sejmu, prezesem Ruchu Narodowego, jednym z liderów Konfederacji**
*rozmawia Ryszard Gromadzki*

**RYSZARD GROMADZKI: Premier Donald Tusk oskarża Konfederację i PiS o działanie na szkodę Polski, wymierzone w jej bezpieczeństwo. Co chce osiągnąć Tusk, budując narrację, że Konfederacja i PiS, głosując przeciw rezolucji Parlamentu Europejskiego w sprawie wspólnej europejskiej obrony, a później – uchwale Sejmu o bezpieczeństwie RP, są przeciw „Tarczy Wschód", a więc żywotnym polskim interesom, prawie po stronie Władimira Putina?**

**KRZYSZTOF BOSAK:** Tusk wykorzystuje w tej sprawie dwa dobrze znane chwyty. Jeden to próba grania poczuciem zagrożenia związanym z wojną i kreowania siebie na gwaranta bezpieczeństwa Polski. Ten manewr został już wykorzystany wcześniej przy ustalaniu priorytetów polskiej prezydencji w Unii Europejskiej czy w związku z natychmiastowym zwrotem tuż po wyborach, polegającym na wejściu w buty PiS, przynajmniej retorycznie, jeśli chodzi o sytuację na granicy z Białorusią. Ten sam schemat dotyczy poparcia programu nowych zbrojeń w UE. Przy czym poparcie dla programu zbrojeń ma przede wszystkim charakter wizerunkowy – z rzeczywistymi zbrojeniami ma to niewiele wspólnego. Od półtora roku jesteśmy w stanie stagnacji w tym obszarze. Drugi chwyt, którym w tej sprawie posługuje się Tusk, poprzez sugerowanie związków opozycji z Rosją, obliczony jest na pogłębianie polaryzacji w społeczeństwie. Jest to stara gierka, przejęta przez Tuska od PiS, polegająca na insynuacji: „Kto nie z nami, ten rosyjski agent". W tym wypadku – „Kto przeciw rezolucji Parlamentu Europejskiego, ten agent Putina". Celem tych manewrów jest stworzenie wrażenia, że bezpieczeństwo mogą zapewnić Polakom jedynie Tusk i jego formacja. Bo to tylko on jest prawdziwym szeryfem. Oczywiście ta gra to część kampanii wyborczej.

**To znaczy, że ostatnie tygodnie kampanii upłyną pod znakiem „polowania na ruskich agentów"? Tusk się spodziewa, że w tej roli obsadzeni zostaną Konfederacja i wasz kandydat na prezydenta?**

Jesteśmy przygotowani na wszelkiego rodzaju oskarżenia i ataki. Nie robi to na nas wrażenia, bo – po pierwsze – niesprawiedliwe oskarżenia w naszym kierunku to coś, do czego jesteśmy od dawna przyzwyczajeni, i właściwie nigdy nie funkcjonowaliśmy w znacząco innych warunkach. Po drugie, uważamy, że wiarygodność tych oskarżeń jest zerowa. Trzeba całkowitej ignorancji lub złej woli, żeby dopatrzyć się jakichkolwiek wątpliwych sformułowań czy postulatów w przekazie Sławomira Mentzena czy w jego kampanii. Przeciwnie, to on – podobnie jak nasza formacja – pierwszy ostrzegał w kwestiach związanych z bezpieczeństwem państwa i obronnością, na długo zanim zaczęły robić to inne partie. W okresie, kiedy rządził PiS, głosowaliśmy zawsze jednoznacznie we wszystkich kluczowych głosowaniach dotyczących bezpieczeństwa i obronno-



eprasa.pl a6f11ff05f

FOT. TOMASZ CZELL/PAP

ści czy sytuacji na granicy w odróżnieniu od partii, które tworzą zaplecze Rafała Trzaskowskiego.

**Czy brutalny zamach na demokrację, który miał miejsce w Rumunii w związku z unieważnieniem pierwszej tury ubiegłorocznych wyborów prezydenckich i wyeliminowaniem z nich antysystemowego kandydata Călina Georgescu, może powtórzyć się także w Polsce czy to political fiction?**

Mamy za sobą zarejestrowanie naszego kandydata. W Rumunii po anulowaniu pierwszej tury wyborów Georgescu nie został dopuszczony do ich powtórzonej edycji w maju. W tym sensie, dosłownie rzecz biorąc, wariant rumuński nam nie grozi. Natomiast różnego rodzaju manipulacje czy machinacje związane z samym przebiegiem wyborów są oczywiście możliwe. Chcę wierzyć, że nie nastąpią.

**Spodziewa się pan szczególnie brudnego finału kampanii prezydenckiej?**

Nie mam takich obaw. Przyzwyczailiśmy się, że kampanie prezydenckie są u nas ostre. Na szczęście nie przenosiło się to nigdy na niepokoje społeczne w postaci starć czy zamieszek ulicznych. W tym sensie można powiedzieć, że Polska jest dojrzałą demokracją, która swoje spory rozstrzyga przy urnach wyborczych – i tak powinno być. Nie widzę obecnie przesłanek, które miałyby powodować, że ta kampania będzie bardziej brutalna niż poprzednie.

**Coraz więcej sygnałów sondażowych wskazuje, że wejście Sławomira Mentzena do drugiej tury wyborów prezydenckich jest realnym scenariuszem. Jeśliby tak się stało, oznaczałoby to przewrót w polskiej polityce. Efekt tego przewrotu zostałby zwielokrotniony, gdyby Mentzenowi udało się wygrać wybory.**

Podchodzę do tego ze spokojem. Sławomir Mentzen i Karol Nawrocki są kandydatami młodszymi pokoleniowo od kandydatów, którzy w nich startowali dotychczas i wygrywali je. Obaj są politykami dość konserwatywnymi. Moim zdaniem ewentualne wejście Sławomira Mentzena do drugiej tury nie byłoby źródłem żadnego szoku.

**Jak to? Przecież w końcu, po 20 latach, pękłby monopol PO-PiS...**

Wydaje mi się, że jest to scenariusz dużo bardziej naturalny dla społeczeństwa niż dla samych polityków PiS i Platformy. Myślę, że to oni boją się najbardziej takiego scenariusza, bo jest on dla nich elementem nieprzewidywalności w ich poniekąd poukładanym, polaryzującym społeczeństwo duopolu partyjnym. Myślę, że obie strony tej rywalizacji wolą toczyć ten spór ze sobą niż z jakimkolwiek trzecim partnerem. Dziesięć lat temu bali się Pawła Kukiza, później wspólnie nie chcieli w Sejmie Konfederacji i jej przetrwania. A teraz z niepokojem patrzą na wyniki Mentzena i Konfederacji. Bardzo nie chcieli, żebyśmy w 2023 r. zyskali status siły, która może przesądzić, kto będzie rządził Polską, i bardzo się boją, że może do tego dojść po wyborach w 2027 r. Natomiast jest to dobra wiadomość dla polskiego społeczeństwa, dlatego że oznacza ona rozhermetyzowanie się jałowego systemu politycznego, który panuje w Polsce. Obie strony podtrzymują ten system przy życiu, opierając się na fałszywych nadziejach i zwodniczych obietnicach. Platforma mówi o „ratowaniu demokracji przed PiS", a PiS „o ratowaniu ojczyzny przed Platformą". W rzeczywistości skuteczność tego straszenia jest niska. A żadna ze stron stosujących je nie osiągała celów, które obiecuje.

**Wejście Sławomira Mentzena do drugiej tury byłoby dużo bardziej naturalne dla społeczeństwa niż dla samych polityków PiS i Platformy. Myślę, że to oni boją się najbardziej takiego scenariusza, bo jest on dla nich elementem nieprzewidywalności w ich poniekąd poukładanym, polaryzującym społeczeństwo duopolu partyjnym**

**Sławomir Mentzen ma potencjał, żeby rozhermetyzować system? Mówiąc wprost: Czy ma więcej atutów, żeby pokonać Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze, niż Karol Nawrocki?**

Zgadzam się z taką oceną, bo uważam, że wyborcy mogą chętnie poprzeć przeciw Rafałowi Trzaskowskiemu kandydata niezwiązanego z PiS. Kandydat niezwiązany z PiS ma bez wątpienia większą szansę uzyskać poparcie ponad połowy



eprasa.pl a6f11ff05f

wyborców. PiS po ośmiu latach rządzenia, niestety w bardzo aroganckim stylu, ma po prostu bardzo duży elektorat negatywny. Uważam, że PiS dobrze to odczytał, dlatego nie wystawił w tych wyborach żadnego ze swoich liderów, a Karola Nawrockiego przedstawia jako kandydata obywatelskiego niezwiązanego z partią. To element przyznania się do winy. Natomiast za Sławomirem Mentzenem nie ciągnie się żadne odium. W tym sensie, kierując się prostym wnioskowaniem, ma on większe szanse na zdobycie głosów „niepisowskich" – a zarazem niechętnych Rafałowi Trzaskowskiemu – niż Karol Nawrocki. Czy tak się stanie? Tego dowiemy się tylko wtedy, gdy jeden z nich wejdzie do drugiej tury wyborów prezydenckich.

**Czy Sławomir Mentzen jest w stanie przejąć elektorat Grzegorza Brauna? Nie sądzi pan, że wyniki Brauna pokazywane w sondażach są niedoszacowane? Na jego spotkaniach pojawiają się tłumy ludzi, jak wynika z relacji w mediach społecznościowych.**

Bardzo trudno jest powiedzieć w sposób odpowiedzialny cokolwiek na temat wyborców Grzegorza Brauna, dlatego że przez ostatnie siedem lat Braun startował w wyborach z Konfederacją. Swoje dobre wyniki, podobnie jak my wszyscy, zawdzięczał zjednoczeniu sił w ramach Konfederacji. Jeśli się nie mylę, to ostatni raz startował samodzielnie 10 lat temu w wyborach prezydenckich. To dość dawno, a jego wynik był wówczas bardzo niski. Dziś oczywiście może być wyższy, natomiast nie mamy w tej chwili żadnych poważnych przesłanek poza sondażami, żeby stwierdzić, ilu ludzi rozważa na poważnie głosowanie na niego w wyborach. Wstrzymałbym się tu z opinią. Uważam, że Sławomir Mentzen jest w stanie zdobyć głosy wyborców Konfederacji i przyciągnąć nowych wyborców. Widzę, że idzie mu dość dobrze, prowadzi bardzo intensywną kampanię wyborczą. Ale pokora jest zawsze dobrym doradcą w kampaniach wyborczych.

**Konfederacja wyciągnęła wnioski po rozczarowujących wynikach wyborów parlamentarnych w 2023 r.?**

Wszyscy jako politycy Konfederacji uczymy się na błędach. Półtorej kadencji, którą jesteśmy w Sejmie, to nie jest dużo, ale tym więcej każdy rok „waży" pracy i nauki w tym składzie. Myślę, że każdy, kto uczciwie spojrzy na nas i nasz styl działania, zauważy, że to nie jest rok 2019 lub 2023. Zmieniamy się, cały czas się rozwijamy. Dzieje się to po części w sposób świadomy, a po części naturalnie. Wszyscy nabieramy nowych doświadczeń, nasze kadry się docierają. Nie znaczy to, że jesteśmy impregnowani na popełnianie błędów. Polityka jest niezwykle złożona, każdego dnia trzeba podejmować nowe decyzje, a każda z nich jest obłożona ryzykiem. Doświadczam tego jako wicemarszałek Sejmu każdego dnia, dowiadując się czegoś nowego o funkcjonowaniu państwa, polityki międzynarodowej czy gospodarki. Jako Konfederacja jesteśmy dziś bogatsi o siedem lat pod względem prowadzenia polityki parlamentarnej i o ok. 10 wspólnych kampanii wyborczych. Ten postęp przejawia się też w sposobie, w jaki jesteśmy traktowani. W 2020 r., kiedy kandydowałem na prezydenta, czułem, że Konfederacja jest odbierana jako byt sezonowy, a dziś jesteśmy traktowani bardzo poważnie – jak pełnoprawni partnerzy.

**Nie obawia się pan, że wrastając w politykę parlamentarną, wtopicie się w system, który teraz ostro kontestujcie?**

Nie interesuje nas wtopienie się w system. Myślę, że kryterium „wtopienia się w system" – jak pan to ujął – jest liczba dobrze płatnych stanowisk dla partyjnych kadr. W naszym przypadku ta liczba wynosi okrągłe zero. Nie ma żadnej agendy państwowej czy spółki, która byłaby naszym bastionem, w której nasze kadry wrastałyby w system. Ten proces nie ma miejsca. Przeciwnie – sytuacja wzrostu poparcia, a jednocześnie izolacji od bezpośredniego wpływu na państwo czy pozostawanie w opozycji przez kolejne kadencje, wyostrza nasz apetyt na wszelkiego rodzaju działania reformatorskie. Ten apetyt zaczyna być kanalizowany w większej aktywności legislacyjnej; jako klub parlamentarny zaczynamy składać swoje projekty ustaw. Ale myślę też o aktywności związanej z organizowaniem konferencji czy działania thinkthankowe. Oczywiście zawsze można sformułować zarzut, że jeśli ktoś nabiera świadomości złożoności spraw, przygotowuje się kadrowo do rządzenia państwem, to staje się podejrzany, bo nie jest już taki radykalny i beztroski w różnych deklaracjach. Myślę, że dla nas wszystkich jest jasne, po co jesteśmy w polityce. Ano po to, żeby zmieniać rzeczywistość zgodnie z własnymi przekonaniami. Moim zdaniem większym ryzykiem jest dla nas kwestia skuteczności politycznej, jej braku, niż ewentualna utrata impetu i autentyczności.

**Czy może pan dziś zadeklarować, że Konfederacja dojrzała do przejęcia odpowiedzialności za państwo? Jesteście gotowi do rządzenia Polską?**

Myślę, że tak. Jesteśmy gotowi do przejęcia przynajmniej części władzy w państwie. Pracujemy nad tym. Współdziałamy z organizacjami gospodarczymi, z ludźmi, którzy zajmują się konkretnymi sprawami. Jest bardzo wielu zdolnych ludzi, którzy albo już z nami pracują, albo chcą z nami pracować. Niekoniecznie są w naszych partiach, ale chcą służyć swoimi doświadczeniami i talentami. Czekają na racjonalną, zdroworozsądkową siłę w polskiej polityce. Wydaje mi się, że ci wszyscy, którzy oceniają, iż nie jesteśmy gotowi, żeby rządzić, nie wiedzą, jak wiele jest wokół nas osób z bogatym doświadczeniem zawodowym czy wprost – państwowym, które są gotowe nim służyć Polsce. Żadna partia nie rządzi państwem tylko swoimi własnymi siłami, lecz rządząc, posługuje się bardzo szerokim wachlarzem kadr, które służą państwu polskiemu niezależnie od tego, kto rządzi. Głównym problemem w Polsce nie jest w tej chwili to, że partie nie posiadają kadr do obsadzenia każdego urzędu. Głównym problemem jest brak zmysłu państwowego i brak właściwego spojrzenia ideowego u tych, którzy podejmują decyzje, będąc na samym szczycie. O tym, że już jesteśmy gotowi do rządzenia, niech świadczy to, że krytykując obecny czy poprzedni rząd, prawie za każdym razem mieliśmy rację. Mamy wyczucie państwowe. Co do kadr – one już są i czekają, żeby zrobić z nich użytek, pozwolić im pracować. Powtórzę raz jeszcze: mamy w Polsce naprawdę wielu utalentowanych ludzi, którzy chcą pracować dla kraju. Ale nasze rządy nie kierują się kryterium kompetencji, dlatego ci ludzie wciąż czekają na swoją szansę.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

# Platforma i PiS patrzą na Mentzena

*Piotr Semka*

**Sztab Karola Nawrockiego bardzo długo nie brał pod uwagę, że kandydat Konfederacji może być groźnym rywalem przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. Obowiązywało zalecenie, by go bez potrzeby nie atakować. Wszystko po to, aby jak najwięcej wyborców Konfederacji wsparło Nawrockiego w drugiej turze. Ale jak się zachować, gdy Mentzen niemal dogania kandydata PiS przed pierwszą turą?**

Sławomir Mentzen ma prawo czuć się jak pączek w maśle. Rozliczne sondaże od połowy stycznia wskazują, że zdecydowanie goni on Karola Nawrockiego i Rafała Trzaskowskiego. Ostatnie wyniki z połowy marca także są dla niego obiecujące. Badanie UCE Research dla portalu Onet daje odpowiednio Trzaskowskiemu 37,8 proc., Nawrockiemu 25,3 proc., a Mentzenowi 19,6 proc. Sondaż Opinii 24 dla TVN24 przyznaje Trzaskowskiemu 36,3 proc., Nawrockiemu 20,4 proc., a Mentzenowi 18 proc. I wreszcie badanie CBOS z 25 marca to 34 proc. dla Trzaskowskiego, 23 proc. dla Nawrockiego i 21 proc. dla Mentzena.

Niewątpliwie to lider Konfederacji wszedł w rolę kandydata protestu, czyli wyborców zmęczonych ponad 20-letnią dominacją Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. W 2015 r. rolę tę pełnił Paweł Kukiz, a pięć lat potem w 2020 r. – Szymon Hołownia. Z tym że od tamtej pory obecny marszałek Sejmu roztrwonił swój status lidera trzeciej siły, ośmieszając się serwilizmem wobec Donalda Tuska. Mentzenowi pomogło też to, że Krzysztof Stanowski, typowany na kogoś, kto zbierze głosy protestu, na tyle demonstracyjnie lekceważy swoje kandydowanie, iż otrzymuje znikome ok. 2 proc. w sondażach.

W wypadku Mentzena sprawdziła się taktyka wielu krótkich spotkań w średnich i małych miastach. Jeśli dodamy do tego dużą sprawność propagowania swojej kandydatury w sieci i docierania do młodego wyborcy, to można zrozumieć jego sondażowy awans. Teraz Mentzen, mając już w garści młodą generację, chce dotrzeć do pokolenia 50+ za pomocą ich dzieci i wnuków. Ale to nie musi się udać. Na dodatek im dłużej trwa kampania, tym bardziej wychodzi na jaw, że Mentzen powtarza wyuczony monolog, unikając dłuższych rozmów z miejscową ludnością. Niewielkie wiece w niewielkich miejscowościach, owszem, pozwalają mu zdobyć serca wyborców w małych miasteczkach, ale nie nauczyły go reagowania na konfliktowe sytuacje. Gdy padają nieodpowiadające mu pytania dziennikarzy i dziennikarek, reaguje brakiem cierpliwości. Wychodzi też na jaw, że jego wystąpienia w kolejnych małych miastach są niemal bliźniaczo do siebie podobne. Ale na razie dystans Mentzena do Nawrockiego się zmniejsza.

## MŁOT NA PIS?

Swoista taryfa ulgowa, którą otrzymał lider Konfederacji od koalicji Lewicy i obozu liberalnego, to element planu walki z obywatelskim kandydatem PiS. W Platformie bardzo żywe są nadzieje, że ewentualna klęska Nawrockiego w wyborach prezydenckich może po nich doprowadzić do politycznego trzęsienia ziemi. Marzeniem PO byłoby wycofanie się Jarosława Kaczyńskiego z kierowania partią. Bez niego PiS podzieliłby się na parę obozów, a wtedy dominacja Platformy mogłaby być liczona na dekady. Sam Mentzen nie wyklucza, że sondaże na jego temat są nadmuchiwane, ale nie martwi się tym, bo zakłada, iż nawet jeśli badania są podkręcane, to i tak niosą go w górę. Dla obozu III RP każdy, kto zepchnie PiS na boczny tor, zasługuje w krótkim planie na uznanie.

Jako oczywistość uznaje to np. publicysta „Rzeczpospolitej" Michał Kolanko. Na łamach tej gazety stawia on tezę, że pierwsza tura wyborów prezydenckich to swoiste prawybory na prawicy. I zwycięstwo w tej rywalizacji – niezależnie od rezultatu późniejszej ostatecznej batalii z Trzaskowskim – może mu zapewnić wygraną po prawej stronie sceny politycznej. Wszyscy, którzy po lewej i w centrum snują takie nadzieje, starannie omijają narzucającą się kwestię, że rynek polityczny bez silnego PiS znajdzie sposoby, aby ewentualny akces Konfederacji do jakiejś nowej koalicji zamienić w absolutną już dominację Donalda Tuska.

Ale ci realiści coraz częściej zderzają się z głosami niepokoju płynącymi ze



eprasa.pl a6f11ff05f

strony sztabowców Rafała Trzaskowskiego. Dobrze te nastroje opisał na stronach „Gazety Wyborczej" Aleksander Gruszczyński. Do niedawna byli sztabowcy Trzaskowskiego byli przekonani, że w drugiej turze wygra on z Nawrockim jako mniej doświadczonym kandydatem. Podkreślano też słabą rozpoznawalność Nawrockiego, nawet w elektoracie PiS. Teraz jednak zaczyna się pojawiać u sztabowców Trzaskowskiego pewien niepokój. Gruszczyński opisuje te nastroje tak: „Większość moich rozmówców z KO [...] mówi mniej więcej to samo: »(za Mentzenem) idą […] cechy, których nie ma Rafał: przebojowości, oryginalności, antyrządowych emocji«". Podobnie patrzy na sprawę Dominika Wielowieyska z tego samego medium: „Mentzen w drugiej turze może się wydać trudniejszym przeciwnikiem, bo wchodzi jako ten świeży polityk, który nigdy nie rządził. I cieszy się dobrym, wzrostowym trendem".

Sztabowcy Trzaskowskiego zakładali, że w drugiej turze spotka się on z Nawrockim, a spora część wyborców Mentzena będzie miała tak daleko posuniętą awersję do PiS, że zostanie w domu. Jeśli jednak do drugiej tury przejdą Trzaskowski i Mentzen, to wtedy 100 proc. elektoratu PiS-owskiego może zagłosować na lidera Konfederacji jako na mniejsze zło, które powstrzyma całkowite domknięcie układu władzy przez Platformę.

## LEWICA PAMIĘTA!

Ale to są tzw. taktyczne argumenty. Pozostaje jeszcze argumentacja ideowa. Na portalu Krytyka Polityczna Jakub Majmurek zadaje pytanie: „Czy powinniśmy trzymać kciuki, by Mentzen rozbił duopol?". I odpowiada: „PiS ze swoim projektem »demokracji narodowej« był – a dziś jest jeszcze bardziej – partią zagrażającą polskiemu porządkowi konstytucyjnemu […]. Projekt polityczny Konfederacji zagraża za to innej wpisanej do konstytucji zasadzie: sprawiedliwości społecznej".

Majmurek zauważa poważny ewentualny dylemat. Zastanawia się, czy odsunięcie na boczny plan PiS zrównoważy nowe zjawisko – wydźwignięcie ugrupowania mającego na swoim koncie naruszenie wszelkich politycznych tabu, których symbolem była słynna „piątka Mentzena", czyli odrzucenie „Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej". Majmurek pisze: „Wizja sceny politycznej, na której głównym ośrodkiem na prawo od PSL jest Konfederacja, zasilona jakimś transferem uciekinierów z PiS pod wodzą, dajmy na to, Patryka Jakiego, jest chyba nawet bardziej niepokojąca niż trwanie obecnego duopolu. […] oznaczałoby wejście do głównego nurtu debaty publicznej tematów, po które PiS, mimo wszystko, sięgał rzadko i z ostrożnością. Konfederacja tymczasem przez lata budowała swoją polityczną tożsamość przez nagłaśnianie treści antyszczepionkowych, klimatyczny negacjonizm, upolitycznioną homofobię, radykalny dyskurs antymigracyjny, a nawet otwarty antysemityzm".

Jeszcze ostrzejszy atak na Mentzena przypuścił prof. Marek Chmaj, prawnik utożsamiany z PO, w wywiadzie udzielonym „Wyborczej". Wskazuje on, że Mentzen w Pałacu Prezydenckim może okazać się jeszcze groźniejszym przeciwnikiem dla ekipy Tuska niż obecna głowa państwa. Chmaj mówi: „[…] dzisiaj prezydent może w wielu sprawach szkodzić, rozpychać się, ale tak naprawdę typowo władczych uprawnień ma niewiele". Prawnik przestrzega, że Mentzen może zaprezentować prezydenturę antysystemową. Jeśli tak, to blokowałby wszystkie możliwości działania rządu Donalda Tuska. Jak twierdzi Chmaj: „Prezydent antysystemowy może wetować niemalże wszystkie ustawy, odmawiać nominacji generalskich w wojsku, policji, odmawiać nominacji ambasadorów, ratyfikacji umów międzynarodowych, wstrzymać się z powołaniem prezesa Trybunału Konstytucyjnego, prezesa Sądu Najwyższego, wstrzymać się z nominacjami sędziowskimi, można tak wymieniać dalej. A zatem prezydentura antysystemowa oznacza pójście na spięcie i nierealizowanie tych kompetencji, które może realizować tylko prezydent". Na pytanie dziennikarza „GW", czy byłoby to trochę tak, jak jest teraz na linii Andrzej Duda – rząd, Chmaj odpowiada: „Tak. Natomiast ze słów Sławomira Mentzena, że »będzie się rozpychał jak nikt dotąd«, wnioskuję, że chce pobić prezydenta Andrzeja Dudę w tych działaniach antysystemowych". Takie wypowiedzi jak prof. Chmaja pokazują całe zakłamanie obozu Platformy. Rzuca on dziś gromy na Andrzeja Dudę


eprasa.pl a6f11ff05f

Sławomir Mentzen poważnie myśli o drugiej turze wyborów prezydenckich
FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

jako osobę, która szkodzi państwu, ale jednocześnie ma świadomość, że Konfederacja może być nieporównywanie brutalniejszym graczem w zderzeniu z Platformą i na dodatek ugrupowaniem mającym o wiele bardziej krytyczny stosunek do Unii Europejskiej niż odsądzany od czci i wiary PiS.

## ROZDRAŻNIENIE „MŁODSZYM BRATEM"

Gdy niedawno polityk Prawa i Sprawiedliwości Tobiasz Bocheński nazwał Konfederację „młodszym bratem", Krzysztof Bosak wybuchnął oburzoną tyradą na Twitterze. Napisał: „PiS i Konfederacja są obozami różnymi ideowo i programowo. To nie są drobne różnice, ale wręcz fundamentalne. Pisząc w uproszczeniu: PiS to neosanacja, mutacja tradycji PPS-owskiej z konserwatywno-chadecką frazeologią. Z kolei Konfederacja to sojusz narodowo-wolnościowy, a więc kontynuacja tradycji narodowej demokracji i konserwatywnego liberalizmu. Ponadto PiS był, jest i pewnie będzie prounijny, a my przeciwnie. Od 20 lat różnimy się praktycznie w każdej istotnej kwestii związanej z UE, poza kwestią paktu migracyjnego (gdzie rząd PiS wcześniej otworzył polskie granice dla masowej legalnej imigracji na gruncie prawa krajowego)".

**Apetyty obu partii prawicy są trudne do pogodzenia, bo logika wyborów prezydenckich to zawsze gra o wszystko**

Ta słowna szarża pokazała, jak silna jest wciąż nieufność między dwoma ugrupowaniami. W PiS dobrze pamiętane są słowa Mentzena z kampanii parlamentarnej w 2023 r.: „Nie idziemy do tych wyborów po to, żeby się z PiS układać, my chcemy PiS rozliczyć. Chcemy, żeby te najgorsze w historii III RP rządy jak najszybciej się skończyły". Partia Jarosława Kaczyńskiego również bardzo źle przyjmuje przypadki wsparcia Konfederatów w głosowaniach nad uchyleniem immunitetów posłów PiS w obecnej kadencji.

Sztab Nawrockiego bardzo długo nie brał pod uwagę, że Mentzen może być groźnym rywalem przed pierwszą turą wyborów. Obowiązywało zalecenie, by go bez potrzeby nie atakować. Wszystko po to, aby jak najwięcej wyborców Konfederacji wsparło Nawrockiego w drugiej turze. Ale jak się zachować, gdy lider Konfederacji niemal dogania kandydata PiS przed pierwszą turą?

Na razie w sztabie PiS dominuje przekonanie, że Nawrocki na pewno ma drugą turę w kieszeni, a sondaże sugerujące mijankę obu kandydatów prawicy mają służyć skłóceniu wyborców obu partii. Ale co będzie, jeśli sondaże wskazujące tę mijankę będą się utrzymywać?

Apetyty obu partii prawicy są trudne do pogodzenia, bo logika wyborów prezydenckich to zawsze gra o wszystko. Zarówno więc PiS, jak i Platforma w razie dalszego zyskiwania punktów procentowych przez Mentzena będą w końcu zmuszone do ostrej reakcji. Chyba że się okaże, iż nadmuchany balon popularności Mentzena można będzie stosunkowo łatwo przebić.

Już teraz widać, że polityk ten źle wypada w sytuacji rozmów „na żywo" z dziennikarzami i w opryskliwym stylu odmawia odpowiedzi na niektóre pytania. Nie musi się też zakończyć sukcesem kampania skierowana do młodych wyborców pod hasłem: „Opowiedz dziadkowi o Mentzenie". Wyborcy z grupy wiekowej 50+ mają zazwyczaj bardzo ugruntowane sympatie polityczne i perswazja wnuków wcale nie musi być skuteczna. I wreszcie mamy debaty polityczne, które wciąż są wielką niewiadomą zarówno dla Mentzena, jak i Nawrockiego. To, który z nich wypadnie w tych debatach lepiej, zadecyduje o wszystkim.

Tak naprawdę więc prawdziwym testem dla skuteczności będą ostatnie trzy tygodnie przed pierwszą turą wyborów. Paradoksalnie w lepszej sytuacji może być Nawrocki, który w ostatniej chwili może będzie miał okazję do polepszenia swego wizerunku, a notowania Mentzena, który pik popularności przechodzi obecnie, mogą tąpnąć w dół. Wynik tej rozgrywki po prawej stronie pozostaje sprawą otwartą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

# Co kryje biografia znanego gangstera?

*Paweł Zdziarski*

**18 marca Karol Nawrocki, kandydat na prezydenta popierany przez PiS, złożył ponad 1,3 mln podpisów do Państwowej Komisji Wyborczej, oficjalnie rejestrując swój start w wyborach. To nie ten fakt był jednak najważniejszym tematem odbywającej się wtedy konferencji prasowej. – Kandyduje Karol Nawrocki czy Tadeusz Batyr? – to pytanie padło wówczas z ust dziennikarzy. Pod pseudonimem Tadeusz Batyr prezes IPN napisał książkę „Spowiedź Nikosia zza grobu” o znanym trójmiejskim gangsterze Nikodemie Skotarczaku**

Adresat pytania przyznał, że nie widzi w tej sytuacji nic nadzwyczajnego. Jak zaznaczył, „pseudonimy literackie nie są niczym nowym w polskiej publicystyce i w polskiej literaturze, a także w polskiej nauce”. Karol Nawrocki podkreślił, że jest pierwszym historykiem, który badał przestępczość zorganizowaną w czasach Polski komunistycznej. Odnosząc się do uszczypliwego pytania, zagwarantował, że podpisy zostały złożone na jego prawdziwe imię i nazwisko.

To jednak nie przekonało części dziennikarzy i tematowi nadano rangę „afery książkowej”. Przypomnijmy, że jako pierwszy o sprawie napisał Onet. Portal zwracał uwagę, że Nawrocki nie tylko napisał książkę pod pseudonimem, lecz także publicznie występował jako Tadeusz Batyr, udzielając wywiadu zmienionym głosem. Z kolei na swoich profilach społecznościowych miał udawać, że spotykał się z Batyrem i rekomendował jego książkę. Sprawę oczywiście wykorzystali polityczni przeciwnicy PiS, którzy w mediach podgrzewali „aferę”. Na tym jednak nie koniec. Przeprosin i zmian w publikacji zażądała Edyta Skotarczak, wdowa po „Nikosiu”. W rozmowie z „Faktem” oskarżyła Nawrockiego o zawarte w książce manipulacje.

## TAJEMNICZA ŚMIERĆ

Mimo wszystko wiele osób z ciekawości sięgnęło po publikację, która zyskała w ten sposób „drugie życie”. A co konkretnie w niej znajdziemy? Książka przedstawia historię Nikodema Skotarczaka, znanego jako „Nikoś”, jednego z najbardziej rozpoznawalnych gangsterów w Polsce lat 80. i 90. XX w. Można powiedzieć, że stał się on wręcz symbolem przestępczości związanej z kradzieżą samochodów. Poznajemy jego działalność w kontekście ówczesnych uwarunkowań społeczno-politycznych. Autor zwraca uwagę na liczne spekulacje dotyczące rzekomej współpracy Skotarczaka z komunistycznymi służbami, jednak brakuje jednoznacznych dowodów na jego agenturalną działalność. Jednocześnie w książce wielokrotnie opisane są bliskie kontakty „Nikosia” z poszczególnymi milicjantami.

Z jednej strony autor przedstawia Skotarczaka jako ikonę przestępczego świata, a z drugiej zaznacza, że legenda „Nikosia” w dużej mierze została wykreowana przez media i środowiska przestępcze, które wykorzystywały jego wizerunek do własnych celów (zapewne chodziło o odwrócenie uwagi od działalności innych gangsterów). W rzeczywistości jednak daleko mu było do czołowych bossów polskiej mafii. Jego życie i śmierć pozostają owiane tajemnicą. Został zastrzelony 24 kwietnia 1998 r. w Gdyni w niejasnych okolicznościach.

Wiadomo, że tego dnia Skotarczak przebywał wraz ze swoim przyjacielem i wspólnikiem Wojciechem K. ps. Kura w klubie nocnym Las Vegas. Koło południa do lokalu weszło dwóch zamaskowa-



eprasa.pl a6f11ff05f

Nikodem „Nikoś” Skotarczak (1954–1998)

FOT. STEFAN KRASZEWSKI/CAF/PAP

**TADEUSZ BATYR „SPOWIEDŹ NIKOSIA ZZA GROBU” FRONDA 2018**

nych mężczyzn. Jeden z nich strzałami z małej odległości zabił „Nikosia” i rykoszetem zranił Wojciecha K., nawiasem mówiąc, jednego z oficjalnych założycieli i współwłaściciela firmy ubezpieczeniowej Hestia. Co ciekawe, sprawców ani ewentualnych zleceniodawców nigdy nie schwytano, a prowadzone śledztwo zostało umorzone. Wzbudziło to wiele teorii spiskowych, tym bardziej że po zabójstwie Skotarczaka problem przestępczości w Trójmieście bynajmniej nie zniknął.

## MAFIA W PRL

Można powiedzieć, że autor rozpoczął swoją książkę „od końca”, czyli od śmierci głównego bohatera. W kolejnych rozdziałach zawarł natomiast pewną retrospekcję, analizując poszczególne wątki jego życia. Tak poznajemy genezę drogi przestępczej Skotarczaka, ze szczególnym uwzględnieniem wpływu jego środowiska, rodziny i braku perspektyw zawodowych w PRL. Czytamy, że zanim stał się on jednym z czołowych gangsterów, w młodości zajmował się handlem bursztynem, nielegalnym obrotem walutą oraz działalnością ochroniarską. Jego powiązania z prominentnymi, wpływowymi osobami pozwalały mu funkcjonować w ówczesnych realiach. W okresie PRL i na początku III RP granice między światem przestępczym a politycznym były bowiem często zatarte.

Przykładowo: w książce znajdziemy opis rozwoju przestępczości zorganizowanej w Polsce w latach 1982–1985, szczególnie w okresie stanu wojennego. Wcześniejszy przemyt luksusowych towarów i złota przekształcił się w szeroko zakrojony nielegalny handel dewizami, materiałami opozycyjnymi, narkotykami i samochodami. Władze PRL oficjalnie zwalczały „przestępczość gospodarczą”, lecz faktycznie pozwalały na rozwój mafijnych struktur powiązanych z aparatem państwowym. W tym czasie rozwijała się działalność Skotarczaka, który stawał się jednym z głównych organizatorów przemytu i legalizacji skradzionych samochodów, głównie z Niemiec. W latach 80. na Pomorzu funkcjonowały grupy złodziei aut fałszujących dokumenty i numery rejestracyjne. Samochody trafiały następnie do wpływowych osób, również w świecie sportu.

Karol Nawrocki dał się poznać jako kibic Lechii Gdańsk, stąd nie dziwi to, że w swojej publikacji szeroko rozwinął wątek finansowego wsparcia klubu przez „Nikosia”. W sezonie 1982/1983 Lechia, choć występowała w III lidze, sensacyjnie zdobyła Puchar Polski. Następnie grała w europejskich pucharach z Juventusem Turyn. W 1984 r., po 21 latach nieobecności,



eprasa.pl a6f11ff05f

klub awansował do I ligi piłkarskiej, choć wtedy nie istniała jeszcze Ekstraklasa. Te sukcesy były jednak okupione uzależnieniem klubu od mafii. Ważną rolę w tym procesie odegrał Skotarczak, który w 1984 r. został zatrudniony przez Lechię na stanowisko kierownika sekcji rugby. Choć oficjalnie zarabiał niedużo, to odgrywał w klubie kluczową rolę, nie tylko w sprawach typowo sportowych. Jego znajomości, w tym z Edwinem Myszkiem, tajnym współpracownikiem SB, okazały się przydatne w różnych działaniach, w tym w organizowaniu transportu czy pozyskiwaniu cennych informacji.

„Nikoś” współpracował również z milicją, która często wspierała proceder przemytniczy. W książce znajdziemy opis działalności grupy milicyjnej „amerykanie”, która w latach 80. w Gdańsku wymuszała haracze i chroniła przestępczy półświatek. W tekście podkreślono również powiązania przestępczego świata z komunistycznymi elitami, np. Andrzejem Jaroszewiczem, który miał kontakty z gangiem samochodowym. Przestępczość samochodowa, sport i aparat władzy PRL były ze sobą zatem ściśle powiązane, a Skotarczak stał się symbolem mafijnej działalności tamtych lat.

## UCIECZKA PRZED ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

Wspomniany wcześniej Edwin Myszk z jednej strony pełnił ważną funkcję w gangu samochodowym, a z drugiej dostarczał informacje Służbie Bezpieczeństwa jako TW „Turbo”. To pozwoliło rozpocząć dochodzenie przeciwko członkom grupy. Myszk, będąc informatorem, pomógł ujawnić szczegóły przestępczego procederu, ale zdaniem autora książki w dokumentach procesowych jego rola była często przedstawiana w sposób zmanipulowany.

Skotarczak został zatrzymany przez urząd celny w Szczecinie za wwożenie niezgłoszonego towaru – 198 par spodni dżinsowych i kaset magnetowidowych o wartości ponad 1 mln zł. Po wyroku sądowym, który zakończył się grzywną i zwrotem towaru, sprawa trafiła do gdańskiego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Zainteresowanie wzbudziło także ścisłe powiązanie gangstera z milicją, co doprowadziło do rozpoczęcia operacji pod kryptonimem Gruda. W październiku 1985 r. prokuratura aresztowała sześciu podejrzanych związanych z gangiem. To wówczas w wyniku śledztwa pojawiły się pierwsze poważne spekulacje o „Nikosiu” – rzekomym szefie gangu. W nowej, już demokratycznej rzeczywistości niektóre osoby, które brały udział w śledztwie, przyznały się, że ich wcześniejsze zeznania były wymuszone przez milicję, a „Nikoś” nie miał takiego wpływu, jak twierdzono.

W związku z aresztowaniem części gangu Skotarczak w połowie lat 80. uciekł do Niemiec Zachodnich, ożenił się z obywatelką Niemiec, aby uniknąć zakazu wyjazdów, który miał na niego zostać nałożony w 1985 r. Co ciekawe, stamtąd nadal kierował przemytem samochodów. Za przyłapanie na tym procederze trafił do więzienia w Berlinie Zachodnim, skąd zdołał zbiec 4 grudnia 1989 r., po niespełna trzech miesiącach odsiadki. Wiele o jego charakterze mówi sposób, w jaki to zrobił. Mianowicie podczas widzenia w więzieniu Berlin-Tegel zamienił się ubraniami ze swoim bratem i swobodnie opuścił budynek. Na początku lat 90. nielegalnie wrócił do Polski. W drugiej połowie 1991 r. w Krakowie poznał swoją czwartą żonę, Edytę, z domu Mardyła.

Początek lat 90. w Polsce to okres dynamicznego rozwoju mafijnych gangów. Po transformacji ustrojowej w 1989 r. nastąpił chaos gospodarczy i prawny, władza państwowa straciła dotychczasową kontrolę, a nowe instytucje nie były jeszcze wystarczająco skuteczne. Udało się jednak postawić Skotarczakowi zarzut kierowania grupą przestępczą. W 1993 r. prokuratura w Zielonej Górze wszczęła przeciwko niemu śledztwo. Brak dowodów doprowadził jednak do umorzenia sprawy. Mimo to w 1992 r. berliński sąd wydał za nim nakaz aresztowania. „Nikoś” zręcznie unikał odpowiedzialności, zmieniając miejsca pobytu. Osiadł na krótko w Krakowie, gdzie żył z Edytą Mardyłą. Posługiwał się fałszywymi danymi, a jego relacje i działalność otoczone były tajemnicą. Udało mu się jedynie udowodnić posługiwanie się fałszywym paszportem i ucieczkę z policyjnego konwoju, za co został skazany na karę dwóch lat pozbawienia wolności. Wyszedł jednak wcześniej, dzięki łapówce wręczonej funkcjonariuszom służby więziennej.

W książce opisany został również epizod z lutego 1995 r., kiedy Skotarczak był ścigany przez policję po niezatrzymaniu się do kontroli drogowej. Został pojmany, ale nie znaleziono przy nim nic nielegalnego. Jego sprawa toczyła się dalej – prokuratura rozszerzała zarzuty o przestępstwa związane z fałszerstwami i kradzieżą samochodów. Skotarczak konsekwentnie odmawiał składania wyjaśnień podczas przesłuchań. W tym czasie stał się postacią medialną – pojawiał się w filmach i budził zainteresowanie celebrytów. Jego proces był wielokrotnie odraczany, a zainteresowanie mediów rosło. Ostatecznie został objęty aktem oskarżenia za działalność przestępczą od lat 80. Nie zdążył jednak nigdy za nią odpowiedzieć.

**Nawrocki obala mit Skotarczaka jako „ojca chrzestnego” polskich złodziei samochodowych, wskazując, że narracja o nim często pomija skalę całego zjawiska**

## PORTRET GANGSTERA

Autor książki „Spowiedź Nikosia zza grobu” nie skupił się jedynie na przedstawieniu suchego życiorysu trójmiejskiego gangstera. Sięga głębiej do psychiki „bohatera”, która była naznaczona licznymi tragediami i śmiercią bliskich. Jego pierwsza żona Gabriela oraz siostra Teresa popełniły samobójstwo, co stało się źródłem wielu spekulacji i legend. W 1986 r. sam „Nikoś” uniknął zamachu, a w 1992 r. w wypadku samochodowym zginęli jego matka i brat. Ścigany przez policję wielokrotnie unikał zatrzymania. Jego życie było pełne luksusu, oszustw i przemocy, a jego los wciąż pozostawał niepewny. Wewnętrzne rozterki gangstera zostały opisane w książce Nawrockiego.



eprasa.pl a6f11ff05f

„Nikoś” pochodził z ubogiej rodziny, a jego życie było pełne trudnych decyzji, moralnych dylematów i konfrontacji z rzeczywistością, która go otaczała. Jako młody człowiek miał wiele ambicji, pragnął czegoś więcej niż to, co mógł mu zaoferować jego rodzinny świat. W konsekwencji podejmował decyzje, które w późniejszych latach okazały się katastrofalne. Zaczynał się angażować w świat przestępczy i nielegalne interesy, a także w relacje, które były dla niego niszczące. Doprowadziło to nie tylko do wejścia w konflikt z prawem, lecz także do zniszczenia relacji z najbliższymi. Choć był świadomy swojej winy, to wciąż nie potrafił się wyrwać z kręgu złych wyborów, co doprowadziło go do ostatecznego upadku i śmierci.

W trakcie „spowiedzi” Skotarczak stara się zrozumieć sens swojego odejścia. Zadaje pytania o sens życia, o naturę zła, które go otaczało, oraz o to, co dzieje się po śmierci. Zmaga się z poczuciem winy i wyrzutami sumienia, stając przed nieuchronnym rozrachunkiem ze swoimi grzechami. Książka jest zatem głęboko psychologiczną analizą „bohatera”, który mimo śmierci nie może się uwolnić od swoich decyzji i błędów. Nawrocki przedstawia historię „Nikosia” jako opowieść o rozliczaniu się z własną przeszłością i koniecznością przyjęcia odpowiedzialności za swoje czyny, nawet po śmierci.

## MITY NA TEMAT „NIKOSIA”

Autor książki pokazuje szerokie tło historyczne, wskazując na współpracę komunistycznych służb z grupami przestępczymi. Zaznacza jednak, że brakuje jednoznacznych dowodów potwierdzających agenturalne związki „Nikosia”, choć mógł on podejmować nieformalną współpracę z Wydziałem Przestępstw Gospodarczych MO w Gdańsku, podobnie jak inni cinkciarze i drobni przestępcy tamtego okresu. Po 1989 r. pojawiają się niepotwierdzone spekulacje o jego współpracy z UOP, jednak również w tej kwestii brakuje jednoznacznych dowodów.

Nawrocki obala mit Skotarczaka jako „ojca chrzestnego” polskich złodziei samochodowych, wskazując, że narracja o nim często pomija skalę całego zjawiska. W latach 80. i 90. działało wiele niezależnych grup przestępczych, zarówno w Polsce, jak i Europie Zachodniej. Przykładem jest gang Jana Labuta, który operował w Austrii, stosując podobne metody co „Nikoś”. W rzeczywistości wiele innych gangów zajmowało się przemytem i paserstwem samochodowym, a opinia publiczna skupiła się na jednej postaci, ignorując pozostałych przestępców. Autor książki zwraca uwagę na inne gangi działające w Europie, które nie zostały tak mocno nagłośnione. W Austrii, RFN czy we Francji funkcjonowały dobrze zorganizowane grupy kradnące i pasujące samochody na wielką skalę. Nazwiska wielu ich członków nie przebiły się do świadomości publicznej, a niektórzy z nich uniknęli rozgłosu mimo skazania za poważne przestępstwa.

„Spowiedź Nikosia zza grobu” to zatem opowieść, która łączy elementy kryminału, psychologii oraz filozoficzne refleksje na temat życia, śmierci i winy. Jej lektura może być ciekawa dla kogoś, kto interesuje się historią polskiej mafii, a także chce poznać relacje spotykających się ze sobą światów: przestępczości, biznesu, sportu, polityki i służb.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

***Droga orła. Platońskie rozważania nad Prologiem Ewangelii św. Jana***
Mateusz Stróżyński

Droga orła to niezwykła podróż intelektualna, w której filozofia platońska spotyka się z Objawieniem. Mateusz Stróżyński, sięgając do myśli starożytnych i współczesnych myślicieli, ukazuje Prolog Ewangelii św. Jana jako klucz do zrozumienia sensu istnienia i relacji człowieka z Bogiem. To książka dla wszystkich, którzy pragną odkryć harmonijną całość rzeczywistości i wznieść się ku prawdzie niczym tytułowy orzeł.

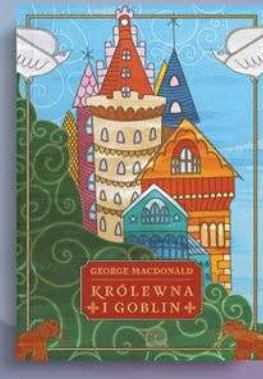


***Królewna i goblin***
George MacDonald

Królewna i goblin klasyczna baśń, która od ponad wieku inspiruje młodych i starszych czytelników.

Fundacja Prodoteo



eprasa.pl a6f11ff05f

# Reality show – prywatność na sprzedaż

*Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska*

**Koncept sprzedaży prywatności w reality show nie jest niczym nowym. Jednak coraz bardziej wymyślna fabuła tego rodzaju programów odziera uczestników nie tylko z prywatności, lecz także z godności**

Nie chcę być ukazany jako osoba zła. Może jestem jednak. Dokonałem więcej niż jednej zdrady. To wyjdzie tutaj. Z mężczyzną. Z innymi mężczyznami. Paroma. Więcej niż raz. W kwietniu ostatni raz – to wyznanie Pawła, jednego z uczestników niezwykle popularnego ostatnio reality show „Love Never Lies". Do programu przyszedł z Kasią, są małżeństwem od ośmiu lat. Przekonywali, że chcą się „sprawdzić" i przywrócić związkowi dawną iskrę. Oprócz nich w trzeciej edycji show widzowie mogli zobaczyć m.in. dwie pary homoseksualne, narzeczeństwo, a także tzw. situationship – relację, w której partnerzy nie do końca potrafią określić jej status (czy to już związek czy jeszcze luźna znajomość z nutką uczucia).

„Love Never Lies" to format platformy streaminowej Netflix. Pierwsza polska edycja cieszyła się dużym zainteresowaniem, ale dopiero druga, za sprawą przede wszystkim historii Kasi i Pawła, rozgrzała media społecznościowe i wywołała falę komentarzy. W trakcie kolejnych odcinków, które polegają na rozdzieleniu par, a następnie „kuszeniu" ich przysłanymi przez produkcję do ekskluzywnej willi singlami, widzowie poznawali kolejne szokujące tajemnice małżonków. Wszystko za sprawą systemu „eye detect" – według twórców show to system badający ruch gałek ocznych, którego nie da się oszukać. Uczestnicy odpowiadali na coraz intymniejsze pytania na temat swoich związków. Cała Polska dowiadywała się, kto, kogo, ile razy, a nawet gdzie zdradził (np. Paweł Kasię za przystankiem autobusowym), dla kogo ważniejsza jest kariera niż miłość, kto wykorzystuje swojego ukochanego dla zasięgów w Internecie, czy ktoś flirtuje w sieci za plecami partnera. Za odpowiedź zgodną z prawdą grupa zarabiała pieniądze, za kłamstwo traciła. Na końcu całą pulę zgarniała ta para, która skłamała najmniej razy.

## PUBLICZNY LINCZ

Od początku programu widzowie dostrzegali, że w tej parze małżeńskiej coś jest nie tak. Paweł unikał tłumaczenia się Kasi, choć na tzw. ceremonii, czyli podczas weryfikacji odpowiedzi przez system „eye detect", na jaw wychodziły szokujące kulisy jego zdrad. Dość szybko stało się jasne, że mężczyzna jest homoseksualistą. Według wielu traktował małżeństwo jako przykrywkę. Jeden z fanów produkcji zapytał na Instagramie podczas sesji pytań i odpowiedzi Pawła, czy traktował żonę w ten sposób. „Nigdy nie była przykrywką" – zapewnił Paweł, dodając, że jego najbliżsi wiedzieli o jego orientacji. „Udział w programie »Love Never Lies« był dla mnie zarówno doświadczeniem, jak i lekcją. Wiem, że wiele osób odebrało moje decyzje w sposób skrajny, a emocje,



eprasa.pl a6f11ff05f

Paweł z programu „Love Never Lies" przekonywał fanów w mediach społecznościowych, że jego żona – Kasia – nie była dla niego „tylko przykrywką"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jakie wzbudziła nasza historia, wywołały falę hejtu. Rozumiem to. Programy typu reality show mają na celu dostarczenie widzom silnych wrażeń, a życie – prawdziwe życie – nie zawsze jest czarno-białe" – napisał na swoim Instagramie. Po tym, jak cała Polska zobaczyła płaczącą, upokorzoną Kasię podczas tzw. reunion, czyli spotkania wszystkich uczestników programu po pewnym czasie, aby poznać ich dalsze losy, dowiedzieliśmy się, że para jest na drodze rozwodowej. – Być może naiwnie wierzyłem, że uda nam się odnaleźć drogę do siebie, ale rzeczywistość pokazała, że pewnych rzeczy nie da się cofnąć ani naprawić. Jest mi naprawdę przykro i ciężko z tym, że postawiłem Kasię w tak trudnej sytuacji. Wiem, że ją zawiodłem i sprawiłem jej ból, co nigdy nie było moją intencją. Gdybym mógł cofnąć czas, wiele rzeczy zrobiłbym inaczej. Nie miałem zamiaru jej oczerniać ani wystawiać na publiczny lincz. To była moja największa porażka – nie jako uczestnika programu, ale jako człowieka, który powinien lepiej zadbać o uczucia drugiej osoby – podsumował Paweł.

Wielu, co zrozumiałe, nie może uwierzyć w zapewnienia produkcji, że program nie jest reżyserowany, a jego uczestnicy to nie podstawieni aktorzy. Kto jest gotowy postawić na szali swoją reputację i całą prywatność dla kilku chwil w telewizji? Na pytanie o „ustawienie" programu odpowiedziała jego prowadząca. – No i tutaj myślę, że wielu z was zaskoczę, natomiast program w ogóle nie jest reżyserowany – zapewniła Maja Bohosiewicz widzów. Głos w sprawie zabrała też Bernadetta, uczestniczka pierwszej edycji programu, która powróciła do niego w trzeciej odsłonie jako singielka. W nagraniu na platformie TikTok zapewniła, że nie ma mowy o reżyserce, choć nie wszystkie zachowania są spontaniczne. – Każde reality show ma jakiś swój szkielet, zarys, taki, powiedzmy, scenariusz tego, jak dana edycja ma wyglądać. Więc na pewno bierze się takich uczestników, którzy ten scenariusz będą „realizować". Oczywiście nie tak, że ktoś ci mówi, co masz powiedzieć czy robić. Tylko są w stanie przewidzieć zachowania pewnych osób i reakcje. Tak że myślę, że można w ten sposób powiedzieć, że jest to w jakimś stopniu reżyserowane – wskazała influencerka.

## TRAMPOLINA DO SŁAWY?

Widzowie upust swojemu rozczarowaniu show dają w internetowej krytyce. „Gra na uczuciach młodych ludzi, do tego wręcz, że myślę, że to wszystko pod publikę. Żadna TV nie podjęłaby się naprawdę rozbicia małżeństwa. Tak myślę, a jeżeli się mylę, to świadczy tylko o TV. Oglądalność równa się pieniądze. Ja mam dwóch synów w wieku tych ludzi i nigdy w życiu nie wzięliby udziału w tym programie. Dlaczego? Bo to mężczyźni, którzy są wykształceni, robią kariery w swoich zawodach i takie programy to dla zwykłych normalnych ludzi żenada. Ile Wy, jako TV, płacicie tym ludziom za bycie takimi, jak TV chce"?" – oburza się jedna z internautek. Ktoś inny zwraca uwagę na nachalne promowanie związków innych niż te kobiety i mężczyzny: „Właściwie bardzo lubię oglądać takie programy, ale ponieważ pokazuje się coraz więcej par homoseksualnych, nienawidzę ich oglądać. Kiedy w trzecim sezonie pokazano dwie pary homoseksualne, natychmiast wyłączyłem i oceniłem ten program jako zły. Dlaczego ciągle mamy do czynienia z takimi ludźmi? Co się stało z moją ojczyzną? Smutne".

Uczestnicy „LNL" nie otrzymują za udział w show wynagrodzenia. Kusi ich możliwość wygrania nagrody głównej, choć wydaje się, że najważniejszym czynnikiem popychającym do udziału w programie jest możliwość natychmiastowego zostania influencerem. Już po emisji pierwszego odcinka instagramowe konta zaczynają zdobywać setki nowych obserwujących. Program kończy się więc nie tylko „sukcesem" w postaci rozwodu, lecz także stworzeniem kolejnego stadka influencerów, którzy mogą reklamować ubrania, kosmetyki czy karmę dla psów. Dalej są celebryckie ścianki i wywiady. Trampolina do sławy. Nawet kosztem małżeństwa.

Znacznie bardziej ograniczone pole działania mieli uczestnicy pierwszego w polskiej TV reality show, czyli „Big Brothera" – nie stawali się automatycznie gwiazdami Internetu, stąd o większości z nich słuch zaginął. Niedawno Kanał Zero odwiedzili ci, którym udało się zyskać bardziej długofalową popularność. – Było obiecane, że można dostać za każdy miesiąc pensję, którą zarabiasz. Na kwitku trzeba było przynieść, że zarabiasz tyle i tyle […]. Mnie wyszło chyba 15 tys. za miesiąc. Wtedy okazało się, że to do 5 tys. jest. A potem do 5 tys., ale jednorazowo. Miałem mieć pięć, a dostałem dwa – wyznał Piotr Gulczyński „Gulczas" pytany o zarobki w „BB".

Manuela Michalska wskazała, że idąc do programu, prowadziła własną firmę. – Mi powiedziano, że w zamian za to, że mam swoją firmę, zapłacą mi trzy razy po najniższej krajowej, co dla mnie też nie było zbyt lukratywne, bo obroty mojej firmy były wtedy znacznie wyższe. Wiadomo, że jak mnie nie było, nie było tej fali napędowej i obroty spały przez te trzy miesiące, co było dla mnie na minus – opowiadała. Gulczyński dodał, że ci bardziej rozpoznawalni uczestnicy „Big Brothera" mogli dorobić, biorąc udział jako gwiazdy specjalne różnych imprez, choć i to jego zdaniem nie było zbyt opłacalne. – TVN miał menedżerów wyjątkowych nieudaczników. Oni proponowali takie śmieszne pieniądze, że ja gdzieś tam mam jechać za jedną dziesiątą kwoty, którą ja sam sobie wynegocjowałem. TVN połowę zabierał. To była śmieszna stawka. Za tysiąc złotych miałem jechać do Przemyśla 500 km. Mogłem jechać połowę bliżej, żeby dostać piątkę czy dziesięć koła. Zawsze mówiłem, że mnie głowa boli – podsumował „Gulczas".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

**Z Jolantą Nowakowską, wdową po pisarzu Marku Nowakowskim**
*rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert*

# Należy być w życiu przyzwoitym

**KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Z oczywistych powodów śledzisz to wszystko, co wiąże się z recepcją twórczości Marka Nowakowskiego. Czy jest czytany? Pamięta się o nim?**

**JOLANTA NOWAKOWSKA:** Pozostał w pamięci znających go. W jakiejś mierze jest upamiętniony przyznawaną rokrocznie nagrodą, której patronuje. Ale odnośnie do czytelnictwa nie mam złudzeń. To w ogóle nie jest dobry czas dla literatury. A ona właśnie była w centrum tego, co robił, to pisanie stanowiło dla niego sprawę kluczową.

**Miał Marek swoje pisarskie rytuały, można powiedzieć, zawodowe. Czy było coś, co je zakłócało, przeszkadzało mu w pisaniu?**

Jeśli można mówić o czymś takim, to o cyklicznym niepokoju, który go ogarniał. Nie mógł wtedy pisać i po prostu wychodził z domu. Niektórzy powiadali,



eprasa.pl a6f11ff05f

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

że jako wybitny perypatetyk wybierał się na wędrówki po mieście, na spacery. Ja mówiłam, że go nosiło. W takie dni ten jego niepokój widoczny był od rana, od pierwszego śniadania.

Żadnych innych przeszkód w pisaniu nie stwierdziłam. Mógł pisać wszędzie, bez różnicy, czy w pokoju czy przy stole kuchennym, co robił bardzo często. Nie istniały dla niego jakiekolwiek mechaniczne utrudnienia. To, co mogło zawadzać i co musiał przezwyciężać, tkwiło w środku.

**Do Marka Nowakowskiego, jak najsłuszniej zresztą, przylgnęła etykieta pisarza warszawskiego. A przecież zdarzało mu się wyjeżdżać, i to nie tylko poza stolicę, bo i poza Polskę. Rzadko na dłużej, ale np. w 1972 r. został stypendystą amerykańskiego programu pisarskiego i przebywał wtedy w USA. Jak znosił takie odcięcie od spraw, które były solą jego życia?**

Jakoś wytrzymał w Ameryce tych parę miesięcy. Miałam możliwość przyjrzenia się temu z bliska, ponieważ Marek wpłynął na organizatorów – a wzbudzając sympatię, potrafił zjednywać sobie ludzi – by zaprosili i mnie, choć nie kwalifikowałam się do tego programu, nie byłam osobą piszącą. W efekcie trzy tygodnie byliśmy w Stanach razem. Zyskał możliwości objazdu obcego kraju, poznania całkowicie odmiennych miejsc i ludzi, co go absorbowało. Ale żeby szczególnie zajmowało, to już nie. To, co było dlań naprawdę ważne, działo się tutaj.

**Wydawał się tak zrośnięty z Warszawą, że z niedowierzaniem przyjmowano wiadomość o nabyciu przez was letniego domu na Mazurach. Z perspektywy stołecznego szlaku, Śródmieścia czy Starówki, to były niemalże antypody!**

A to on właśnie zainicjował kupno tego domku. Miał taki plan, że będzie tam przebywał długimi okresami, pisał, no, stanie się drugim Igorem Newerlym! Co więcej, wtedy – w 1980 r. – akurat złamałam nogę i byłam unieruchomiona. I proszę sobie wyobrazić: Marek osobiście załatwił wszystkie formalności, wziął ode mnie upoważnienie, jeździł do urzędów w Ostródzie, do biura notarialnego i doprowadził do tego, że ta chata, która w snutych opowieściach miała być pałacem, stała się naszą własnością. Zważywszy na kompletny brak zainteresowania Marka sprawami bytowymi, trudno w to uwierzyć! Dalej już jednak przebiegało wszystko tak, jak można było założyć od początku. Marek wytrzymywał w tym miejscu góra dwa–trzy tygodnie.

**A jak państwo wypoczywaliście? Czy, dajmy na to, zaproponował ci kiedyś Marek wakacje we Włoszech?**

Nie istniała taka możliwość. Jeśli już, to zabierał mnie na warszawskie Włochy, na stare śmieci. A na Mazurach wytchnieniem regularnie bywało grzybobranie.

**Wielu ludzi pióra często gościło w domach pracy twórczej. Wam się też to zdarzało?**

Na samym początku – tak, kiedy nie mieliśmy jeszcze mieszkania. Jeździliśmy wtedy stosunkowo często do Obór. Na tej zasadzie, żeby gdzieś być.

**Wasze życie toczyło się w dwóch mieszkaniach – na Długiej, a potem na Śniadeckich, gdzie mieszkasz cały czas. Były inne miejsca?**

Przed lokum nowomiejskim wynajmowaliśmy pokój na Okólniku.

**Koło Uniwersytetu Muzycznego?**

Jeszcze go wówczas tam nie było.

**A jak doszło do waszej znajomości? Czas wprawdzie znamy, pobraliście się szybko, w 1958 r., ale już z miejscem pierwszego spotkania są niejasności. Gdzieś padła informacja, że odbyło się ono przy ulicy Widok.**

Nie, na Widok to mieszkał Wilhelm Mach. Myśmy się poznali na studiach, po prostu. Marek studiował wyżej, ale przez różne perturbacje powtarzał rok i wtedy się poznaliśmy, nieszczególnie zresztą interesując się sobą. Dopiero na czwartym roku między nami zaiskrzyło.

**Jak spędzaliście czas? Gdzie się umawialiście na – jak pięknie wtedy mawiano – randki?**

Najczęściej spotykaliśmy się na Wilczej, w kawiarni Pod Kurantem, na pięterku, gdzie grał na pianinie Lech Terpiłowski. Panowała tam przyjemna atmosfera, było miło. Ale Marek oprowadzał mnie też po swoich rewirach, miejscach, których wcześniej nie znałam. Za jego sprawą poznawałam miasto, bywałam też we Włochach, u jego rodziców, którzy bardzo liczyli na to, że wpłynę na ustatkowanie się syna. Ja już wtedy skończyłam studia, a on miał jeszcze do zaliczenia prawo cywilne i, rzeczywiście, pomogłam mu w przyswojeniu ogromnego przecież materiału. Błędnie podaje się, że nie skończył studiów prawniczych; on je ukończył, choć nie zrobił magisterium.

**Funkcjonowało wtedy jeszcze pojęcie absolutorium. Dziś jest pod tym względem inaczej,**



eprasa.pl a6f11ff05f

**bo z jednej strony mamy system boloński, a z drugiej istnieją studia licencjackie. Ale skoro mówimy o prawie, to wydaje się ciekawe, na ile Marek w swoim pisarstwie żywił się twoją pracą – wziętego adwokata.**

To były dwie różne sprawy: moja praktyka i jego twórczość.

**Zazębiały się jednak, jak choćby w tym opowiadaniu, w którym Marek opisywał, jak towarzyszył ci w wyjeździe na widzenie z uwięzionym.**

To było opowiadanie „Jubileuszowa", relacjonujące mój wyjazd do Barczewa, w którym Marek mi towarzyszył. Poszłam tam do więzienia, spotkałam się z osadzonym tam Adamem Michnikiem, którego w 1985 r. broniłam przed sądem, a Marek czekał na mnie w tamtejszej gospodzie nazywającej się Jubileuszowa. Porozmawiał z klientelą, poobserwował i wyszło z tego całkiem fajne opowiadanko.

**Niejednokrotnie wprowadzał cię na karty swojej prozy. Podobnie zresztą jak inne osoby, czasem nazwane z imienia i nazwiska, innym razem nie, lecz zwykle łatwe do rozszyfrowania. Czym się przy tym kierował?**

W stanie wojennym nie mógł podawać personaliów, by nie narazić opisanych na represje.

**To oczywiste, niemniej zdarzały się np. takie opowiadania jak „Rajski ptak", którego bohaterem był wieloletni dyrektor Muzeum Literatury Adam Mauersberger, nigdzie jednak w tym, skądinąd świetnym tekście nieprzedstawiony z imienia i nazwiska. W przeciwieństwie do np. Niny Andrycz, o której także się tam wspomina.**

To opowiadanie, publikowane też pod tytułem „Wizerunek", zawiera w sobie – podobnie jak wiele innych – elementy literackiej kreacji. Może to zadecydowało o tym, że zdecydował się w ten sposób sportretować Mauersbergera. W innych wypadkach postępował inaczej, z czym wiązały się jednak nie zawsze miłe reperkusje. Tak było, gdy pisał o Stanisławie Gajewskim, byłym ambasadorze w Paryżu. Byłam świadkiem, jak czytał mu fragmenty „Honolulu" i Staś je bez zastrzeżeń akceptował. Późniejsze pretensje niektórych osób, które w konsekwencji spowodowały pokrycie książki milczeniem, nie miały uzasadnienia, były niesprawiedliwe. A odnośnie do kryptonimowania postaci to dopowiem, że ja też raz bywam u Marka Jolą, a innym razem Czarnowłosą.

**W spisie lektur szkolnych po czystce urządzonej przez minister Barbarę Nowacką pozostało jedno opowiadanie Marka – „Górą Edek".**

Jedno z najkrótszych w jego dorobku. Upraszczające, traktujące o tym, że należy być w życiu przyzwoitym.

**Tak jest. I trwać przy pewnych wpojonych w dzieciństwie wartościach, choć wokół szerzy się królestwo chama. Opowiadanie nie sprawia większych problemów interpretacyjnych i pewnie świetnie się sprawdza w szkolnej praktyce na lekcjach polskiego. Wyrugowany został natomiast ze szkoły „Raport o stanie wojennym", co jest decyzją pod każdym względem skandaliczną.**

Też byłam zdziwiona tą krótkowzroczną decyzją, podjętą – jak sadzę – z powodów politycznych.

**Wykreślono najlepszy i, dodajmy, jeden z nielicznych utworów literackich odnoszących się do nie tak znów odległych i tak znaczących dla Polski wydarzeń mających miejsce po 13 grudnia 1981 r. Poza wszystkim innym jest „Raport...", wraz z „Notatkami z codzienności", niezwykłym świadectwem swojego czasu, którego niepodobna pominąć także w nauczaniu historii najnowszej. Ale skoro skazuje się młode pokolenie na niepamięć, usuwając nie bez powodu całkiem niedawno wprowadzony do nauczania przedmiot pod nazwą historia i teraźniejszość, to takie postępowanie osób kierujących obecnie polską edukacją nie dziwi, choć nie broni się w żaden sposób.**

Podzielam to zdanie, tym bardziej że wraz z upływem czasu „Raport o stanie wojennym" zyskuje zupełnie nową jakość.

**A trzeba wiedzieć, że pisany na gorąco, pod wpływem tego, co się działo w Polsce po tym, co zrobił gen. Jaruzelski, nie zawsze był oceniany zgodnie ze swą rangą. O czym pamiętamy aż za dobrze.**

Marek wykazywał się dużą intuicją, która go prowadziła. W wielu sprawach miał taką swoją osobistą busolę. Myślał, że porwał go wtedy nastrój, zobaczył swoje miasto zupełnie inne, odmienione. Z posterunkami, koksownikami, chrzęstem przejeżdżających pojazdów opancerzonych, całym tym sztafażem stanu wojennego. Ale i z innymi ludźmi.

**Pisał o mieście sponiewieranym, ale takim, w którym – jak to możemy przeczytać w króciutkim tekście „Miasto" – „kiedy tylko ludzie posłyszą miarowy stukot butów i zobaczą patrolujących żołnierzy i milicjantów, od razu podnoszą głowy i w ich oczach pojawia się twardy, stalowy błysk".**

Ta atmosfera go uniosła i w tym, co wtedy pisał, powiedział to, co musiało zostać powiedziane. Wielka szkoda, że wielu młodych ludzi nie pozna dziś tej wyjątkowej prozy Marka, a dla nich stan wojenny jest czymś takim jak dla ich rodziców było powstanie warszawskie. Ale żeby mieć pojęcie o takich wydarzeniach, należy mieć na ich temat wiedzę. Trzeba czytać, a z tym, niestety, nie jest dziś dobrze. Nie mówię tu tylko o książkach Marka, ale o czytelnictwie w ogóle. Dla nas literatura, książki były niesłychanie ważne, stanowiły temat rozmów, dyskusji, sporów. Było ambicją orientować się w tym, co oferował rynek wydawniczy, ubogi przecież. Doskonale pamiętam, jaki wstrząs wywołała literatura amerykańska, od której byliśmy odcięci przez wczesne lata 50., a i później dozowana była skąpo. To zresztą dotyczyło całej literatury zachodniej.

**Wielka szkoda, że wielu młodych ludzi nie pozna dziś tej wyjątkowej prozy Marka („Raport o stanie wojennym"), a dla nich stan wojenny jest czymś takim, czym dla ich rodziców było powstanie warszawskie**

**Jakoś jednak dawaliście sobie radę.**

W różny sposób. Najważniejsze było to, że literatura wnosiła w nasze życie coś niezwykle istotnego. Marek czytał dużo, ale nie znał np. Celine'a i Geneta, a z ich utworami zaznajomił go mój ojciec, choćby tylko z tłumaczonymi fragmentami. Marek bardzo lubił rozmowy z nim, mimo



eprasa.pl a6f11ff05f

różnicy wieku świetnie się ze sobą porozumiewali. Ojciec był też nim wyraźnie zafascynowany, a płaszczyzną ich rozmów były właśnie książki.

**Skoro o nich mówimy, to warto tu wspomnieć o Markowej erudycji. To on przypominał o, zdawałoby się, skazanym na niepamięć Władysławie Zambrzyckim, zachęcał do czytania Juliana Wołoszynowskiego, Stanisława Rembeka, Sergiusza Piaseckiego…**

To charakterystyczne dla Marka, że bardziej interesowali go starsi pisarze niż rówieśnicy, z którymi często spotykał się i bywał identyfikowany, jak z grupą „Współczesności". Zależało mu, by zachowywać swoją odrębność, osobność, żeby nie traktowano go jako jeszcze jednej postaci środowiska pisarskiego. Za to bardzo dobrze czuł się wśród artystów plastyków, malarzy, grafików. Często chodził do Czytelnika, do pracowni graficznej, przesiadywał tam godzinami. Jednym z naszych najbliższych przyjaciół był Jurek Jaworowski, bardzo ciekawa postać. Jako 20-latek został w 1939 r. zesłany przez Sowietów na Syberię, skąd do Polski wrócił dopiero w 1948 r. I nie mógł mówić, zatkało go. Sporo czasu musiało upłynąć, nim zaczął normalnie funkcjonować. Ale poza nim był cały krąg znanych twórców, w tym oczywiście ilustratorów książek, z Jankiem Młodożeńcem na czele. Bliskimi osobami byli też Marian Stachurski, Julian Żebrowski…

**Wracając do pisarstwa Marka, można jeszcze zauważyć, że daje się w nim wyczuć pewien specjalny stosunek do ludzi starych, zwykle życzliwy, bywało, że i czuły.**

To była ciekawość połączona z szacunkiem. Doceniał w nich fakt przeżytego życia, a interesowało go, jak im się ono potoczyło. Oczywiście ważne też było to, że ci ludzie sięgali pamięcią do czasów, których nie znał, bo nie mógł ich znać, a miał dużą potrzebę poznawania. Ale nie zawsze portretował te starsze osoby z sympatią, czasem – jak w tomie „Nul" – nie było już jej śladu.

**O tak, Marek bywał w swoich opowiadaniach okrutny. Niektóre z nich, że wspomnimy tu „Pracusiów", wywołują odruch sprzeciwu.**

Powiedziałabym, że w późniejszych opowiadaniach upodobał sobie opisywanie starych kobiet w sposób mogący budzić zastrzeżenia.

**Jest zastanawiające, dlaczego w swoich ściśle już autobiograficznych książkach, pisanych u schyłku życia, uporczywie wracał do młodzieńczego epizodu – zatrudnienia na lotnisku Okęcie na instruktorskim etacie ZMP.**

Przerwał wtedy naukę i rzeczywiście krótko tam pracował. Wracał do tego tak często, że też go pytałam, czego wciąż szuka w tym, co już opisał, co zostało przez niego przeżyte i strawione. W żadnym wypadku nie była to już fascynacja, czego można się doszukiwać w podjęciu przed laty tamtej decyzji. Jeśli już, to myślę, że chodziło mu o stosunek do samego siebie.

**W jego życiu stało się tak, że przed teoretycznie możliwą karierą partyjnego aparatczyka uratował go – jak się zdaje, znacznie ciekawszy – świat, jak wówczas go określano, przestępczego marginesu, a z kolei przed wsiąknięciem do reszty w to niepokojące towarzystwo ratunkiem stała się literatura.**

Tak było w istocie. Mówił i pisał o tym wprost. Dla niego poznanie półświatka stanowiło odskocznię od tego chłamu materialistycznego, coraz bardziej mu doskwierającego, z kolei literatura dała mu oddech.

**Szkoda, że kinematografia nasza dopóty, dopóki stała na odpowiednim poziomie, nie wykorzystała w pełni możliwości tkwiącej w pozornie surowej, ascetycznej prozie Marka Nowakowskiego. A przecież trafiały się takie perły jak zekranizowana przez Antoniego Krauzego w 1971 r. „Meta", która doczekała się zaszczytnego miana „półkownika".**

To duża zasługa Krauzego, bo do sfilmowania opowiadań Marka trzeba było kogoś takiego jak Antek właśnie. Ale i inni podejmowali podobne próby, zekranizowano i „Gonitwę", i „Śmierć żółwia"…

**Także przypominanych, przynajmniej jeszcze niedawno, w TVP Kultura, „Siedem czerwonych róż, czyli Benek Kwiaciarz o sobie i o innych".**

To popis Zdzisława Maklakiewicza. A prozą Marka zainteresował się kiedyś nawet Andrzej Wajda. Miał plany, jeśli dobrze pamiętam, odnośnie do opowiadania „Skarb w Srebrnym Jeziorze" z tomu „Benek Kwiaciarz" właśnie. Nic z tego nie wynikło.

**Jak dotąd nic nie wyszło też ze zbiorowego wydania dorobku Marka Nowakowskiego. A edycja „Utworów zebranych" tego jednego z najwybitniejszych polskich prozaików ostatniego czasu, wirtuoza małej formy, niezrównanego piewcy Warszawy, to nasz obowiązek.**

Cóż tu mogę poradzić. Jest to przykre, bo edycja była przygotowana. Ze swej strony zrobiłam wszystko, co można, by do niej doprowadzić. Starałam się bardzo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

## Marek Nowakowski (1935–2014)

Dziewięćdziesiąt lat temu, 2 kwietnia 1935 r., urodził się Marek Nowakowski, autor „Księcia Nocy", „Wesela raz jeszcze", „Gdzie jest droga na Walne?" i wielu innych znakomitych opowiadań. W latach PRL znany z postawy antykomunistycznej, udziału w protestach obywatelskich (podpisał listy m.in. w sprawie surowych wyroków dla członków tzw. Ruchu, w obronie praw sowieckiej Polonii czy przeciw planowanym zmianom w konstytucji), publikacji w drugim obiegu, który współtworzył. Na 13 grudnia 1981 r. zareagował drukowanymi na bieżąco przez podziemne wydawnictwa zapiskami, które złożyły się następnie na „Raport o stanie wojennym". W marcu 1984 r. stał się on przyczyną aresztowania pisarza, któremu postawiony został zarzut rozpowszechniania oszczerstw na temat ustroju i organów władzy oraz współdziałania z wrogimi wobec PRL ośrodkami propagandowo-dywersyjnymi. Sprawa ta wywołała oburzenie i wręcz erupcję wyrazów solidarności z Markiem Nowakowskim płynących z całego świata.
Po upadku komunizmu Nowakowski wielokrotnie wypowiadał się w sprawach publicznych, zdecydowanie występując przeciw okrągłostołowej taktyce władz. W wyborach prezydenckich wspierał Lecha Kaczyńskiego i Jarosława Kaczyńskiego. Przyczynił się do powołania Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza i przewodniczył jej kapitule. I, co najważniejsze, do końca pisał i wydawał nowe książki, w których niezmiennie portretował swoje miasto – Warszawę. I tę dzisiejszą, i tę, której już nie ma.
Zmarł 16 maja 2014 r. Spoczął w Alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego na Powązkach.



eprasa.pl a6f11ff05f

# Dzieci w sieci

Dlaczego wystraszony chłopiec zadźgał swoją szkolną koleżankę?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Piotr Gociek*

**„Dojrzewanie". Hit Netflixa, który wywołał burzliwe dyskusje na temat wychowania dzieci, źródeł przemocy i wolności słowa**

Rzadko zdarzają się takie fenomeny: jeśli o jakiś serial spierają się zarówno znajomi w biurze, jak i Elon Musk na portalu „X", to znaczy, że mówimy o tytule, który zdobył prawdziwy rozgłos. I tak jest z brytyjską miniserią „Dojrzewanie" („Adolescence"), najnowszym hitem Netflixa, który niespodziewanie stał się numerem jeden w kilkudziesięciu krajach świata.

Dlaczego niespodziewanie? W rolach głównych 14-letni debiutant Owen Cooper oraz Stephen Graham – ceniony aktor charakterystyczny. Ale gdzie mu do sław Hollywood? Gatunek? Żadna fantastyka, żaden romans, żaden przekombinowany kryminał (do tego wszystkiego wszak przyzwyczaił nas Netflix; jeszcze najlepiej, by rzecz była oparta na jakiejś mandze albo powieści Cobena) ani nawet komedyjka. „Dojrzewanie" to poważny dramat psychologiczny, w dodatku tak intensywny, że trudny do obejrzenia. A jednak wszyscy oglądają, choć gdybym chciał go reklamować hasłem „coś jak skrzyżowanie kina Gusa van Santa z dramatami Floriana Zellera", to mało kogo, poza koneserami, zdołałbym zainteresować.

Reżyser też raczej ceniony głównie przez branżę i koneserów. Philip Barantini to późny debiutant, po 20 latach kariery aktorskiej zamarzył o kręceniu filmów i zaczął od niskobudżetowego, świetnego dramatu „Punkt wrzenia" („Boiling Point", 2021), który w Polsce ominął kina, ale trafił do streamingu dzięki HBO. Rekomendowałem ten film gorąco na łamach naszego tygodnika („Do Rzeczy", nr 22/2022). W „Punkcie wrzenia" świetną kreację stworzył Stephen Graham – podobnie jak dziś w „Dojrzewaniu". Jeszcze jedna rzecz, oprócz aktora i reżysera, łączy te dwie produkcje – mianowicie sposób opowiadania. I „Punkt wrzenia", i „Dojrzewanie" nakręcone zostały jednym długim ujęciem (w przypadku miniserii były to oczywiście cztery ujęcia, którymi opowiedziano cztery kolejne odcinki). Efekt jest niesamowity, w obu przypadkach ten chwyt formalny potęguje realizm, zwiększa dramatyzm opowiadanej historii oraz zbliża nas do głównych bohaterów.

## JAK W RASOWYM KRYMINALE

No dobrze, ale nasze mamy, ciocie, sąsiadki, znajomi (oraz Elon Musk) nie dyskutują o „Dojrzewaniu" dlatego, że zachwyciła ich formalna maestria. Chodzi o temat: Czy wiesz, co dzieje się w głowie twojego dziecka? Czy wiesz, co dzieje się w smartfonie twojego dziecka? Czy wiesz, od kogo uczy się twoje dziecko? I wreszcie: Czy wiesz, do czego zdolne jest twoje dziecko?

Zaczyna się jak w rasowym kryminale: oddział policji szturmuje dom na przedmieściu jednego z brytyjskich miast. Kogóż to szukają uzbrojeni w broń długą, zamaskowani i wbici w kamizelki kuloodporne funkcjonariusze? Rozbijają gang narkotykowy, a może tropią terrorystów? Okazuje się, że ich celem jest 13-letni chłopak, Jamie Miller (Owen Cooper), który zostaje aresztowany pod zarzutem morderstwa. Niemal cały pierwszy epizod mamy prawo podejrzewać, że coś tu mocno nie gra. Byłażby



eprasa.pl a6f11ff05f

to więc opowieść o tym, że opresyjny system może dopaść każdego, nawet gdy niewinny i nawet gdy małoletni?

Jest to trop fałszywy. Od chwil, gdy światło dzienne ujrzy nagranie z kamer, kryminał zamienia się w psychodramę. Nie chodzi o to „kto", ale „dlaczego", nie ulega bowiem wątpliwości, że wystraszony dzieciak rzeczywiście zadźgał swoją szkolną koleżankę Katie.

Cała historia rozwija się przed nami w rosnących odstępach czasowych. Akcja drugiego epizodu rozgrywa się kilka dni po pierwszym – tu przyglądamy się bliżej relacjom w szkole i dowiadujemy, jak wygląda „nowa normalność" dzieciaków zanurzonych w świecie social mediów. Siedem miesięcy później, w epizodzie trzecim, widzimy kluczową dla zrozumienia tragedii długą rozmowę Jamiego z psycholog, która odwiedza go w poprawczaku, żeby przygotować ocenę jego stanu psychicznego przed procesem. Epizod czwarty skupia się na pozostałych osobach dramatu, przede wszystkim rodzicach Jamiego; minęło już 13 miesięcy od zabójstwa i wkrótce rozpocznie się proces.

## LISTA PYTAŃ

Nie czuję obawy przed wyjawieniem zwrotów akcji, bo o wszystkim tym już od dawna poczytać można w Internecie, nie mówiąc o tym, że dyskusja przeniosła się także do tradycyjnych mediów, gdzie niekiedy przybiera formy burzliwe. Serial „Dojrzewanie" ma zmusić widza do myślenia nie poprzez zaskakiwanie nagłymi zwrotami akcji, lecz poprzez konfrontację z problemem. Dyskomfort widza jest wielki, ale, jak widać, potrzebowaliśmy tego brutalnego wytrącenia ze stanu świętego spokoju, skoro na całym świecie miliony ludzi o tej produkcji dyskutują.

Wróćmy zatem do listy pytań. Czy wiesz, co dzieje się w głowie twojego dziecka? Trudna sprawa, jedyna właściwa odpowiedź brzmi: „Wydaje mi się, że wiem". Każdy z nas pamięta z czasów dzieciństwa i dojrzewania, jak często to, co oczywiste, wcale takie oczywiste nie było. Dzieci i dorośli mają zupełnie inne spojrzenie na wiele spraw; na niektóre spojrzą w sposób podobny dopiero wtedy, gdy same będą miały dzieci. Gdy wspominamy czasy młodości, okolice, dzielnice, osiedla, na których się wychowywaliśmy, zastanawiamy się często: Co zdecydowało o tym, że choć tak wtedy podobni, zawędrowaliśmy w zupełnie inne miejsca? Jedni do poprawczaków, więzień, na cmentarze; inni do firm, korporacji, redakcji, galerii sztuki itd.

Czy wiesz, co dzieje się w smartfonie twojego dziecka? Tu odpowiedź jest prostsza – zazwyczaj nie wiesz, bo nawet jeśli mu tej formy komunikacji odmawiasz, to nie uchronisz go przed innymi posiadaczami tego dobra powszechnego użytku. Można próbować: we francuskich szkołach wprowadzono zakaz używania smartfonów i trzeba swoje zabawki oddać na przechowanie, przekraczając próg. Ale na szkole życie się nie kończy.

Czy wiesz, od kogo uczy się twoje dziecko? Nie od nauczycieli, lecz od rówieśników. Oraz od tych, których samo uznaje za idoli – w „Dojrzewaniu" mowa jest nie tylko o cyberprzemocy i kodzie z emoji, którym porozumiewają się nastolatkowie, lecz także o tym, co tłumaczy im świat. Nie jest specjalną tajemnicą, że czas dojrzewania to czas ogromnego rozchwiania emocjonalnego i że niekoniecznie mile widziane są najbardziej rozsądne objaśnienia. Karierę robią zwykle te efektowne. Po tym, jak w kręgu znajomych krążyć zaczęły zdjęcia półnagiej Katie, Jamie chciał się z nią umówić. Ta nie dość, że go odrzuciła, to jeszcze zaczęła oczerniać na Instagramie, nazywając „incelem". Skończyło się tragedią. Dotarliśmy więc do pytania: Czy wiesz, do czego zdolne jest twoje dziecko? Niestety, takie zabójstwa jak pokazane w „Dojrzewaniu" zdarzają się naprawdę.

**„DOJRZEWANIE"**
**NETFLIX 2025**

Kim jest incel? Osobnik, który chciałby mieć dziewczynę/kobietę, lecz nie może, bo kobiety mają zbyt wygórowane wymagania (tak przynajmniej sami incele sobie to tłumaczą). Zjawisko to powiązane jest z bardzo silnym nurtem internetowej manosfery, gdzie króluje obwinianie kobiet o wszystko: że zależy im tylko na pieniądzach, że wszystkie zapatrzone są jedynie w jeden procent najpiękniejszych i najbogatszych samców alfa, żywiąc pogardę wobec innych, że zabiły prawdziwą miłość swoimi feministycznymi wymaganiami i nie są w stanie docenić uczucia prawdziwego mężczyzny. Krótko mówiąc, to one są winne, jeśli komuś pozostaje celibat.

Twórcy „Dojrzewania" dotykają wielu problemów, ale ich uogólnienia nie zawsze są trafne. Dyskusja wokół serialu jest zasłużona, gorąca, ale wnioski też nie zawsze właściwe. Czy zbyt mało wiemy o tym, co dzieje się w głowach dzieci? Tak. Czy zrobiliśmy ze smartfonów i mediów społecznościowych niańki dla całego pokolenia? Tak. Czy dzieci potrzebują większej troski i uwagi ze strony rodziców? Oczywiście. Ale jak ma wyglądać ta troska? Czy troską może być odebranie smartfonów? Surowsze wychowanie? Uczenie od małego twardych zasad: szanuj matkę i ojca, a w efekcie szanuj innych, nie szukaj potwierdzenia własnej wartości w oczach innych? No pewnie, że tak, ale takie rozwiązanie zostanie przyjęte jako cenzura i tyrania patriarchatu przez tych samych, którzy ronią łzy nad bohaterami „Dojrzewania".

W liberalno-lewicowych mediach głównym winowajcą jest internetowa manosfera, którą utożsamia się z nienawiścią do kobiet i toksyczną męskością. Zbyt łatwe to wytłumaczenie. Przejrzałem kilka kanałów YT zagranicznych i polskich gwiazd manosfery i rzeczy, które głoszą, są czasem głupie, czasem obrzydliwe. Zatem co? Zakazać? Wyłączyć? Ocenzurować? Dzieci nie powinny tego oglądać. Wracamy do relacji rodzic – dziecko: to od rodziców powinno się dowiedzieć, w czyje wywody wierzyć, a w czyje nie. Ofiarą zaś kampanii przeciw „toksycznej męskości" padną także ci, którzy z manosferą nie mają nic wspólnego, za to działają np. w stowarzyszeniach broniących praw rodzicielskich ojców, albo niezależni polityczni komentatorzy pytający głośno (i słusznie), dlaczego w myśl ideologii DEI lepiej zatrudnić osobę niekompetentną niż kompetentną, ale nie należącą do uciskanej rzekomo płci, rasy czy mniejszości seksualnej. To świetnie, że dyskutujemy o „Dojrzewaniu". Nie może być to jednak dyskusja oparta na manipulacjach emocjami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

CANAL+ ONLINE

# Wszystko inaczej

★★★☆☆☆

**REŻ. UBERTO PASOLINI**
**„POWRÓT ODYSEUSZA"**
**WŁOCHY, WIELKA BRYTANIA 2024**

wyst. Ralph Fiennes, Juliette Binoche, Charlie Plummer

Scenarzysta Edward Bond twierdzi, że ekranizuje ostatnie księgi „Odysei" Homera, ale tak naprawdę bierze ją jedynie za pretekst. Reżyser Uberto Pasolini (siostrzeniec Viscontiego) udaje, że robi wielkie kino, ale tak naprawdę gubi go brak oryginalności. Juliette Binoche jako Penelopa oraz Ralph Fiennes jako Odyseusz spotykają się na ekranie po raz pierwszy od czasu „Angielskiego pacjenta", który był najbardziej przereklamowanym filmem roku 1996. Od czego tu zacząć?

Najprościej będzie tak: film Pasoliniego pokazuje, jaki kłopot mają współcześni twórcy z rozumieniem tekstów fundamentalnych dla zachodniej cywilizacji. Nie tylko tekstów chrześcijańskich, bo przecież mowa tu o dziedzictwie starożytnych Greków. Barwna opowieść o wierności ponad wszystko (Penelopa) oraz niegasnącej tęsknocie za domem i uporze, by wbrew bogom dotrzeć do celu (Odyseusz), staje się na ekranie nieciekawym pojękiwaniem na temat wojennej traumy.

W tej historii nie ma bogów, herosów i przeznaczenia, nie ma więc napięcia między tym, co boskie i ludzkie, zatem nie może być prawdziwej tragedii. Odyseusz, który ze wszystkich sił starał się wrócić do Itaki, zamienia się w weterana, który unikał powrotu, bo nie potrafił sobie poradzić z wojenną traumą. Penelopa nie jest już symbolem wierności, lecz ofiarą wyobrażeń społecznych o roli pani domu, zatem niemalże feministką karaną przez patriarchalny system. W tym momencie fakt, że Binoche i Fiennes dają z siebie wszystko jako aktorzy, schodzi na drugi plan – bo nie mają niczego ciekawego do przekazania. Podobnie jak fakt, że za sprawą wspaniałych zdjęć Mariusa Panduru jest na czym zawiesić oko. W dodatku nudne to wszystko.

Wiele można powiedzieć o eposach Homera, ale na pewno nie były trywialne – a tym właśnie grzeszy Pasolini, budując przekaz swego filmu. I za każdym razem, kiedy ma okazję dotknąć czegoś głębszego, wybiera źle. Jego sugestia, że wyzwoleniem dla pary małżonków byłoby zapomnienie o tym, co im się przydarzyło, jest absurdalna. Przecież właśnie to przeszłość (przede wszystkim ich bezkompromisowe wybory) uczyniła ich niezwykłymi bohaterami – przynajmniej u Homera. Dlaczego więc mieliby się tego wyrzekać? ©℗

**GRA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED: SHADOWS"**

Ciemnoskóry samuraj w tęczowej Japonii. Najnowsze danie ze swojego popisowego menu Ubisoft obficie podlał sosem wokeizmu. Japończycy są poruszeni brakiem szacunku dla ich historii i kultury (np. możliwością zdemolowania w „AC" japońskiej świątyni), ale efekt osiągnięto: o grze – od której zależy przyszłość studia – jest głośno. Niestety, zmaga się ona z innymi problemami: od monotonii zadań zaczynając, poprzez nudny świat, na irytujących mikropłatnościach kończąc. Zmarnowano sporo potencjału, ale to nie wyklucza komercyjnego sukcesu. A o to przecież chodziło. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *akcji, RPG, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Ubisoft*



eprasa.pl a6f11ff05f

# Biały Murzyn

max

Jak wiadomo, w wieku dojrzałym wszyscy upodabniamy się do swoich ojców lub matek. Monk odziedziczył po tatusiu ciężki charakter i skłonność do pieniactwa. Próbując utrzymać się z pisania, zyskuje dodatkowy powód do frustracji: jego przemądrzałe powieści sprzedają się coraz gorzej. Wydawcy wolą inwestować w autorów z komercyjnym potencjałem (czytaj: skandalistów). W księgarni dzieła naszego bohatera pokrywają się kurzem w dziale „literatura afroamerykańska", co złości go w dwójnasób. Oderwał się bowiem od korzeni i programowo unika wszystkiego, co ma związek ze stereotypem czarnoskórej ofiary rasizmu. W pogardzie ma również białych, którzy leczą wyrzuty sumienia biciem pokłonów przed bandycką subkulturą rapu. Przekonywany, że czytająca mniejszość kocha język ulicy tak samo jak reszta społeczeństwa, dla zabawy popełnia łże-autobiografię pod wszystko mówiącym tytułem „Moja patola". Tekst, podpisany pseudonimem i gęsto okraszony wulgaryzmami, sprzedaje się lepiej niż pamiętniki Obamy.

★★★☆☆☆

**REŻ. CORD JEFFERSON**
**„AMERYKAŃSKA FIKCJA"**
**USA 2023**

wyst. Jeffrey Wright, Sterling K. Brown, John Ortiz

Scenariusz „Amerykańskiej fikcji" nagrodzono Oscarem, ale powieść Percivala Everetta „Erasure" ukazała się w 2001 r. Czyżby zwlekano z ekranizacją, by nie narażać na czołowe zderzenie z rosnącym w siłę ruchem woke? W ostatnich latach impet „przebudzonych" jakby osłabł, pojawili się śmiałkowie piętnujący błędy i wypaczenia. Film Jeffersona można uznać za nieśmiałą próbę wyjścia naprzeciw nowym trendom. Oczywiście z zachowaniem możliwości odwrotu na z góry upatrzone pozycje. Mniemam, że to dlatego „Amerykańska fikcja" z minuty na minutę jest coraz mniej ironiczna, górę zaś bierze wątek osobisty. Monk, napytawszy sobie biedy używaniem zakazanego słowa „Murzyn", wraca na stare śmieci i próbuje dojść do ładu z rodziną, od której wcześniej trzymał się z daleka.

Wright utrwala swój wizerunek mądrali, wypracowany w serialu „Westworld", ale lawina sentymentów przykrywa wszystko. Konkluzja poraża prostotą. Furda rasa, kariera, poglądy. Najważniejsze to przepracować traumy dzieciństwa, nawet te nieuświadomione. W formie rekompensaty widz otrzymuje do wyboru kilka alternatywnych zakończeń. Żadne z nich mnie nie urzekło. ©℗

***Wiesław Chełminiak***

# WSI WESOŁA

35mm .online

Za wczesnego Gierka władza czuła się tak pewnie, że pozwalała na kpiny z PRL-owskiego Graala: idei społecznego awansu. Edward Redliński to wykorzystał i popełnił groteskową opowieść o inteligencie próbującym zreformować polską wieś osobistym przykładem i magicznym zaklęciem: „Oj, bo zapiszę!". Okoliczność, że pedagog z miasta sam jest chłopem podszyty, płonącym kagankiem oświaty zaś można się zdrowo poparzyć, dodaje fabule sporo pieprzu. Nieznany historykom epizod odwiecznej wojny postępu z ciemnotą (czyli tradycją) bawi również w wersji filmowej. Pół wieku po premierze „Awansu" wypada tylko żałować, że Redliński zwichnął talent w Ameryce, a jego następcy w chwili próby zawiedli. Transformacja, która zaczęła się w roku 1989, nie pozostawiła znaczącego śladu w naszej kulturze. Satyryków zastąpili politycy. ©℗

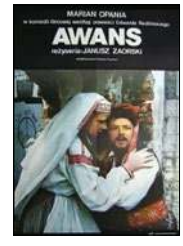


★★★★☆☆

**REŻ. JANUSZ ZAORSKI**
**„AWANS"**
**POLSKA 1975**

wyst. Marian Opania, Bożena Dykiel, Józef Nalberczak

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

# „Nil" w dwóch wymiarach

**GDZIE?** ***Muzeum Armii Krajowej w Krakowie***
**KIEDY?** ***do 31 grudnia***

Wystawa z okazji 130. rocznicy narodzin Augusta Emila Fieldorfa ps. Nil ukazuje go w dwóch wymiarach: jako żołnierza – legionistę, oficera WP, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej i kampanii wrześniowej, dowódcę Kedywu, zastępcę Komendanta Głównego AK, komendanta organizacji konspiracyjnej NIE, straconego przez komunistów, i jako ojca, męża, syna, katolika…

FOT. MUZEUM ARMII KRAJOWEJ

W części poświęconej prywatnemu życiu Fieldorfa można zobaczyć przedmioty osobiste (m.in. różaniec i krzyż przywiezione z Jerozolimy, szachy, prywatne fotografie, listy), mapę ważnych w Krakowie miejsc w życiu generała, oraz wysłuchać wspomnień jego żony, zarejestrowanych w latach 70., w których opowiada o nim jako o mężu i ojcu. W drugiej części przybliżono wojskowy życiorys „Nila", w tym dwa bitewne szlaki: z lat 1914–1921oraz z drugiej wojny światowej. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

# Kornelowe pyszności

Był Kornel Makuszyński, autor „Szatan z siódmej klasy” i „Awantury o Basię”, „Bezgrzesznych lat” i „Uśmiechu Lwowa”, „Koziołka Matołka” i „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, nie tylko świetnym pisarzem, lecz także – czego dowodzą wydane przez IPN jego listy do żony i teściów – wybitnym epistolografem. Lektura tej korespondencji, przez Justynę Staroń starannie opracowanej, opatrzonej koniecznymi przypisami i poprzedzonej ciekawym wstępem, sprawia ogromną przyjemność.

Janinę Gluzińską, śpiewaczkę, Kornel Makuszyński, 43-letni wdowiec, pojął za żonę w 1927 r. Przeżyli razem 26 lat. Opublikowana korespondencja ukazuje wręcz erupcję uczuć, którymi darzył swą wybrankę. Najciekawsze dla nas są jednak te listy, w których w chwilach rozstania opowiadał jej o tym, co się danego dnia wydarzyło, gdzie był, z kim grał w brydża (utrzymywano, że swoje bestsellery pisywał w przerwach między jednym a drugim robrem), jakiego nowego skandalu towarzyskiego był świadkiem. Listy te zastępowały mu rozmowy z tą, którą nazywał „cudem moim jedynym, radością moją”.

I tak np. w marcu 1927 r., pięć miesięcy przed ślubem, wybrał się Makuszyński do Katowic. Wygłosił tam prelekcję przed wystawieniem „Dam i huzarów” – o humorze Aleksandra Fredry. Powodzenie miał nadzwyczajne: „Dwanaście razy musiałem wyłazić na scenę. Potem mnie ściskali, całowali i miętosili. Księdze, starce i kobiety. Młodzież wyła dzielnie”. Kiedy indziej pisał z Zakopanego: „Witkiewicz zapija się na nowo. Oświadczył mi, że jeśli się do niego nie przysiądę, to zerwie ze mną »przyjaźń«. Wolałem zaryzykować przyjaźń”.

A w Warszawie co tam nowego, choćby w teatrze? Ano „Borowski – reżyser krzyknął do Grubińskiej: »Won ze sceny, ty ścierwo!«. Janeczka poczuła się cokolwiek obrażona dziwacznością tych wyrażeń. Wacio wpadł w szał i do Szyfmana, aby przy nim zdeptał Borowskiego na proch. Szyfman nie chciał. Wacio w pasję. Szyfman chwycił ciężką popielniczkę i wyrżnął nią w szklany blat stołu. Stół, jak to stół, pękł na drobne kawałki. Wacio, blady, zaprzysiągł zemstę. Borowski napisał list do Janeczki, wytwornej księżniczki, z przeproszeniem. Ona obnosi ten list po Warszawie. Borowski znowu w pasji itd. Widzisz, jak się wszystko w kółko kręci bez pamięci”.

Zdarzały się też wydarzenia poważne. Tak było np. po aresztowaniu brata żony, Tadeusza, w związku z zabójstwem ministra Bronisława Pierackiego, w co usiłowano wmanewrować Obóz Narodowo-Radykalny. Tadeusza Gluzińskiego po interwencji ostatecznie zwolniono z więzienia, przez co uniknął grożącego mu przewiezienia do obozu w Berezie Kartuskiej, co spotkało wiele osób związanych z ONR. Kornel, jak to miał w zwyczaju, starał się wtedy uspokoić zrozpaczoną rodzinę, o co łatwo nie było, bo i sam – jak pisał do żony – niepokoił się, „nie mając wiadomości o Tadziu”.

Znamienny jest również list Kornela Makuszyńskiego, bliskiego endecji, w 1931 r. piszącego do żony: „Chodzą pogłoski, że Paderewskiemu zaproponują prezydenctwo Rady Ministrów. Nie wydaje mi się to prawdą. Powiedział już zresztą Kmicic księdzu Kordeckiemu, że świętym jest człowiek, ale mało zna się na armacie. Głupia narodowa demokracja już zieje na Padera i do skóry mu się dobrać gotowa, że chce robić narodową zgodę. Teraz oni będą pisać z kolei o »grajku amerykańskim«”.

Równie smakowita jest korespondencja, którą prowadził pisarz z teściami. A była to rodzina znana i poważana, teść był wybitnym lekarzem, pełnił też funkcję rektora Uniwersytetu Lwowskiego; z teściową znów dogadywali się znakomicie, i to nie tylko ze względu na pasję brydżową. Ważniejsza pewnie była akceptacja jego poczucia humoru. A on relacjonował im, zawsze w tym samym niepowtarzalnym stylu, życie towarzyskie, które prowadził. W Zakopanem przecież wciąż coś się działo. „Przed chwilą wróciliśmy z przyjęcia od Karpowicza – pisał na przykład. – Byłoby to najwytworniejsze przyjęcie sezonu, gdyby nie to, że Karpowicz sam jadł palcami sos, a rybę nożem, a w gości jedzenie wtłaczano gwałtem. Była na przyjęciu i Solska, w stanie średnim. Poza tym wieje straszliwy wiatr, tak że Solski musi wkładać kamienie do kieszeni”. Po swoich imieninach, rozradowany, informował: „Nastrój był pyszny. Od Kozińca po Borynę byli wszyscy. Solski szalał jak stary wariat – recydywista. Lili była gotowa oddać się na śmierć i życie któremuś z przystojnych młodzieńców, którzy na tę myśl pili szybko i rozpaczliwie. Trwało to do 2.00 w nocy i jedno tylko głupie było w tej sprawie, że Was nie było. Wszystkich olśniły srebra rodzinne, pożyczone od Lili i Urci. Miałem robotę z pilnowaniem gości z tego powodu. Ale jakoś nic nie zginęło”.

Zachęcam do dotarcia do tej książki. Nawiasem mówiąc, to kolejna propozycja wydawnicza Instytutu Pamięci Narodowej wskazująca na to, czym jest owa pamięć i jak szeroki jest jej zakres. O czym, naturalnie, nie mają pojęcia Hunowie, którym IPN przeszkadza już tylko z tego powodu, że istnieje. ©℗

★★★★★★

**ODCZYTANIE Z RĘKOPISU, OPRACOWANIE I WSTĘP: JUSTYNA STAROŃ**

**„»CUDNEJ MIMOZIE WSTRĘTNA POKRZYWA«. LISTY KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO DO ŻONY JANINY I TEŚCIÓW”**

**IPN, WARSZAWA 2024**



eprasa.pl a6f11ff05f

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

# Człowiek z traktora

Trochę kryminał, trochę komedia, trochę powieść rozrachunkowa, ale przede wszystkim gawęda o PRL. Przy okazji Marek Ławrynowicz kpi sobie ze struktury fabularnej „Człowieka z żelaza". Jego przodownik pracy nie nazywa się Birkut, lecz Łyczuk; nie buduje domów, lecz jest traktorzystą, ale też nie cierpią go towarzysze pracy; też szczerze wierzy w socjalizm i jego żywot też stanie się paliwem dla socjalistycznej propagandy (zadba o to sam towarzysz Jakub Berman).

Łyczuka poznajemy w chwili, gdy już nie żyje, w dodatku padł ofiarą morderstwa. Komu mogło zależeć na śmierci niepozornego emeryta, kim właściwie był denat: to na scenę wkracza niejaki Sieniawski, nauczyciel, poeta i dziennikarz gminnego biuletynu „Głosu Podleśnej". On to będzie odgrywał u Ławrynowicza rolę poszukiwacza prawdy (w filmie Wajdy była to poszukiwaczka reporterka, grana przez Krystynę Jandę).

Opowieść jest zawiła i pełna rubasznego humoru, bohaterowie ochoczo bowiem oddają się chędożeniu, a jeszcze chętniej opróżniają flaszki rozmaitych napojów, których promować w prasie nie wolno, żeby Jan Śpiewak nie doniósł. Kazimierz Łyczuk okazuje się osobnikiem niezbyt lotnym i raczej przeciętnym. To zaś, jak układają się z woli innych jego losy, jest jednocześnie pełne niezwykłych zwrotów akcji, a zarazem całkiem zwyczajne, gdy przypomnimy sobie zasady funkcjonowania systemu. W komunizmie im coś bardziej było nienormalne, tym bardziej za normalne uchodziło: np. tatuowanie sobie na piersi oblicza Józefa Stalina albo wymyślanie fabuł książek przez ministra bezpieki.

Gdyby nie dobroduszny humor Ławrynowicza, byłaby to powieść bardzo ponura, bo mamy tu i mord, i kazamaty bezpieki, i zdradę, kłamstwo, obmowę, donosicielstwo. Mocno dostaje się sprzedajnym literatom (słusznie!). „Życie jak życie. Ani zanadto piękne, ani zbyt mądre, normalne po prostu" – pisze Ławrynowicz. Sekret z przeszłości okaże się związany z groźną teraźniejszością, ale najważniejsza nie jest w tej książce puenta, lecz głębokie współczucie dla zwyczajnych ludzi, którzy chcieliby spokojnie żyć, marzyć, kochać, płodzić dzieci. Tacy zawsze biorą w d..., znaczy, w skórę, najbardziej – przypomina Ławrynowicz. ©℗

★★★★☆☆

**MAREK ŁAWRYNOWICZ „JAKBY GO NIE BYŁO" WYDAWNICTWO LIRA 2025**

## NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor powieści „Łaskawe" ruszył na Ukrainę zbierać materiały o zbrodni w Babim Jarze, lecz gdy nastała wojna z Rosją, ruszył do Buczy. Esej o mrocznej części ludzkiej natury, stopiony ze zdjęciami Antoine'a d'Agata.

**JONATHAN LITTELL „KŁOPOTLIWE MIEJSCE" WYDAWNICTWO LITERACKIE**

Siekiera, Variete, One Milion Bulgarians, Piersi i wielu innych. Spór: Czy Jarocin 1984 był festiwalem przełomowym? Obraz polskiej muzyki w roku orwellowskim, nowa opowieść autora książek „Dzika rzecz" czy „Śnialnia".

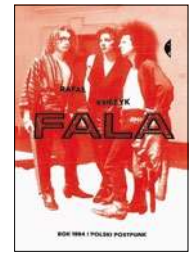


**RAFAŁ KSIĘŻYK „FALA. ROK 1984 I POLSKI POSTPUNK" CZARNE**

Podcast zafascynowanego księżycem gawędziarza i losy kilkorga z jego słuchaczy, których łączy fakt, że stoją przed ważnymi życiowymi decyzjami. Nastrojowa, lekka i optymistyczna konfekcja literacka z Japonii.

**MICHIKO AOYAMA „W KSIĘŻYCOWYM LESIE" GW RELACJA**

Trzecia powieść z serii „Vindolanda" o Brytanii czasów rzymskich. Wydarzenia oglądamy okiem centuriona Flawiusza Feroksa, żołnierza i detektywa. Autor to ceniony historyk (m.in. „Pax Romana", „Cezar"). ©℗

*recenzuje Piotr Gociek*

**ADRIAN GOLDSWORTHY „BRIGANTIA" REBIS**

**KOMIKS TYGODNIA:**
**PARA – BUCH!**

Tytułowa Ślicznotka to potężna, futurystycznie wyglądająca lokomotywa parowa (istniały takie naprawdę, poczytajcie posłowie do komiksu), którą z jej wieloletnim maszynistą łączy niezwykła więź. Czarno-biała opowieść jednego z twórców cyklu „Mroczne miasta" to nie tylko steampunkowa i neofantastyczna historia przygodowa, lecz także wspaniały hołd dla wynalazków wieku pary. ©℗

*Piotr Gociek*

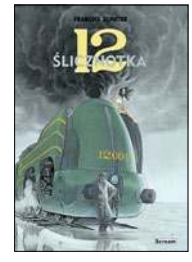


**FRANÇOIS SCHUITEN „ŚLICZNOTKA" SCREAM COMICS 2025**



eprasa.pl a6f11ff05f

# Rekordowa frekwencja

## X Europejskiego Kongresu Samorządów

**Podczas tegorocznej jubileuszowej edycji Europejskiego Kongresu Samorządu do Mikołajek przyjechało ponad 2,8 tys. gości – to kolejny rekord frekwencji w historii tej największej międzynarodowej konferencji samorządowej w Polsce. Kongres miał także rekordową liczbę ponad 160 partnerów – firm, instytucji, stowarzyszeń i mediów. Program tegorocznej edycji obejmował ponad 250 wydarzeń, w tym paneli dyskusyjnych, warsztatów, wykładów, prezentacji i spotkań autorskich. EKS został zorganizowany przez Fundację Instytut Studiów Wschodnich, a jego głównym partnerem było Województwo Warmińsko-Mazurskie**

X edycja EKS przyciągnęła większą liczbę przedstawicieli administracji centralnej, samorządu i liderów biznesu niż kiedykolwiek wcześniej. W tym roku gośćmi Kongresu byli m.in.: Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i minister obrony narodowej, i Krzysztof Gawkowski, wicepremier i minister cyfryzacji. W kongresie uczestniczyło wielu polityków i parlamentarzystów, w tym m.in.: Jerzy Buzek – były premier RP i przewodniczący Parlamentu Europejskiego, Krzysztof Bosak – wicemarszałek Sejmu RP, Mateusz Morawiecki – poseł i wiceprzewodniczący partii Prawo i Sprawiedliwość. Do najciekawszych wydarzeń należy zaliczyć spotkania z Magdaleną Biejat, wicemarszałkinią Senatu i kandydatką Nowej Lewicy na urząd prezydenta, oraz Karolem Nawrockim, kandydatem obywatelskim na urząd prezydenta. EKS to największa międzynarodowa konferencja samorządowa w Polsce. W tym roku było z nami ponad 450 gości z 40 krajów, głównie z Europy, a także z Azji i USA.

W Kongresie uczestniczyło ponad 1 tys. przedstawicieli władz samorządowych i regionalnych, w tym m.in. marszałkowie województw: warmińsko-mazurskiego – Marcin Kuchciński; dolnośląskiego – Paweł Gancarz; mazowieckiego – Adam Struzik; zachodniopomorskiego – Olgierd Geblewicz; podlaskiego – Łukasz Prokorym.

Organizatorzy Kongresu szczególnie podkreślali rosnące zainteresowanie sprawami samorządowymi i społeczności lokalnych ze strony biznesu, ponieważ na współtworzenie wydarzenia zdecydowało się w tym roku o 35 proc. więcej partnerów biznesowych. Wśród 66 firm znalazły się małe i średnie przedsiębiorstwa, będące filarem polskiej gospodarki, a także


eprasa.pl a6f11ff05f

czołowi inwestorzy, innowatorzy, biznesy o zasięgu globalnym, mające szczególny wpływ na lokalne środowiska. Kongres współtworzyli z nami m.in.: BGK, OHP, PFR, SGH, TUW PZUW, Abbott Laboratories Poland sp. z o.o., Allegro, Bank Handlowy, Ecophon Saint-Gobain Polska, Geotermia Polska sp. z.o.o., McDonald's, Polska Izba Informatyki i Telekomunikacji, Polska Izba Inżynierów Budownictwa, Poznańska Korporacja Budowlana Pekabex SA, Pracodawcy RP, Supra Brokers SA, Qemetica SA i Związek Cyfrowa Polska.

Bardzo istotnym elementem tegorocznego spotkania był duży udział przedstawicieli świata nauki. W Kongresie uczestniczyli m.in. prof. Piotr Wachowiak, rektor Szkoły Głównej Handlowej; prof. Alojzy Nowak, rektor Uniwersytetu Warszawskiego; prof. Andrzej Szarata, rektor Politechniki Krakowskiej; gen. bryg. prof. Przemysław Wachulak, rektor-komendant Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie; ks. prof. dr hab. Mirosław Kalinowski, rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Kulminacyjną częścią Kongresu było wręczenie nagród dla wybitnych osobowości świata. Nagrodę Samorządowca Roku 2024 otrzymał Adam Struzik, marszałek województwa mazowieckiego; nagrodę Europejskiego Samorządowca roku odebrała Linda Helén Haukland, wiceburmistrz Okręgu Nordland w Norwegii i wiceprzewodnicząca Zgromadzenia Regionów Europy, a Nagrodę Specjalną EKS otrzymał Zbigniew Tur, wójt gminy Kłodzko, w uznaniu za wielkie zaangażowanie i ogromny wysiłek włożone w pomoc ofiarom powodzi, która w ubiegłym roku nawiedziła Dolny Śląsk.

Jubileuszowa X edycja EKS to ogromny sukces, który potwierdził dynamiczny rozwój Kongresu jako kluczowej platformy współpracy samorządów i biznesu. Wzrost liczby uczestników, partnerów oraz międzynarodowych delegacji jest najlepszym dowodem na to, że wydarzenie to spełnia swoją misję. Organizatorzy zapowiadają, że następny XI Europejski Kongres Samorządów odbędzie się w dniach 2–3 marca w 2026 r. i będzie kolejną okazją do wymiany doświadczeń, inspiracji i budowania silniejszych samorządów w Europie.

eprasa.pl a6f11ff05f

Spektakl „Ale z naszymi umarłymi" w reżyserii Marcina Libera w Teatrze Żeromskiego w Kielcach, 2022 r. FOT. NATALIA KABANOW

# Zombie, wszędzie zombie

*Grzegorz Kondrasiuk*

**Teatr w telewizyjnej „Jedynce", w najlepszym czasie antenowym, „j.bie PiS" jak się patrzy. Wspólnotowo, solidarnie i kabaretowo. Ach, te emocje i kontrowersje sprzed trzech lat – bo tyle liczy sobie premiera kieleckiego teatru przeniesiona na telewizyjny ekran przez dyrektora Teatru Telewizji i, w jednej osobie, szefa kieleckiej sceny**

Teatr Telewizji pod wodzą dyrektora Michała Kotańskiego jest w napędzie, miesiąc w miesiąc pokazuje dwie, trzy premiery. W dodatku Kotański miesiąc temu o włos przegrał z Janem Klatą konkurs na dyrektora Teatru Narodowego. Zadecydował jeden głos oraz – jeśli wierzyć tzw. dobrze poinformowanym – brak wsparcia minister kultury i dziedzictwa narodowego Hanny Wróblewskiej.

Największą – jeśli chodzi o widownię i zasięg – polską sceną teatralną Michał Kotański kieruje od stycznia roku 2024. Jego styl i sposób myślenia można poznać, oglądając spektakle przeniesione na ekran wprost z kierowanego przez siebie równolegle kieleckiego Teatru im. Stefana Żeromskiego. Na pierwszy ogień poszła artystycznie udana realizacja książki Mateusza Pakuły – głos na rzecz wprowadzenia w Polsce eutanazji. A w styczniu 2025 r., w prime timie, na antenie Programu 1 (a nie w niszowej Kulturze), telewizyjną premierę miał spektakl „Ale z naszymi umarłymi" według prozy Jacka Dehnela – wyprodukowany z dużym zaangażowaniem, właściwie już jako rodzaj filmu teatralnego.

Tytuł wzięty z Marii Janion, choć tekst i spektakl trafniej określa inny lotny cytat z tej autorki – „Szczerze nienawidzę naszego mesjanizmu" – z roku 2016, z listu na Kongres Kultury: „Mesjanizm, a już zwłaszcza państwowo-klerykalna jego wersja, jest przekleństwem, zgubą dla Polski". Fabuła, oparta na popkulturowych kliszach, opowiada historię o inwazji zombie na ojczyznę rządzoną przez konserwatywny i katolicki reżim. Rząd jej sprzyja – najpierw po cichu, a potem jawnie – kult żywych trupów zmieniając w oficjalną ideologię, dlatego że zagrażają one jedynie obcokrajowcom, a w dodatku zaczynają podbijać ościenne kraje. Zresztą twórcy spektaklu fabułę jedynie naszkicowali, w luźno zszytej serii scen przepisanej przez adaptatora na galerię groteskowych postaci. Akcja dostarcza pretekstu do zagrania w rytmie postpunkowych piosenek serii scen, sprowadzających się do tzw. beki, szyderstw z ludu polskiego („Ja mam żonę, działkę, słoiki") i z „katoli". Trupy (czyli potraktowana en bloc „konserwa", tak jak ją widzi Jacek Dehnel) szkodzą ludzkości zamieszkującej „tenkraj", zatruwają percepcję, uniemożliwiają wyjście na wolność, na światło – o nic więcej, zdaje się, w tym teatrze nie chodzi.

Równoprawnymi bohaterami spektaklu są telewizja publiczna za rządów PiS i stosowany tam język propagandy. Dehnel z dramaturgiem Kmiecikiem sporządzili wypisy z głupoty polskiej, tej „prawicowej" oczywiście, więc wyższościowego humoru mamy tu co niemiara. Do tego cytaty z Jana Pawła II, parodie modlitw i Mszy św., wprost podane albo przeinaczone cytaty z Biblii i z „Roty", profanacja Golgoty, trzy krzyże na ścianie za widownią, która jest przestrzenią gry – i mamy to. Wszystko sprawnie, profesjonalnie podane, bo reżyser Marcin Liber to rzemiecha co się zowie. Aktorzy kieleccy również, zresztą pewnie lubią występy w odjazdowych kostiumach i makijażach. Ciekawe, czy warunkiem znalezienia się w obsadzie był test na odpowiednio zaangażowane „j.banie PiS" i ze znajomości ostatniego numeru „Nie"?

Bardzo to charakterystyczny przykład etatowego teatru politycznego: uprawiany w państwowej telewizji teatr krytyczny koncesjonowany, odczłowieczający za publiczne pieniądze pokaźną część społeczeństwa. Ot, taka teatralna wersja kabaretu Neo-Nówka. PiS takiego teatru – to trzeba przyznać – nie wytworzył, pozostając na etapie Studia Yayo. Spektakl z Kielc to też teatralna pamiątka po końcówce rządów Mateusza Morawieckiego. W całej Polsce powstawały produkcyjniaki robione tak, jakby PiS miał rządzić zawsze, a okopani w instytucjach artyści ze swoich twierdz mieli przywilej głoszenia prawd objawionych. Równościowe ideały nie obejmowały inaczej myślących i głosujących zombie (wszak żywe trupy mają martwe mózgi), a częścią dogmatu, oprócz ojkofobii, była pogarda dla motłochu, który zagłosował wbrew oczekiwaniom.

Pytanie, co z tak robionego teatru, poza poczuciem zażenowania, zostało w Polsce po zwycięstwie Koalicji Obywatelskiej, która w prostackiej telewizyjnej propagandzie ściga się z poprzednikami i która na potrzeby kampanii politycznej przejęła część konserwatywnej narracji. Telewizja Polska znalazła na nie odpowiedź – należy te cuda udokumentować dla potomności na vod.tvp.pl. ©℗

**TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO W KIELCACH**
**„ALE Z NASZYMI UMARŁYMI"**
**WEDŁUG POWIEŚCI JACKA DEHNELA**
**REŻYSERIA: MARCIN LIBER**
**ADAPTACJA, DRAMATURGIA: MICHAŁ KMIECIK**
**PREMIERA TEATRALNA: 2 KWIETNIA 2022 R.**
**PREMIERA TV: 13 STYCZNIA 2025 R.**



eprasa.pl a6f11ff05f

# Demon i zbydlęcenie

*Dariusz Wieromiejczyk*

**Wyjątkowym, nawet jak na standardy polskich mediów, brakiem elementarnej wrażliwości popisał się jeden z autorów portalu goniec.pl**

W tekście zatytułowanym „Agnieszka Gozdyra przekazała smutną wiadomość. Odszedł na zawsze. Miał serce anioła" dziennikarz Gońca poinformował czytelników o „tragicznych wieściach", którymi podzieliła się „znana wszystkim z anteny Polsatu" dziennikarka Agnieszka Gozdyra. Okazuje się, że telewizyjna celebrytka „musiała pożegnać swojego wiernego towarzysza". Dla zbudowania napięcia i wprowadzenia odpowiedniego nastroju, dziennikarz Gońca.pl, którego nazwisko nie zasługuje na wymienienie, postanowił posłużyć się metodą stopniowania napięcia. Zaczął swój tekst od opisu śmierci polskiego nauczyciela, który zmarł na wakacjach w Egipcie.

„Poniedziałek 24 marca 2025 r. nie należy do najłatwiejszych. Dopiero co informowaliśmy o śmierci znanego nauczyciela ze Śląska, który zmarł po wakacjach w Egipcie […]. Miał to być dla niego czas relaksu oraz regeneracji przed kolejnymi wyzwaniami zawodowymi. Niestety, wakacje zakończyły się niespodziewanie tragicznym wydarzeniem. Mężczyzna bowiem w krytycznym stanie trafił do szpitala. Nauczyciel został przetransportowany do kliniki Cleopatra w Hurghadzie. Po szybkiej diagnostyce lekarze potwierdzili, że powodem jego stanu był wylew krwi do mózgu, do którego doszło w wyniku pęknięcia krwiaka […]. Niestety, po dwóch tygodniach nadeszły tragiczne wieści. Okazało się, że życia mężczyzny nie można już było uratować".

Wprowadziwszy w ten sposób temat „poniedziałku, który nie należy do najłatwiejszych" i dwukrotnie wymieniwszy w tekście nazwisko zmarłego tragicznie człowieka, dziennikarz Gońca zdecydował się na przejście do zapowiadanej w tytule „smutnej wiadomości" przekazanej przez Agnieszkę Gozdyrę.

„Teraz kolejną przykrą informację przekazała dziennikarka telewizji Polsat. Agnieszka Gozdyra przekazała za pośrednictwem mediów społecznościowych, że pożegnała swojego bliskiego przyjaciela. Nie ukrywała, że sytuacja jest dla niej trudna. Oto szczegóły […]. Okazuje się, że chodzi o jej kota Demona, który był jej bardzo bliski i stanowił ważną część życia. Jak podkreśla, zwierzak, mimo »groźnego wyglądu i imienia, miał serce anioła«. Prezenterka dodała, że los pozwolił im cieszyć się swoim towarzystwem przez jedyne pięć lat. Zdjęcie pupila dziennikarki znaleźć można poniżej.

»Odszedł mój Synek, Demon, Maminkotek, sklejony ze mną totalnie, wieczny dzieciak w ciele dorosłego już mejnkuna. Miał groźny wygląd i imię, serce anioła. Los dał nam tylko pięć wspólnych lat« – napisała na Instagramie".

Postawienie w jednym szeregu tragicznej, niespodziewanej śmierci człowieka z „kolejną smutną informacją" w tym samym wywodzie, którą jest wiadomość o padłym kocie telewizyjnej gwiazdeczki, jest dowodem zdumiewającego zatracenia wrażliwości. O postawach, w których człowiek stacza się do poziomu zwierzęcia, zwykło się mawiać „zbydlęcenie".

**Czy można nie dostrzec związku między patologiami naszych czasów a zapewnieniami telewizyjnej gwiazdeczki?**

Artykuł z portalu goniec.pl wydaje się rażącym świadectwem takiego upadku.

Agnieszka Gozdyra, roztkliwiająca się w mediach społecznościowych nad „odejściem mojego Synka, Demona, Maminkotka, wiecznego dzieciaka w ciele dorosłego już mejnkuna", starała się zapewne rozniecić gasnące wśród publiczności zainteresowanie swoją osobą. Tego rodzaju popisy wypaczonej wrażliwości znajdowały do niedawna entuzjastyczny poklask wśród internetowych kociar i dumnych posiadaczek „psiecka". Dyskusja, którą niegdyś wywołał prof. Bralczyk, pisząc o „zdychaniu", a nie „umieraniu" zwierząt, rozpaliła do czerwoności ten segment internetowych dyskutantek. Do ówczesnych polemik z prof. Bralczykiem nawiązała pani Gozdyra wprost, w swoich „żałobnych" wpisach. Na podobnie gwałtowną reakcję liczyła zapewne i teraz, uprzedzając zawczasu, że „Twitter (X) jest miejscem hejtu, który – mam pełną świadomość – spadnie na mnie także pod tym wpisem. Ale nie interesuje mnie to i nie zmieni moich odczuć ani postrzegania tej kwestii, które (co wiem) dzielę z bardzo wieloma osobami".

Tym razem efekty jej minoderyjnych lamentów zmaterializowały się w mediach natychmiast, w najbardziej widocznej formie. Zrównanie czarnego kota z dzieckiem może być gestem bolesnym dla kobiet, które swoje dzieci straciły lub którym nie dane było ich urodzić. Postawienie obok siebie zdechłego kota i zmarłego na wylew człowieka dokonało się jednak, na popularnym polskim portalu, na naszych oczach. Czy można nie dostrzec związku pomiędzy patologiami naszych czasów a zapewnieniami telewizyjnej celebrytki, że „odchodzenie zwierząt nie jest w niczym gorsze od ludzkiego. Nie jest mniej ważne ani mniej znaczące"? Demon może tylko zacierać pazury. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

**Z Bartoszem Kopczyńskim, prawnikiem, analitykiem procesów społecznych i wiceprezesem Instytutu Wiedzy Społecznej**
*rozmawia Jakub Zgierski*

# Polacy jako żywe tarcze na spalonej ziemi

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

**JAKUB ZGIERSKI: Polska opinia publiczna zareagowała w szczególny sposób na Rezolucję Parlamentu Europejskiego z dnia 12 marca 2025 r. w sprawie białej księgi w sprawie przyszłości europejskiej obrony. Oddałem w tym miejscu pełny tytuł dokumentu, chociaż w publicystyce raczej dominuje hasło „Tarcza Wschód", prawda? Można nawet powiedzieć, że w bieżącej walce politycznej przede wszystkim przewija się motyw tego, którzy europosłowie poparli rezolucję i chcą zadbać o nasze bezpieczeństwo, a którzy idą na pasku Putina...**

**BARTOSZ KOPCZYŃSKI:** Opinia publiczna w Polsce poddana jest fałszywym narracjom medialnym i koncentruje się na nieistotnej walce politycznej. Elity polityczne i społeczne Polski zawiodły na całej linii i nie są już w stanie odegrać żadnej pozytywnej roli, ponieważ zostały przejęte przez cudzoziemskie potęgi, tworzące też przekaz medialny.

Politycy każą nam skupiać się na „Tarczy Wschód", zapewniając, że Unia obroni nas przed Putinem. To fałsz w każdym aspekcie. W Rezolucji o „Tarczy Wschód" stanowi ustęp nr 15: „Tarcza Wschód i Bałtycka Linia Obrony powinny być sztandarowymi projektami UE służącymi wspieraniu odstraszania i przezwyciężaniu potencjalnych zagrożeń ze Wschodu". Dalej ustęp 16 mówi o obronie północno-wschodniej granicy UE przed Rosją i Białorusią poprzez ustanowienie kompleksowej i odpornej linii obrony na lądzie, w powietrzu i na morzu na potrzeby przeciwdziałania zagrożeniom wojskowym i hybrydowym, łącznie z wykorzystaniem energii do celów wojskowych, sabotażem infrastruktury i instrumentalizacją migracji. Nie ma tu mowy o obronie Polski, tylko o obronie UE.

Wspomniał pan również „pasek Putina". Często też spotyka się określenie „ruska onuca" na tych, którzy dociekają prawdy, co blokuje rzeczową dyskusję. Trudno znaleźć większe ruskie onuce niż przywódcy UE. Wojna na Ukrainie nie jest pełnoskalowa, tylko ograniczona. Rozpoczęła się konfliktem wewnętrznym na Ukrainie, do którego wmieszała się Rosja, a potem USA i Wielka Brytania. Amerykańskie źródła potwierdziły w lutym, że rękami Ukraińców prowadzona jest wojna zastępcza między NATO i Rosją, a od 2016 r. CIA i MI6 zbudowały na Ukrainie 12 baz wywiadowczo-dywersyjnych przeciw Rosji. Sytuacja jest złożona i wymaga rzeczowej analizy.

**Przyczynkiem do naszej rozmowy jest 28-stronicowy raport, który opublikował pan na swojej stronie wTowarzystwie.pl. Postanowił pan dogłębnie zbadać rzeczoną rezolucję eurokratów, a tytuł tej analizy wydaje się dość dramatyczny: „Żywe tarcze na spalonej ziemi. Doktryna Europejskiej Unii Obronnej". W tej przenośni żywe tarcze to my?**

„Tarcza Wschód" nie ma osłaniać nas, tylko UE, a właściwie nowy twór – Europejską Unię Obronną (EUO), składającą się z UE, Wielkiej Brytanii i Ukrainy. EUO zrywa z USA, separuje się od świata poprzez Morze Czarne i Morze Bałtyckie i odcina dostęp do zachodniej półkuli



eprasa.pl a6f11ff05f

swoim wrogom, których wskazuje: Rosji, Białorusi, Iranowi, Chinom oraz Korei Północnej. Rosja określana jest jako „wrogie mocarstwo". „Tarcza Wschód" nie ma więc chronić Polski, ale odciąć EUO od Rosji. Rezolucja wyjaśnia przyczyny tej wrogości – bo Rosja napadła na Ukrainę i zagraża całej UE. Nie Polsce, nie Europie, tylko UE i jej interesom. Interes UE polega na inwestowaniu w Ukrainę, gdyż tam zamierza przenieść większość produkcji obronnej, a docelowo każdej innej, gdyż całe życie gospodarcze UE ma być podporządkowanie obronności.

UE uznała już samą siebie za państwo, które jest suwerenne i autonomiczne wobec państw członkowskich. Odtąd państwa członkowskie nie mają już własnej polityki, a tylko unijną. Cała polityka fiskalna, wydatki, zamówienia przemysłu, surowce i zasoby, dysponowanie armią, administracja terenowa, zarządzanie społeczeństwem – wszystko ma należeć do UE i zostać podporządkowane jej szaleńczej polityce obronnej, a raczej zaczepnej. EUO/UE występuje jako agresor i prowokator wobec Rosji, a „Tarcza Wschód" ma wciąż generować zagrożenie na granicy wschodniej. To napięcie jest potrzebne EUO/UE, aby pod straszakiem Rosji stworzyć własne państwo federalne, zarządzane centralnie przez KE i unijny sztab generalny. To wymaga, aby państwa członkowskie zrezygnowały z własnej suwerenności.

W państwie unijnym ma panować ciągły stan wojenny, aby nikt z niego się nie wyłamał, i do tego potrzebne jest stałe zagrożenie wojenne. Ukraina służy jako pretekst, aby EUO/UE zmuszała państwa członkowskie do ponoszenia wielkich wydatków na finansowanie unijnych inwestycji. Tak więc retoryka wojenna przeznaczona jest na użytek wewnętrzny, aby narody Europy pozwalały UE na każdą politykę, nawet szkodliwą i niebezpieczną. Skutkiem ubocznym ciągłego napięcia wojennego na granicy wschodniej może być rzeczywisty atak na Polskę. Jeśli do niego dojdzie, to będziemy pozbawieni wszelkiej ochrony: nasza armia i uzbrojenie będą w dyspozycji EUO/UE. Poprzez wejście do tego projektu będziemy musieli wcześniej zrezygnować z sojuszu militarnego z USA. EUO nie będzie dysponowała żadnymi realnymi siłami, zdolnymi przeciwstawić się Rosji.

**UE uznała już samą siebie za państwo, które jest suwerenne i autonomiczne wobec państw członkowskich**

Ponadto główne interesy EUO/UE skupią się na Ukrainie i będą chronić tamten obszar, a nie nasz. Nam pozostaną takie same gwarancje ze strony UE, jak gwarancje brytyjsko-francuskie dla Polski w 1939 r. Wówczas gwaranci nie zamierzali ich dotrzymać; chodziło im tylko o to, aby Polska przyjęła na siebie impet niemieckiego uderzenia. Tak samo jest w 2025 r., tyle że miejsce Niemiec zajęła Rosja. Zachód po raz kolejny chce nas przeznaczyć na zniszczenie, a my mamy unijny rząd warszawski i oszukany naród. Jeśli wejdziemy w ten sojusz, to znajdziemy się na całkowitej łasce Rosji. Nasze życie zależeć będzie od tego, czy władze Kremla będą chciały atakować czy nie. A w razie ataku zostaniemy potraktowani jak bezbronny wróg, całkowicie z własnego wyboru. Taka może być cena za nadstawianie polskiego karku za interesy Londynu, Paryża, Brukseli, Berlina i Kijowa.

**W pana analizie zainteresował mnie zwłaszcza rozdział poświęcony fińskiej koncepcji obrony całkowitej, którą miałyby przyjąć wszystkie kraje Unii Europejskiej czy dokładnie Europejskiej Unii Obronnej (EUO). Do czego w praktyce sprowadza się ta strategia i dlaczego nazywamy ją „fińską"?**

Fińska, bo opisana w raporcie Sauli Niinistö, byłego prezydenta Finlandii, na który powołuje się Rezolucja. Opisano tam zagrożenia dla UE: pandemia, ocieplenie klimatu, dezinformacja, przerwy w dostawie energii, katastrofy naturalne, cyberataki, ataki hybrydowe, zagrożenie militarne. Od razu widać, że większość tych zagrożeń jest wymyślona, stworzona lub sprowokowana przez UE. Sposoby radzenia sobie to przede wszystkim wzmocnienie odporności społecznej, co sprowadza się do odporności psychicznej (czytaj: psychomanipulacja), współpracy społeczeństwa z decydentami i władzami (czytaj: rozszerzenie władzy na sferę prywatną), a także wzmocnienia znaczenia oraz sprawczości obywateli UE i wspólnot lokalnych (czytaj: z prawdziwymi kryzysami radźcie sobie sami). Trzeba to zestawić z Rezolucją, która przewiduje budowę nowej unijnej administracji lokalnej, cywilno-wojskowej, zależnej od KE i sztabu generalnego. Będzie ona realizować cele EUO/UE, czyli gotowość. Pod pozorem rosyjskiego zagrożenia ma więc powrócić reżim covidowy, tylko na stałe i jeszcze bardziej.

Unijna administracja może wykorzystać dla celów militarnych zasoby społeczne w ramach obrony całościowej. Oznacza to, że władza będzie miała prawo wykorzystać wszystko dla odporności UE, także ludność, która poza tym ma sobie radzić sama i nie liczyć na władzę. Nowa polityka obronna, polegająca na odstraszaniu Rosji, a tak naprawdę na wabieniu Rosji do ataku, połączona z koncepcją całościowej obrony, daje nam ostateczny wynik. Jeśli się uda, to EUO/UE wprowadzi Polskę do wojny, wykorzystując Rosję. Polska zostanie sama, jak w 1939 r., unijna administracja wykona zadanie demontażu wszystkiego, co potencjalnie mogłoby się przydać agresorowi, a co jest polską własnością, z kolei „wzmocnione" społeczeństwo – mężczyźni, kobiety, dzieci – będzie miało zaszczyt swoimi ciałami zasłonić UE przed agresywną Rosją.

Już teraz polscy mężczyźni w średnim wieku otrzymują przydziały mobilizacyjne, premier zapowiada masowe przeszkolenie, a wiceminister spraw wewnętrznych doradza, aby przygotować się na 72 godziny bez państwa. Taktyka spalonej ziemi sprawdza się tam, gdzie państwo broniące się dysponuje dużym obszarem, głębią strategiczną i trudnym dla agresora terenem. Może sobie pozwolić na ewakuację części ludności, bo ma gdzie ją rozlokować i zapewnić przetrwanie, a wojska agresora utykają pośrodku trudnego terenu, odcięte od jakiegokolwiek zaopatrzenia, niepokojone przez pozostałe na tyłach oddziały partyzanckie, złożone z miejscowej ludności. To się sprawdziło w Finlandii podczas wojny zimowej, to się sprawdza w Rosji, ale to samo przeprowadzone w Polsce oznaczałoby hekatombę ludzi i zniszczenie polskiej własności. Jest to dobry przepis na naszą depopulację, ale nie na przetrwanie. Tak właśnie przygotowuje się Polaków na wgniatanie w ziemię, tyle że my nie będziemy nikogo wgniatać, lecz będziemy wgniatani.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

# Polska: rycerz czy klient?

Robert Bogdański

**Prezydentura Trumpa paradoksalnie zmusza aktorów sceny międzynarodowej do tego, aby odpowiedzieli sobie na podstawowe pytanie o postawę wobec rzeczywistości. Można co prawda odnieść wrażenie, że nie zawsze jest to pożądane, że wielu podmiotom wygodniej było funkcjonować w świecie, w którym mogły zasłaniać się zasadami, zwyczajami czy sytuacją. Teraz nie tylko trzeba się określić, lecz także wziąć za to odpowiedzialność**

FOT. ADOBE STOCK

Jaką postawę przyjmie Polska? Aby się nad tym zastanowić, trzeba sięgnąć do przeszłości. Nasz bagaż nie jest lekki. Wiek temu podjęliśmy z entuzjazmem próbę samodzielności po latach zniewolenia. Przez 20 lat międzywojnia Polakom wydawało się, że mogą być sprawczy. Dramatycznym wykładem klęski tego poczucia jest broszura jednego ze współpracowników Józefa Becka, ambasadora Juliusza Łukasiewicza, wydana w 1938 r. pod znamiennym tytułem „Polska jest mocarstwem". To opis ćwierćwiecza polskiej polityki od wybuchu pierwszej wojny światowej aż do zajęcia Zaolzia. Przebija zeń duma, że udało się w tym czasie aktywnie współkształtować ład międzynarodowy, prowadząc politykę niezależną wobec obcych oczekiwań. Gdyby autor poczekał z publikacją jeszcze kilka miesięcy, widziałby, że jego konstrukt rozpada się pod ciosami niemieckiej i sowieckiej polityki, choć uczciwie trzeba przyznać, że biorąc pod uwagę szczupłość środków, ta polityka do czasu wywrócenia stolika przez dyktatorów przynosiła efekty.

Nie miejsce tu na polemikę, co można było zrobić lepiej i jak. Ważne, że ówczesne pokolenia przyjmowały postawę, która obecnie byłaby zapewne w Europie skwitowana pogardliwym terminem „suwerenistycznej". Taka postawa wydawała im się zresztą jedyną możliwą, a Łukasiewicz, gdy pojął jej klęskę, odebrał sobie życie. Polskie elity przeszły następnie brutalny kurs oduczający od myślenia w kategoriach suwerenności i niezależności. Można powiedzieć, że chęć podporządkowania sobie polskich interesów była tym, co połączyło zwaśnione skądinąd mocarstwa. Na ponad pół wieku można było zapomnieć nie tylko o suwerenności, lecz także o myśleniu w tych kategoriach. Te pół wieku sprawiło, że gdy można już było wydobyć się ze zniewolenia, postawa naturalna dla ludzi, którzy tworzyli Polskę w roku 1918, wydawała się całkowicie obca elitom tworzącym państwo po roku 1989.

Symbolem ich sposobu myślenia był wybór gen. Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta głosami solidarnościowych posłów, a także taki drobny z pozoru fakt, który często umyka z pola widzenia obserwatorów: urząd cenzury formalnie został zlikwidowany dopiero rok po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Przy pomocy takich gestów polskie społeczeństwo było uczone, że nie należy być kontrowersyjnym. Deklarowanym półgębkiem powodem tej postawy była oczywiście obawa przed interwencją sowiecką, której nikt odpowiedzialny nie mógł całkowicie wykluczyć. Tylko czy likwidacja cenzury mogłaby być jej powodem? Można było wówczas iść na ryzyko i badać, jak daleko można się posunąć, ale wybrano inną postawę. W efekcie uznawani przez nas za tchórzy Czesi mieli za prezydenta Václava Havla w czasie, gdy u nas na czele państwa stał komunistyczny aparatczyk. Nie piszę tego, aby wykazać się po ponad trzech dekadach spóźnioną odwagą, ale po prostu by zdefiniować polską postawę z początków III RP.

## KULT AMERYKI I UE

Postawa ostrożna połączyła się z postawą klientelistyczną. Dwa były polskie ideały i dwa ośrodki, które miały w nas klientów: Ameryka i Europa Zachodnia. Kult Ameryki wynikał z czegoś w rodzaju mitu „starszego brata", czyli tego, który



eprasa.pl a6f11ff05f

uwolnił nas od chuligana terroryzującego podwórko. Podbudowywała ten kult możliwość pracy i zarobku, ale samo to by nie wystarczyło. Musiał być jeszcze zwycięski Ronald Reagan. W efekcie Stany Zjednoczone zdominowały nasze myślenie o bezpieczeństwie. Od nich warto było „zależeć", bo to nam dawało pewność, że Rosja tu nie wróci. Tak wierzyli ludzie, a elity nie kłopotały się, aby przekazywać im niewygodną prawdę, że plany obrony Polski przez NATO przez ponad dwie dekady od akcesji nie istniały nawet na papierze. Nasze bezpieczeństwo „zależało" jedynie teoretycznie, natomiast serwituty polityczne, które płaciliśmy były realne. Mimo to bycie klientem amerykańskiego dostawcy bezpieczeństwa było i nadal jest popularne.

Kult Europy musiał być dopiero stworzony. Kiedy Dariusz Rosati usiłował się w 1989 r. dostać do Senatu jako kandydat „niezależny", jego hasłem było „Idziemy do Europy". Spauperyzowanym i straumatyzowanym Polakom łatwo można było wytłumaczyć, że nie jesteśmy w Europie i dopiero musimy do niej „iść". Tu motywacja była ściśle ekonomiczna. Unia Europejska była przedstawiana – i słusznie – jako twór, który utrzymuje w Europie pokój, ale śmiem twierdzić, że nikt w Polsce o niej tak nie myślał. Miała dostarczyć nam bogactwo. I dostarczyła. Udało się przy tym wytworzyć przekonanie, że od Unii tylko „dostaliśmy". Druga strona rachunku ekonomicznego, która pokazuje, jak wiele kraje Unii zyskały na otwarciu naszego rynku, jest w społecznej wyobraźni prawie zupełnie nieobecna. Unia została zrównana z „korzyściami". Symbolem tego stylu myślenia był tort z euro zaprezentowany triumfalnie w 2013 r. przez Donalda Tuska. Korzyści skutecznie osłaniały polityczną, ekonomiczną i prawną zależność, w którą Polska popada coraz mocniej, ułatwiały też przejście do porządku nad gorsetem ideologicznym. Nadal wielu wierzy więc, że warto być klientem Unii Europejskiej.

## PUNKT ZWROTNY

Wojna na Ukrainie i lata konfliktu elit unijnych z prawicowym rządem w Warszawie zachwiały klientelistycznym nastawieniem Polaków. Ameryka na naszych oczach przestaje być bezspornym dostawcą bezpieczeństwa. To proces, który gwałtownie przyspieszył za prezydentury Trumpa, ale zaczął się wcześniej, gdy Polacy uświadomili sobie, że Amerykanie nie są wszechmocni. Znaczenie miały tu fatalnie zrealizowane wycofanie z Afganistanu czy rosnąca potęga Chin, wreszcie niezdolność do powstrzymania ataku na Ukrainę. Co więcej, niejasne komunikaty ekipy Trumpa w sprawie Rosji każą podawać w wątpliwość, czy „starszy brat" będzie znowu chciał wyrzucić chuligana z podwórka. Nałożyły się na to absurdalne, ale bardzo sugestywne w społecznej wyobraźni opowieści o „kodach do himarsów", które mogą rzekomo sprawić, że nam Pentagon wyłączy broń. Wszystko to zachwiało pozycją „starszego brata", choć jej nie zniosło. W dodatku Ameryka zachowuje się teraz, jakby jej nie zależało na klientach, więc część elit polskich zachowuje się jak zdradzony kochanek, który miłość chce pokryć niechęcią.

**Czy stać nas na postawę suwerenną czy będziemy wobec jednych klientami, a wobec drugich posłusznymi wykonawcami poleceń?**

Co do Unii Europejskiej, to coraz więcej ludzi widzi, że w zamian za korzyści kraj jest krępowany politycznie, prawnie i ideologicznie, coraz bardziej dotkliwe są też ciężary finansowe ponoszone z powodu polityki klimatycznej, której ekscentryczność ukazuje się coraz wyraziściej. Moment, w którym więcej pieniędzy będzie z polskiego budżetu wypływać, niż do niego wpływać, może stać się punktem zwrotnym, gdy poczucie, że warto być klientem Unii, gwałtownie spadnie. Na taką ewentualność elity unijne się przygotowują, ogłaszając, że zastąpią Amerykę jako dostawca bezpieczeństwa, i snując wielkie plany zbrojeniowe, częściowo tylko realne, ale rezonujące w odbiorze społecznym. Usiłują też uruchomić wspólny unijny dług, aby płatnicy netto mogli zobaczyć dodatkowe pieniądze. Unia walczy o to, aby warto było pozostać jej klientem.

Stosunki z Ukrainą były natomiast w ostatnim czasie poligonem doświadczalnym dla tych, którzy chcieliby w stosunkach z innymi zachować „rycerskość" i wznowić ideały walki „za wolność naszą i waszą". Wielu wydawało się, że bezwarunkowe wsparcie udzielane Kijowowi buduje coś w rodzaju pozytywnego długu u partnera i nie trzeba głośno mówić o skali polskiej pomocy, bo wszyscy to i tak wiedzą. Środowisko prezydenta Zełenskiego dość bezwzględnie uświadomiło nam, jak bardzo się mylimy. Prędko staliśmy się jednymi z wielu, a nasza ocena nie zależała od przeszłych zasług, tylko od tego, czy w danej chwili jesteśmy użyteczni. Ukraina wykonała wobec nas nieprawdopodobną z pozoru woltę, będąc krajem słabym usiłującym nas uzależnić.

Staje więc wobec Polski pytanie proste, ale najtrudniejsze: Czy stać nas na postawę suwerenną czy też będziemy wobec jednych klientami, a wobec drugich posłusznymi wykonawcami poleceń, za każdym razem uzyskując pochwały za właściwą „postawę"? Czy do rozwiązywania spraw stać nas będzie na przyjęcie postawy Polaków sprzed stu lat, którzy mieli na uwadze tylko jeden wielki cel – niepodległość – i nie wahali się poświęcić w jego imię wszystkiego? Współcześnie swój wielki cel definiuje podobnie Izrael, który działa całkowicie niezależnie od opinii światowej i od swojego wielkiego sojusznika, narażając się na ostracyzm i sankcje. Tylko czy w jednoczącej się Europie, w której takie postawy są pogardliwie określane mianem „suwerenistycznych" i spychane do narożnika z „populistami" i „skrajną prawicą", jest to możliwe?

Dwóch wielkich patronów, którzy zdominowali nasze życie publiczne w ostatnich dekadach, USA i UE, wymagało od nas różnego charakteru serwitutów. Amerykanie serwitutów politycznych. Europejczycy do serwitutów politycznych dodawali finansowe i ideologiczne, a ostatnio chcą wyzbycia się myśli o suwerenności. Ta druga postawa sięga głębiej, bo eroduje samą możliwość zmiany. W tym sensie wydobywanie się z klientelizmu lepiej byłoby zaczynać od uniezależnienia się od Europy. Zdaję sobie sprawę z tego, że napisanie tego w chwili, gdy kraj ogarnia panika, że Amerykanie się wycofają, więc trzeba zewrzeć nasze europejskie szeregi, może być głosem na pustyni. Jednak po tym „zwarciu szeregów" może już nie być powrotu do postawy całkowicie niepodległej. Warto się nad tym zastanowić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

# Aborcjoniści testują Polskę

*Kaja Godek*

**Sprawa Abotaku, pseudoprzychodni aborcyjnej otwartej tuż pod Sejmem, jak w soczewce pokazuje niewydolność państwa i jego podatność na nacisk ze strony zagranicznego lobby aborcyjnego. Jednocześnie uwidacznia ogromny opór społeczny przeciw zabijaniu poczętych dzieci. Ten opór sprawia, że trudno realizować założenia feministycznego projektu. Bo zamiast wywołać wrażenie, że Polacy pragną aborcji, aborcjoniści pokazali, że Polacy ich tu nie chcą i domagają się zamknięcia Abotaku**

Oj, coś nie wyszło… Tak można najkrócej podsumować pierwsze dni istnienia placówki, która miała być pierwszą w Polsce przychodnią aborcyjną. Pierwszą, a zatem kolejne były w planach.

## WIZERUNKOWA WPADKA

Otwarcie Abotaku miało wywołać następujące wrażenie: oto oddolny ruch społeczny polskich kobiet, nie mogąc doczekać się legalizacji aborcji, bierze sprawy w swoje ręce i organizuje miejsce, gdzie panie będą sobie nawzajem pomagać. Siostrzeństwo, empatia, wsparcie, kobieca solidarność. Nie oceniamy, dajemy ci to, czego potrzebujesz, a czego bezduszni politycy (mężczyźni i mizogini!) chcą ci zabronić. Założycielki placówki zapowiedziały nawet grupowe sesje aborcji, żeby oddramatyzować jej dokonywanie. Zamordowanie dziecka chciały przedstawić jako rutynową czynność, jak mycie zębów lub poprawienie sobie ukradkiem makijażu.

Tymczasem od wielu dni na Wiejskiej sytuacja wygląda zgoła odmiennie. Polacy – obrońcy życia, a także wielu zwykłych ludzi, którzy dołączają do protestu – sprzeciwiają się usankcjonowaniu sytuacji, w której w centrum stolicy działa ośrodek aborcyjny. Oddolny, obywatelski ruch społeczny to właśnie ci, którzy protestują przeciw Abotakowi, a nie jego założyciele.

Paraprzychodnia koło Sejmu nie jest formalnie zakładem opieki zdrowotnej, oficjalnie to tylko sklep z ciuchami, a jednak stopniowo wyposażana jest tak, by umożliwiać aborcję. Otwarto np. zbiórkę na meble do izolatki, gdzie kobiety po zażyciu pigułek poronnych będą czekać na śmierć swojego dziecka. Z kolei sprzedawane ubrania (bluzy, skarpetki, koszulki, bielizna) to cegiełki na sfinansowanie aborcji dla tych, których na nią nie stać. Sam asortyment sklepu jest wulgarny: na koronkowych damskich majtkach widnieją proaborcyjne hasła, na bluzach i koszulkach po polsku oraz po angielsku zdania, których kulturalny człowiek nie zacytuje, a które wszystkie sprowadzają się do jednego: zachęcamy was, drodzy klienci, do stosunków płciowych w jakimkolwiek kontekście i bez zobowiązań. A jakby co, to jest aborcja (i zarobek dla nas, ale tego już nie mówimy). Do kupienia są prezerwatywy i od razu testy ciążowe – z anglojęzycznym wulgaryzmem z przesłaniem, że seks należy uprawiać „for fun".

Aborcjonistki zapraszają z dziećmi. Gdy mama będzie zabijać młodsze dziec-



eprasa.pl a6f11ff05f

ko tabletkami, one poniańczą starsze, w opisanym wyżej otoczeniu.

## „TU PRAWO NIE OBOWIĄZUJE"

Otwarciu Abotaku towarzyszyły buńczuczne deklaracje jego założycieli, że w tym miejscu polskie prawo nie będzie obowiązywało. Nikt nie spyta, dlaczego chcesz sobie zabić dziecko i czy masz do tego podstawę, po prostu je sobie zabijesz. Bo pigułki poronne jakoś załatwimy, wystarczy poprosić.

Placówka co kilka dni próbuje wystartować. Już od początku jej otwarcie przypominało zabawę w kotka i myszkę. Aborcjonistki dobrze wiedziały, że tam, gdzie się pojawią, ściągną protesty obrońców życia. Dlatego do ostatniej chwili ukrywały informacje o adresie, licząc, że jeśli podadzą go dzień przed planowanym otwarciem, to nie da się tam już zgłosić zgromadzenia publicznego. W Internecie popełniły jednak błędy i lokalizacja ośrodka została namierzona wcześniej. Pikiety i modlitwy pro-life zaczęły się już od pierwszego dnia, a głos za życiem był zdecydowany. W rezultacie właściciele Abotaku zdecydowali, że zamkną go na kolejne dziewięć dni pod pretekstem dokończenia remontu.

Ponownemu otwarciu towarzyszyło znowu oblężenie placówki przez pro-liferów. Sytuację próbowała ratować minister równości Katarzyna Kotula. Niedoszła magister przyszła podtrzymać na duchu zasmucone aborcjonistki, a następnie poinformowała o złożeniu zawiadomienia do organów ścigania. W zawiadomieniu napisała, że przy Wiejskiej odbywają się zgromadzenia publiczne z użyciem nagłośnienia, słychać wulgarne okrzyki (które faktycznie nie miały miejsca) i widać gorszące treści (zdjęcia z aborcji). Sytuacja trochę jak z kabaretu, bo przecież sama Kotula była jedną z twarzy proaborcyjnych strajków po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r. Po sieci do dziś krążą nagrania, jak późniejsza minister wdrapuje się na prowizoryczne podesty i wykrzykuje osiem gwiazdek oraz bluzga słowem na „w". Właśnie jesteśmy świadkami, jak ikony strajków po wyroku TK zamieniły się w obrońców spokoju na ulicy. Co za przemiana!

Środowisko związane niegdyś ze Strajkiem Kobiet dziś próbuje zakazać manifestacji ulicznych, bo ich treść im się nie podoba. Ale odmienne poglądy to niejedyny powód, aby próbować usunąć obrońców życia z chodnika przy Wiejskiej. Jest ważniejsza przyczyna: aborcjonistom właśnie posypała się narracja, która miała być środkiem szantażu wobec polityków w Polsce, by zalegalizowali aborcję. I która miała dać oręż ośrodkom zagranicznym, aby ingerowały w polską politykę rzekomo w celu realizacji żądań samych Polaków. Abotak miał być postrzegany jako oddolny projekt polskich kobiet, a tymczasem jest aż nadto widoczne, że jest to projekt aborcyjnej międzynarodówki, której Polacy nie chcą u siebie oglądać.

## ZAGRANICZNA PRESJA NA POLSKĘ

Kim zatem są założyciele paraprzychodni? Kto i w jaki sposób próbuje postawić w Warszawie klinikę aborcyjną?

Abotak to projekt opracowany przez Aborcyjny Dream Team. Ta nieformalna grupa od kilku lat prowadzi w Polsce kampanię, która serwuje przekaz, że mordowanie poczętych dzieci „jest OK". Najstarsze dziecko, które pomogli zabić, miało dziewięć miesięcy życia płodowego i było gotowe do porodu. Gdy w Internecie ich własne środowisko zwracało uwagę, że chyba przesadzili, jedna z aktywistek odpisała, żeby nie oceniać, bo każdy powód do aborcji jest dobry. Powiązane finansowo i personalnie z zagranicznymi ośrodkami ADT stanowi część Aborcji bez Granic, porozumienia grup feministycznych w kilku krajach świata, obficie dotowanego przez wiele zagranicznych ośrodków, w tym rządów. Jedna z kobiet z ADT nazwała kiedyś samą siebie aktywistką, aborcjonistką i „przemytniczką organizującą globalny, feministyczny przepływ tabletek [poronnych – przypis K.G.]". ADT ma znajome kliniki za granicą, którym podsyła klientki z Polski, organizuje także pigułki do aborcji ze źródeł zagranicznych. Publikuje też nagrania, jak przebiega aborcja w Holandii. Są wirtualne wycieczki po konkretnych zakładach, wskazówki, gdzie jest dana klinika i do którego miesiąca ciąży można tam zabić dziecko. ADT oswaja z tematem, pokazuje, że zabieg za granicą to w sumie miłe wydarzenie, wrażliwi lekarze i profesjonalna opieka. „Tu jest pojemnik na tzw. produkt ciąży" – wyjaśnia aktywistka na jednym z nagrań, pokazując plastikowy kontener na ciałko zabitego dziecka.

Jak dostać tabletki do aborcji? Obywatelskie dochodzenie przeprowadzane w ubiegłych latach przez działaczy pro-life wykazywało, że po zamówieniu pigułek klientka otrzyma informację, że ma wpłacić konkretną kwotę pieniędzy. Gdy prosi o zwolnienie z opłat, w odpowiedzi pojawia się nagabywanie, by pożyczyła skądś brakującą sumę. Nic nie jest przecież za darmo.

Tabletki do aborcji zabijają dziecko, ale mogą też powodować śmierć matki, również gdy aborcja odbywa się legalnie. Stołeczne kliniki położnicze już teraz powinny się szykować na przyjęcie trudnych przypadków z Abotaku. Najbliżej są szpitale przy Karowej i przy placu Starynkiewicza – to tylko kwestia czasu, jak pojawią się tam kobiety w zagrożeniu życia po wzięciu preparatów nieznanego pochodzenia.

## POD PATRONATEM BODNARA

„Abotak imienia Adama Bodnara" – tak właściwie powinien się nazywać ośrodek pod Sejmem. W sierpniu ubiegłego roku to właśnie prokurator generalny rozesłał do wszystkich prokuratur w Polsce pismo z wytycznymi, jak ścigać przestępstwa związane z aborcją. A raczej jak kombinować, aby ich nie ścigać. Reakcję penalną na aborcję nazwał „kontrowersyjnym problemem prawa karnego". Pismo było unikatem w skali świata, bo prokurator generalny z natury rzeczy powinien się zajmować egzekwowaniem prawa, tymczasem Bodnar przeanalizował, jak naginać prawo i puszczać przestępstwa płazem. Do międzynarodówki aborcyjnej trafił klarowny sygnał: możecie się instalować w Polsce, my was nie ruszymy. Kilka tygodni później pojawiły się pierwsze zapowiedzi, że w Warszawie szykuje się otwarcie „przychodni" do robienia aborcji.

Na możliwość powstawania w Polsce typowych klinik aborcyjnych od lat czekają zagraniczne sieci providerów aborcji. Polska byłaby łakomym kąskiem dla International Planned Parenthood Federation, Marie Stopes International i innych globalnych dostawców tzw. usług reprodukcyjnych. Abotak jest testem, jaka będzie w Polsce reakcja na prywatny ośrodek trudniący się mordowaniem dzieci. Polacy zdają ten test świetnie, a aborcjoniści wizerunkowo przegrywają. A kiedy do działania ruszą organy państwa?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem Zarządu Fundacji Życie i Rodzina.



eprasa.pl a6f11ff05f

**Z dr. hab. Piotrem Korysiem, ekonomistą**
*rozmawia Filip Memches*

# Zabrakło burżuazji

**FILIP MEMCHES: Pańska książka „Pożegnanie z pańszczyzną" – uhonorowana drugim miejscem w konkursie Książka Biznesowa Roku gazety „Puls Biznesu" za rok 2024 – to zarys historii gospodarczej Polski od XVIII w. do dziś. Pierwotnie została wydana w roku 2018 po angielsku. Natomiast niedawno ukazał się jej polski przekład. Czy pisał pan ją w przekonaniu, że w dziejach Polski jest wciąż wiele ważnych wątków, o których cudzoziemcy nie mają pojęcia, a jeśli nawet jakieś pojęcie o nich mają, to w dużym stopniu opierają się na mitach, przekłamaniach, niedopowiedzeniach?**

**DR HAB. PIOTR KORYŚ:** Historia gospodarcza Polski to jest taki wycinek naszej historii, o którym nawet my, Polacy, mamy marne pojęcie. Co dopiero mówić o tym, jaką wiedzę na jej temat mają ludzie na Zachodzie. Właściwie gdybyśmy sięgnęli do jakiegokolwiek katalogu książek dotyczących historii gospodarczej, okazałoby się, że od bardzo dawna, albo nigdy, nie została wydana w języku angielskim żadna pozycja o Polsce. Nic dziwnego, że Polska na Zachodzie postrzegana jest jako dalekie peryferie – kraj, w którym nie wiadomo, co się działo.

**Jak wskazuje tytuł pańskiej książki, dopiero teraz, czyli w III Rzeczypospolitej, Polacy tak naprawdę żegnają się z pańszczyzną. To brzmi prowokacyjnie. Przecież na ziemiach polskich pańszczyzna została zniesiona, przynajmniej formalnie, w XIX stuleciu. A w kręgach lewicowych nieraz można usłyszeć, że choć państwo komunistyczne represjonowało obywateli i było ekonomicznie niewydolne, to jednak zapewniło nizinom społecznym awans cywilizacyjny.**

Nie twierdzę, że pańszczyzna w sensie technicznym przetrwała. Natomiast dostrzegam, jak wielu przede mną, elementy relacji postfeudalnych czy kulturę folwarku widoczną też w dziedzictwie PRL.

**Jak to się ma do tego, że jedną z głównych obietnic składanych przez włodarzy Polski Ludowej było ustanowienie społeczeństwa w pełni egalitarnego?**

Była reforma rolna, ale poza nią chłopi od władzy komunistycznej prawie nic nie dostali. Opierali się kolektywizacji i zostali za to ukarani. Mieli utrudniony dostęp do różnych świadczeń, jak choćby emerytur. Właściwie zepchnięto ich na margines. Mówię o rolnikach indywidualnych, bo nieco inaczej było z pracownikami Państwowych Gospodarstw Rolnych. Ci byli lepiej traktowani, otrzymywali znośne wynagrodzenie. Ale jednocześnie zepchnięto ich do roli robotników folwarcznych. Zostali porozrzucani po różnych odległych zakątkach kraju, właściwie wykluczeni. Ich dzieci miały ograniczone szanse życiowe, bo właściwie nie miały dostępu do dobrych szkół czy uniwersytetów. Dziedziczyły status rodziców.

> **Narracja, że społeczeństwo nie dorosło do demokracji, wciąż powraca. Ten problem mamy do dziś**

**Państwo komunistyczne robiło za feudała?**

Tak, nie tylko wobec rolników. Było właścicielem środków produkcji, z wyłączeniem części rolnictwa. Na potrzeby parafeudalnego modelu produkcji „wynalazło" też np. chłoporobotnika, kogoś przypominającego chłopa pańszczyźnianego, który przecież z tytułu pracy wykonywanej dla pana wprawdzie zarabiał bardzo mało, ale posiadał kawałek ziemi, na której mógł sobie coś uprawiać i miał się z czego wyżywić. Ale w ciągu tygodnia pracował jako robotnik w fabryce. Państwo mu za tę pracę płaciło dużo mniej niż – też wyzyskiwanemu – robotnikowi z miasta. Koszty utrzymania w mieście były bowiem o wiele wyższe niż na wsi, a robotnik nie posiadał ziemi, utrzymywał się tylko z tego, co zarobił w fabryce. Tym samym państwu komunistycznemu opłacało się zatrudniać tanich chłoporobotników. W dodatku dla komunistów istotne było, że chłoporobotnicy nie mieszkali w miastach, lecz byli do nich zwożeni. Dlatego trudniej im było niż robotnikom miejskim organizować się w jakieś grupy protestu. A jeśli w jakiejś zamierzali zastrajkować, to pewnie autobus po nich po prostu nie przyjeżdżał, zakład miał z tydzień przestoju, aż do wygaśnięcia gorączki strajkowej.

**Jaki wpływ na to nieformalne trwanie elementów pańszczyzny, o którym rozmawiamy, miały perturbacje z kształtowaniem się polskiej wspólnoty narodowej?**

W latach 70. XX w. socjolog Stefan Nowak pokazywał, że w Polsce nie ma instytucji pośredniczących pomiędzy państwem i jednostką. Chodzi o instytucje budujące niezbędną dla społeczeństwa sieć pojęć, relacji, wartości. Nowoczesny naród polski jako wspólnota zaczął się tworzyć dopiero w XIX stuleciu – wraz z rozkładem feudalizmu. W relacji pana z chłopem Polakiem w pełni był pan, a chłop – wyłącznie w sensie etnolingwistycznym. W PRL elementy pańszczyzny trwały m.in. dlatego, że nastąpiła dekompozycja wciąż jeszcze kształtującej się wspólnoty narodowej. Pamiętajmy, że kształtowanie się nowoczesnych narodów było w dużej mierze związane z kształtowaniem się burżuazji, której w Polsce brakowało. Kluczowe dla Polski okazały się rozbiory. Przyczyniła się do nich szlachta – zwłaszcza magnaci – prowadząca politykę, która doprowadziła do upadku państwa polskiego. I sąsiedzi Polski na tym skorzy-



eprasa.pl a6f11ff05f

stali. Upraszczając nieco, pod zaborami zamiast burżuazji kształtowała się inteligencja. W efekcie w roku 1918 powstało coś, co socjolog Tomasz Zarycki określił mianem „republiki inteligenckiej" – czyli twór oparty na kapitale kulturowym, a nie materialnym. W Polsce brakowało i chyba ciągle brakuje warstwy społecznej, która byłaby zainteresowana trwaniem i siłą materialną państwa polskiego. Kiedyś to była magnateria, lecz tylko do pewnego czasu.

**Wskazuje pan istotną rolę, którą w nowoczesnym społeczeństwie odgrywa burżuazja narodowa. Tymczasem jeden z przekazów dnia, które serwowano w politycznym i medialnym mainstreamie na początku III RP, brzmiał: kapitał nie ma narodowości.**

Nie można pominąć tego, że problemem krajów Europy Środkowo-Wschodniej było zjawisko uwłaszczania się zamożnych grup na majątku narodowym zgromadzonym w epoce realnego socjalizmu. Grupy te nie reprezentowały przecież kapitału zagranicznego. Milionerami nieraz stawali się byli funkcjonariusze systemu komunistycznego. Tak się tworzyła postkomunistyczna klasa oligarchów. W Rosji czy w Czechach przy powszechnej prywatyzacji nie wmontowano w nowy system bezpieczników, które pozwoliłyby uniknąć koncentracji własności w rękach wąskiej grupy. A chodziło przecież o to, żeby własność upowszechnić, a zwykli ludzie, stając się właścicielami, stawali się jednocześnie obywatelami. Inna rzecz, że w Polsce, mimo że powszechnej prywatyzacji własności nie udało się przeprowadzić, akurat klasa oligarchów na szczęście się nie wytworzyła. Oczywiście kapitał ma narodowość, ale w Polsce okresu transformacji ten zagraniczny kapitał bardzo dopomógł w uniknięciu wielu transformacyjnych patologii.

**Jak rozumiem, przestrzega pan przed fetyszyzacją narodowości kapitału. Ale można pójść jeszcze dalej: oligarchowie – ci jak najbardziej swojscy, miejscowi – to argument na rzecz tezy, że własne suwerenne państwo nie jest warunkiem wzrostu gospodarczego i dobrobytu społeczeństwa. Zwolennicy federalizacji Unii Europejskiej uważają, że Polakom żyłoby się bezpiecznie i dostatnio w ramach jednego wielkiego europejskiego supermocarstwa – choćby i zarządzanego przez Niemców oraz Francuzów.**

Krąży taka myśl, że jeśli staniemy się najbardziej europejskimi Europejczykami, najpilniejszymi uczniami w klasie, to zostaniemy w UE docenieni i na tym skorzystamy. Jest też znana od czasów Róży Luksemburg teza, że zabory przyniosły Polsce dostęp do rynków i rozwój przemysłu, więc gospodarczo okazały się korzystne. Albo podobna, że PRL przyniósł prawdziwą modernizację przy niepełnej suwerenności. Nie podzielam tych poglądów. W epoce zaborów, tak jak po drugiej wojnie światowej, cała Europa się rozwijała. Z reguły szybciej niż Polska. W dodatku polityka zaborców nie sprzyjała kształtowaniu się burżuazji. Wątpię, czy gdyby nie doszło do rozbiorów, to Polska pozostałaby zacofanym krajem szlachty w kontuszach i chłopów pańszczyźnianych, wyłączonym z europejskich procesów modernizacyjnych. Natomiast wiem, że zaborcy hamowali rozwój ziem polskich choćby w takich dziedzinach, jak budowa kolei czy system edukacji. A dzisiaj potrzebujemy głębszej integracji europejskiego rynku, deregulacji i elastyczności w reagowaniu na globalne wyzwania, ale nie ociężałego europejskiego superpaństwa stawiającego coraz to nowe regulacyjne bariery.

**Na początku III RP Polakom za wzór stawiano liberalne rozwiązania polityczne i gospodarcze, charakterystyczne dla krajów anglosaskich. Ale odnoszę wrażenie – które podtrzymuje we mnie również lektura pańskiej książki – że liberalizm zawsze był w Polsce ciałem obcym.**

To jest kwestia posiadania własnego państwa. Żeby zaistnieć, liberalizm potrzebuje suwerennych instytucji państwowych. W przeciwnym razie jego miejsce zajmują idee takie jak romantyzm. I nie pozostawiają przestrzeni dla liberalizmu. Być może z tego powodu w Polsce idea narodowa po prostu się rozmyła. Opierała się bowiem na zachodniej burżuazyjnej koncepcji narodu. Nie była romantyczną ideą, taką, która kształtowała polską tożsamość narodową. Przypomnijmy, że Narodowa Demokracja – a więc ruch, którego teoretykiem i przywódcą był Roman Dmowski – była nurtem politycznym, który po części przyswajał liberalizm ekonomiczny na gruncie polskim. Wspomnijmy choćby takich ekonomistów jak Roman Rybarski. Dmowski kreślił wizję nowoczesnego narodu jako dynamicznej, pełnej energii wspólnoty przedsiębiorców, państwowców i obywateli, a więc takiej, która potrzebuje silnego stabilnego państwa. U progu III Rzeczypospolitej o taką wspólnotę apelowali polscy liberałowie…

**PIOTR KORYŚ „POŻEGNANIE Z PAŃSZCZYZNĄ. HISTORIA GOSPODARCZA POLSKI OD ROZBIORÓW DO DZIŚ"**
**TŁUMACZENIE: WITOLD FALKOWSKI, WYDAWNICTWO WEI WARSZAWA 2024**

**Ale przecież Polacy w roku 1918 odzyskali swoje państwo. Była więc szansa na realizację wizji Dmowskiego, który skądinąd jest pozytywną postacią w pańskiej książce.**

Trwało to jednak krótko. Po zamachu majowym wizja państwa obywatelskiego przegrała z wizją państwa autorytarnego. Co do Dmowskiego – bywa przez polską inteligencję demonizowany. Można wręcz zetknąć się z opinią, że zamach majowy, znosząc demokrację, paradoksalnie ją ocalił. Przypomina to poglądy polityków obecnego, a także poprzedniego obozu rządzącego: można stosować nadzwyczajne środki – oczywiście nie takie, jak Józef Piłsudski – uzasadniając to koniecznością ratowania demokracji. To zresztą było też widoczne od początku III RP. Pamięta pan zapewne taką partię jak Unia Demokratyczna. Przyjęła ona założenie, że obóz solidarnościowy nie może się dzielić i wewnętrznie spierać, bo byłoby to zagrożeniem dla demokracji i w efekcie – dla sukcesu reform. Tak samo w latach 1980–1981 obawiano się dyskusji w ramach Solidarności.

**UD również miała pewne cechy „postfeudalnej" formacji. Roztaczała wizję, w której oświecona inteligencja przewodzi posłusznym jej masom.**

Narracja, że społeczeństwo nie dorosło do demokracji, wciąż powraca, zwłaszcza gdy dokonuje niewłaściwych wyborów. Ten problem mamy do dziś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***dr hab. Piotr Koryś***
*– ekonomista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego zajmujący się historią gospodarki, ekspert Instytutu Sobieskiego oraz Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.*



eprasa.pl a6f11ff05f

Doktor teologii Barbara Velik-Frank objęła w marcu funkcję wikariusza biskupiego w austriackiej diecezji Gurk-Klagenfurt FOT. KATHOLISCHE KIRCHE KÄRNTEN

# Władza w ręce kobiet?

*Paweł Chmielewski*

**Kościół katolicki przechodzi feministyczną transformację. Bez rewolucyjnych zmian, krok po kroku kobiety zaczynają odgrywać coraz większą rolę w liturgii, duszpasterstwie i administracji. Niestety, dzieje się to z pogwałceniem prawa kanonicznego i porzuceniem kilku podstawowych prawd**

Kobiety stanowią połowę ochrzczonych – a gdyby policzyć osoby chodzące regularnie na mszę, w większości krajów świata byłoby ich pewnie więcej niż mężczyzn. Musi to mieć swoje konsekwencje dla miejsca, jakie zajmują w życiu Kościoła. Tak rzeczywiście było na przestrzeni wieków. Żeńskie zakony zwykle były dalece liczniejsze niż zakony męskie. Życie parafialne czy działalność charytatywna Kościoła były i pozostają ściśle zależne od wkładu kobiet. Nie pełniły one jednak praktycznie żadnych funkcji administracyjnych, duszpasterskich ani liturgicznych, bo te były zarezerwowane dla księży.

## SAMOLIKWIDACJA

Zgodnie z nauczaniem Kościoła katolickiego sakramentu kapłaństwa można udzielić wyłącznie mężczyźnie. Taka była biblijna tradycja kapłańska, którą postanowił kontynuować Chrystus. Kolegium apostołów – pierwszych biskupów – zbudował wyłącznie z mężczyzn. Teologia Kościoła wskazuje: Chrystus jest Najwyższym Kapłanem. Dlatego ci, którzy podczas Mszy św. składają ofiarę eucharystyczną niejako w Jego osobie, powinni odpowiadać Mu również pod tak ważnym dla ludzkiej tożsamości kątem jak płeć. Przez prawie 20 stuleci nikt nie miał z tym problemu. Kobiety robiły swoje, mężczyźni swoje – ostatecznie każdy dobry chrześcijanin pracował we właściwy sobie sposób na zbawienie własne i bliźniego.

Sprawy skomplikowały się wraz z rewolucją feministyczną. Na skutek rozwoju gospodarczego oraz pojawienia się nowoczesnej antykoncepcji kobiety uzyskały niemal pełną kontrolę nad macierzyństwem, co sprawiło, że tradycyjny podział ról legł w gruzach. Środowiska lewicowe i liberalne uważają, że to dobrze, bo doszło do wyzwolenia połowy ludzkości z opresyjnych struktur społecznych. Kobiety nie muszą być już podporządkowane mężczyznom, mogą działać na własną rękę i prowadzić niezależne życie. Zadowolonych z tego stanu rzeczy jest również wielu mężczyzn. Nie muszą troszczyć się o utrzymanie żon ani dużej liczby dzieci. Kobieta pracuje, a liczba dzieci jest sztucznie ograniczana. Część mężczyzn w ogóle nie chce się żenić, wolą zawierać krótkotrwałe związki z kobietami, którym, tak samo jak im, nie zależy na budowie rodziny. Nikt nie zaprzeczy: życie społeczne, które wyrosło na gruncie rewolucji feministycznej i ściśle powiązanej z nią rewolucji seksualnej, może być dość łatwe i satysfakcjonujące.

Nie jest to jednak życie właściwe dla człowieka. Dane demograficzne krajów, które przyjęły ten model funkcjonowania, nie pozostawiają złudzeń: dzieci rodzi się tak mało, że społeczeństwa szybko się kurczą. Jeżeli jakiś model życia prowadzi do zaniku społeczeństwa, to jest po prostu zły i należy go porzucić – chyba że celem wspólnoty byłaby samolikwidacja.

Samolikwidacja nie jest na pewno celem Kościoła katolickiego. Jednak na skutek rewolucji feministycznej i seksualnej wśród części katolików w krajach Zachodu pojawiła się idea mówiąca o konieczności dostosowania życia Kościoła do tej rewolucji. Już w latach 60. zaczęły



eprasa.pl a6f11ff05f

się odzywać pojedyncze głosy wzywające do dopuszczenia kapłaństwa kobiet. Zintensyfikowały się w latach 70., na tyle, że Kongregacja Nauki Wiary poczuła się zmuszona do wydania deklaracji, która wyjaśniała, dlaczego taki krok nie jest możliwy. Nie uciszyło to oczywiście środowisk reformistów – przeciwnie, wołanie o kapłaństwo kobiet stawało się coraz silniejsze, bo i feminizm stawał się coraz silniejszym elementem świata ludzi Zachodu. Dlatego w 1994 r. sam papież Jan Paweł II ogłosił list „Ordinatio sacerdotalis", gdzie bardzo dobitnie wyraził się na temat całkowitej niemożliwości udzielania kobietom święceń kapłańskich. Dyskusja nie tyle ucichła, ile raczej została przeniesiona na inne tory. Zaczęto się domagać dopuszczenia kobiet do pomniejszych posług liturgicznych, pozycji kierowniczych, stanowisk. Prawo w tym zakresie również się zmieniało; opisałem to szczegółowo w „Do Rzeczy" z kwietnia 2024 r. (nr 17–18).

Wielu biskupów postanowiło przyjąć nową optykę. Wyszli z założenia, że skoro podział na tradycyjne role męskie i żeńskie uległ zatarciu, to powinno się to w jakiejś mierze odzwierciedlić również w Kościele. W przeciwnym wypadku – sądzili – dochodziłoby do coraz poważniejszego rozdźwięku między sposobem funkcjonowania Kościoła a tym, jak wygląda społeczeństwo. To z kolei prowadziłoby, ich zdaniem, do utrudnienia wysiłków ewangelizacyjnych Kościoła. Kurs tego rodzaju znalazł formalną akceptację zwłaszcza po objęciu tronu św. Piotra przez papieża Franciszka. W ostatnich latach, odkąd z wielkim rozmachem ruszył proces synodalnej transformacji Kościoła, przybiera to coraz bardziej jaskrawe wyrazy. Najciekawsze jest to, że hierarchowie zaczynają z dużą swobodą lekceważyć prawo kanoniczne, byleby tylko pozostać w zgodzie z feministycznym duchem epoki. Podam kilka przykładów.

1 marca do znaczącej zmiany doszło w austriackiej diecezji Gurk-Klagenfurt. Jako że diecezja znajduje się na jednym z głównych wakacyjnych szlaków polskich turystów jadących do północnych Włoch albo Chorwacji, najpewniej wielu z nas uczestniczy okazjonalnie na jej terenie w niedzielnej Mszy św. Funkcję wikariusza biskupiego objęła tam dr Barbara Velik-Frank. Będzie kierować sprawami „synodalności i rozwoju Kościoła". Kodeks prawa kanonicznego mówi wyraźnie (kan. 478, § 1), że wikariuszem biskupim może zostać wyłącznie kapłan. Biskup diecezji, Josef Marketz, oczywiście o tym wie – i nie ukrywa wcale, że w pełni świadomie zlekceważył prawo kanoniczne. W oświadczeniu, które opublikował celem wyjaśnienia swojej decyzji, powołał się na proces synodalny. Według bp. Marketza synodalność musi wyprzedzać prawodawstwo i taka miałaby być również intencja papieża Franciszka. Znam niemałą liczbę tekstów synodalnych. Na ich podstawie mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że biskup ocenił rzecz prawidłowo: dokumenty synodalne rzeczywiście wspierają praktykę lekceważenia pewnych przepisów prawa, o ile miałoby to służyć większej inkluzji Kościoła, zwłaszcza inkluzji płciowej.

**Dokumenty Synodu o synodalności wskazują, że kobiety powinny być mocniej zaangażowane w liturgię**

## NIE TYLKO EUROPA

Biskup Marketz jest pierwszym znanym mi hierarchą, który tak manifestacyjnie odrzucił cytowany wymóg prawa kanonicznego. Tak naprawdę wykonał po prostu kolejny krok na drodze, którą wyznaczyli inni, np. Belgowie. W 2023 r. podobną decyzję podjął metropolita archidiecezji Mechelen-Bruksela, abp Luc Terlinden. Utworzył stanowisko „delegata biskupiego", które powierzył Rebece Charlier-Alsberge. Byłoby to do obrony na gruncie norm prawnych, gdyby nie pewna szczególna okoliczność. Otóż od jesieni ubiegłego roku imię pani Charlier-Alsberge jest wymieniane przez księży podczas modlitwy eucharystycznej – zaraz po papieżu i samym biskupie. Tworzy to oczywiste wrażenie, że „delegatka" pełni jakąś de facto sakramentalną posługę. Wcześniej analogiczne delegatki powołano już w kilku diecezjach Szwajcarii. W niemieckiej diecezji Rottenburg-Stuttgart biskup powierzył kobiecie urząd ceremoniarza biskupiego, czyli osoby odpowiedzialnej za przygotowanie liturgii. Teoretycznie można powierzyć to osobie świeckiej; problem w tym, że Margret Schäfer-Krebs, która otrzymała stanowisko, uważa, iż Kościół… powinien jak najszybciej dopuścić kobiety do kapłaństwa – w tym ją osobiście, bo, jak twierdzi, ma do tego powołanie i cierpi z powodu niemożności zostania księdzem. To nie tylko Europa. W październiku roku arcybiskup Manaus w Brazylii, kard. Ulrich Steiner, wyznał, że przeprowadza obrzęd nakładania rąk na kobiety, które później posługują jako quasi-diakonisy. To dość oczywiste symulowanie udzielania sakramentu.

Tego rodzaju przypadki wydają się ograniczone do krajów germańskich albo tych, w których działają hierarchowie mający germańskie pochodzenie. To jednak początek. W ostatnich dekadach w tej przestrzeni kulturowej rodziło się wiele zmian, które trafiały później do całego Kościoła. Dokumenty Synodu o synodalności wyraźnie wskazują na to, że kobiety powinny być zaangażowane w liturgię, duszpasterstwo oraz administrowanie w dalece szerszym wymiarze niż dotąd. Nie ma powodów, by sądzić, że nie dotrze to po pewnym czasie również do Polski. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie należy się tym zanadto przejmować, bo to jakoby sprawy drugorzędne względem wielu innych wyzwań stojących przed Kościołem katolickim. Uważam inaczej. Rewolucja feministyczna jest jednym z głównych elementów kryzysu, który dotyka współczesne społeczeństwo. Narody Zachodu szybko wymierają. Sądzę, że Kościół katolicki powinien pozostać w tym względzie znakiem sprzeciwu, wskazując na daną przez Boga odrębność płci mężczyzny i kobiety oraz związaną z tym odrębność ról społecznych. Niestety, od dłuższego czasu nie mówi się już w Kościele zbyt dużo na temat obowiązku moralnego, którym jest dla małżonków budowa zdrowej i otwartej na dzieci rodziny.

Szeroka promocja wciągania świeckich kobiet w przestrzeń, która nie ma nic wspólnego z macierzyństwem, jest bolesnym przejawem zaprzeczania prawdzie o tym, do czego Pan Bóg stworzył mężczyznę i kobietę w ich pięknej, komplementarnej odrębności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



eprasa.pl a6f11ff05f

Grzegorz Majchrzak

# Nie tylko świdnickie spacery

**Manifestacyjne spacery w porze „Dziennika Telewizyjnego" były fenomenem, który stał się inspiracją dla artystów. Jak Polacy sprzeciwiali się propagandzie?**

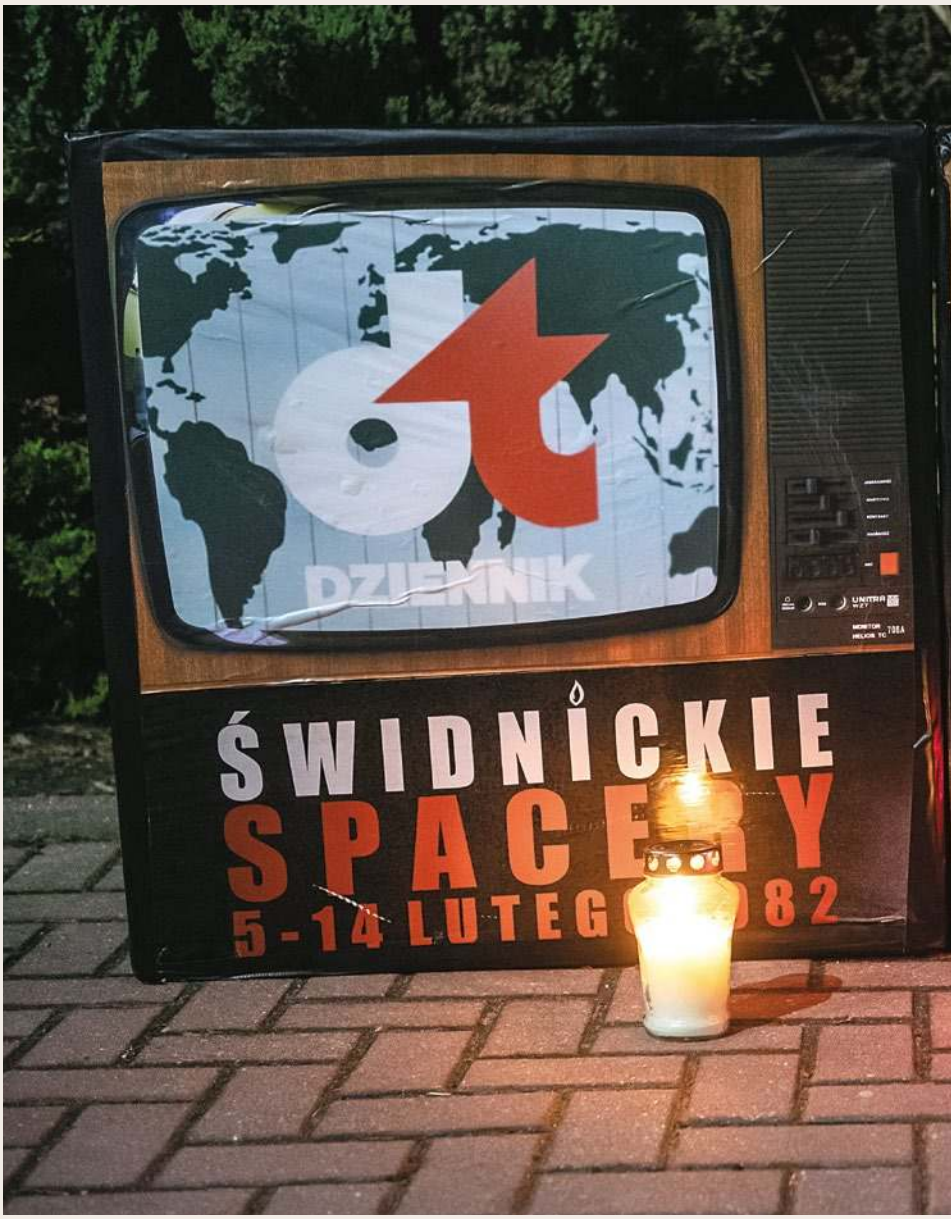


W lutym 1982 r. narodziła się nowa forma protestów. Od miejsca, gdzie po raz pierwszy po nią sięgnięto, została nazwana świdnickimi spacerami. Na czym polegała ich wyjątkowość? Na spokojnym spacerowaniu, tyle że demonstracyjnym, gdyż w porze „Dziennika Telewizyjnego", czyli sztandarowego programu propagandowego PRL-owskiej TVP. Ten program „informacyjny" zawsze miał taki charakter, ale nasilił się on po wprowadzeniu stanu wojennego. Nic zatem dziwnego, że jego odbiór społeczny po 13 grudnia 1981 r. stał się jeszcze bardziej negatywny. Jak informowało np. w połowie lutego 1982 r. MSW: „Nadsyłane wiadomości świadczą, że w szeregu województw (białostockie, kaliskie, kieleckie, lubelskie, łódzkie, poznańskie i toruńskie) z krytyką spotyka się propaganda krajowych środków masowego przekazu […]. Np. wśród pracowników toruńskich przedsiębiorstw ocenia się, że obecna propaganda ma charakter »jątrzący i obraźliwy dla narodu«". Dotyczyło to oczywiście całej propagandy, ale głównie właśnie „Dziennika Telewizyjnego". Tak na marginesie – jak wynika z badań Centrum Badania Opinii Społecznej z maja 1986 r. – był on dla Polaków nawet mniej wiarygodny niż „osławiony" rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban…

## REPRESJE

„Dziennik Telewizyjny" budził na tyle negatywne emocje, że stworzono nową, nieznaną dotychczas formę protestu, czyli demonstracyjne spacery. Początkowo w porze emisji głównego wydania „Dziennika Telewizyjnego", później również podczas wcześniejszych wydań. Pierwsza tego rodzaju milcząca manife-



eprasa.pl a6f11ff05f

FOT. WOJTEK JARCHO/PAP

stacja została zorganizowana przez działaczy podziemnej Solidarności 5 lutego 1982 r. w Świdniku. Za jej pomysłodawcę uważany jest Jan Kaźmierczak. Na ulicę Sławińskiego (obecnie Niepodległości) wyszła wówczas jeszcze niewielka grupa osób. Na łamach „Tygodnika Mazowsze" relacjonowano później: „Przechadzają się całe rodziny, z dziećmi i psami. Po ulicach jeżdżą radiowozy i suki, boczne uliczki są obstawione. Milicja wyławia pojedyncze osoby, które przetrzymuje w lubelskim areszcie do rana albo puszcza w środku nocy bez żadnego papierka [potrzebnego do poruszania się w czasie godziny milicyjnej – przyp. G.M.] – wracają kilkanaście kilometrów na piechotę".

Działania te nie przyniosły jednak oczekiwanego efektu – szybko, wręcz błyskawicznie ta nowa forma protestu się rozpowszechniała. 7 lutego – czyli dwa dni po zainaugurowaniu całej akcji – po głównej ulicy Świdnika spacerowało dużo więcej osób, również całe rodziny. Podobnie było w kolejnych dniach, kiedy to na ulice tego miasta wychodziło po kilka tysięcy osób. Nie pomogło nawet wyłączenie – 10 lutego – oświetlenia głównych ulic. Władze były zresztą długo praktycznie bezradne wobec tej nowej, nietypowej formy demonstracji, choć podejmowały kolejne kroki. I tak z dniem 11 lutego 1982 r. Wojewódzki Komitet Obrony w Lublinie wprowadził na terenie Świdnika godzinę milicyjną, która obowiązywała nie od godz. 22, jak w większości kraju, lecz od godz. 19. Miało to oczywiście uniemożliwić demonstracyjne spacery w porze głównego wydania „Dziennika Telewizyjnego". Towarzyszyły temu zakaz ruchu pojazdów osobowych i dostawczych na terenie całego miasta czy też wyłączenie telefonów i teleksów.

**„Dziennik Telewizyjny" budził na tyle negatywne emocje, że stworzono nową, nieznaną dotychczas formę protestu, czyli demonstracyjne spacery**

Ale i to nie przyniosło oczekiwanych efektów. Jeszcze tego samego dnia zwyczajowy już spacer odbył się po prostu w czasie popołudniowego wydania „Dziennika Telewizyjnego", czyli o godz. 17. Mało tego – 12 lutego zostały zorganizowane nawet dwa marsze: o 10 (w porze porannego wydania tego programu „informacyjnego") oraz o 17. W tym drugim przypadku w ocenie MSW demonstrować miały 3 tys. osób, dzień później 2 tys., 14 lutego od 700 do 1000, a 15 lutego ok. 500.

Zdecydowanie skuteczniejsze okazały się represje wymierzone w działaczy miejscowej Solidarności – masowe rewizje i zatrzymania (m.in. wszystkich członków Komisji Zakładowej przy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku, którzy należeli do inicjatorów tej formy protestu). Część z nich (Ryszard Krzyżanek, Bronisław Sołek, Leszek Świderski, Stanisław Wocior i Tadeusz Zima) została również internowana. W tej sytuacji władze podziemnej świdnickiej Solidarności zaapelowały 14 lutego o przerwanie tej udanej akcji. I to mimo że praktycznie do samego końca chętnych do demonstracyjnego spacerowania nie brakowało, choć ich liczba – o czym była mowa – systematycznie spadała. Przyczyniały się do tego represje, które stosowano, nie bacząc



eprasa.pl a6f11ff05f

na to, że – jak oceniali sami funkcjonariusze – „uczestnicy zachowywali się spokojnie. Nie zanotowano żadnych incydentów". To podsumowanie demonstracji z 13 lutego. Tyle że – jak informowano potem w „Tygodniku Mazowsze" – tego dnia zatrzymano (na 48 godzin) ok. 100 osób, a kilkaset funkcjonariusze SB wezwali na „rozmowy". Z czasem spacery w Świdniku wygasły, a ich miejsce zajęło masowe trzepanie dywanów o godz. 19.30.

## SPACERY W CAŁYM KRAJU

Nie oznacza to jednak wcale końca tego rodzaju demonstracji, ponieważ pomysł świdniczan szybko podchwycili mieszkańcy Lubelszczyzny. W efekcie do demonstracyjnych spacerów w porze „Dziennika Telewizyjnego" doszło w Lublinie (13–17 lutego) czy Puławach (21–26 lutego). W tym pierwszym mieście – według danych MSW – manifestować miało od 2,5 do 4 tys. osób, w drugim natomiast od 200 do 1000. To zapewne dane mocno zaniżone – dla porównania: prasa podziemna w przypadku Puław pisała o „wielu tysiącach mieszkańców miasta". Tak lubelskie protesty opisywano na łamach „Tygodnika Mazowsze": „Odbywają się one na Krakowskim Przedmieściu, reprezentacyjnej ulicy Lublina. Spacer tą ulicą w obie strony zajmuje mniej więcej 40 minut. Spaceruje przede wszystkim młodzież szkolna i studencka, ale widuje się też całe rodziny z małymi dziećmi na rękach lub w wózku, również grupy mężczyzn – kolegów z miejsca pracy, niektórzy rozpoznawalni z powodu noszenia mundurów służbowych (MPK, PKS, PKP). Nastrój przechadzających się jest piknikowy, znajomi pozdrawiają się radośnie. Nie ma żadnych okrzyków. Tłum jest tak liczny, że po obu stronach przechodnie muszą włączać się w strumień i podążać z nim w identycznym tempie".

Wszystko odbywało się pod czujnym okiem Milicji Obywatelskiej, jej funkcjonariusze wyłapywali część demonstrujących. „Zatrzymali mnie na wysokości dzisiejszej kawiarni Chmielewskiego. Poprowadzili do samochodu typu buda, w której już siedzieli jakiś ksiądz i młoda dziewczyna. Pojechaliśmy na Północną, tam musieliśmy przejść przez szpaler zomowców z pałkami. Mnie się udało przemknąć, bo szedłem za chłopakiem, którego milicjanci znali i zaczęli z nim rozmawiać" – relacjonował potem swoje zatrzymanie student Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej Jan Kondrak.

**Służba Bezpieczeństwa nie ograniczyła się do działań represyjnych, lecz także „zainspirowała" władze oświatowe oraz rektorów lubelskich uczelni do wydania „odpowiednich zarządzeń" w celu wyeliminowania udziału młodzieży w marszach**

Był on jedną z kilkuset osób zatrzymanych w Lublinie za udział w „nielegalnych" spacerach – tylko 14 lutego taki los spotkał 68 osób (w tym dziewięciu studentów), a 150 wylegitymowano, natomiast dzień później było to odpowiednio 100 i 400, 16 lutego 100 i 200, a 17 lutego 20 i 200 osób. Co ciekawe, jednego dnia byli to głównie studenci, innego zaś uczniowie. Działo się tak, mimo że – jak informowało MSW – „nie zanotowano incydentów i zakłóceń porządku publicznego". W przypadku zatrzymanych wystąpiono o ich ukaranie przez niezawodne – oczywiście z punktu widzenia władz PRL – kolegia do spraw wykroczeń.

Służba Bezpieczeństwa nie ograniczyła się do wspomnianych działań represyjnych, lecz także „zainspirowała" władze oświatowe oraz rektorów lubelskich uczelni do wydania „odpowiednich zarządzeń" w celu wyeliminowania udziału młodzieży w marszach. W efekcie z czasem również w Lublinie i Puławach z powodu represji zawieszono tę formę protestu. Trudno się temu zresztą dziwić, skoro ponad 100 studentów lubelskich uczelni za udział w spacerach zostało skreślonych z listy osób studiujących – najwięcej (81) z UMCS, zdecydowanie mniej z Akademii Rolniczej (14) i Politechniki Lubelskiej (10). Tak na marginesie był to m.in. efekt spotkania wojewody lubelskiego i przewodniczącego WKO w Lublinie Tadeusza Wilka z władzami uczelni (16 lutego), który przekazał im wykazy zatrzymanych studentów z – jak informowało potem MSW – „zaleceniem wyciągnięcia natychmiastowych konsekwencji".

Notabene w Puławach, gdzie również demonstrowała głównie młodzież, próbowano początkowo rozwiązać ten problem nieco inaczej. Po prostu wprowadzono dla niej wcześniejszą godzinę milicyjną – od godz. 18 dla uczniów szkół podstawowych, a od godz. 19 dla tych ze szkół średnich. Problem w tym, że 21 lutego przed tym posunięciem spacerowało – w ocenie MSW – ok. 1 tys. osób, a dzień później, czyli już po wydłużeniu godziny milicyjnej, 1,5–2 tys.

Z czasem jednak liczba spacerujących systematycznie malała – 23 lutego (400 osób), 24 lutego o godz. 17 (100) i 19.30 (1000), 25 lutego (300) oraz 26 lutego (200). Tam również – mimo spokojnego przebiegu manifestacji – interweniowali funkcjonariusze. 21 lutego zatrzymali 80 osób, a 170 wylegitymowali, 25 lutego wylegitymowali 200, czyli dwóch na trzech uczestników, a dzień później już „tylko" 100, czyli co drugą osobę, ponadto z 20 przeprowadzono „rozmowy profilaktyczne". Tak na marginesie według „Tygodnika Mazowsze" funkcjonariusze MO w Puławach byli brutalni, przynajmniej wobec młodzieży. Na jego łamach stwierdzano: „Mówi się, że w LO im. Czartoryskiego nie ma ucznia, który by nie dostał ani razu pałką"…

Represje te okazały się skuteczne, ale jedynie lokalnie. Owszem, położyły kres tej formie protestu na Lubelszczyźnie, jednak demonstracyjne spacery w porze „Dziennika Telewizyjnego" zaczęto organizować w wielu miastach na terenie całego kraju. Na największą chyba skalę i najczęściej w Białymstoku, na ulicy Lipowej. W tym przypadku pomysłodawcą spacerów była Tymczasowa Komisja Regionalna NSZZ „Solidarność". W pierwszym odnotowanym przez Służbę Bezpieczeństwa – 11 maja 1982 r. – miało wziąć udział ok. 2,5–3 tys. osób. Podobne akcje organizowano w tym miesiącu jeszcze kilkukrotnie, np. 15 maja w ocenie SB zgromadziło się ok.


eprasa.pl a6f11ff05f

2,5 tys., trzy dni później 1000, 22 maja 700, a 25 maja już tylko 500. Po 25 maja – z powodu represji w zakładach pracy, które spadały na osoby w nich uczestniczące – regularnych spacerów zaprzestano. W kolejnych miesiącach organizowano je z okazji kolejnych rocznic (np. 31 sierpnia z udziałem ok. 3 tys. osób, 13 września ok. 100 osób czy 10 listopada 1982 r., kiedy to manifestować miało ok. 200 mieszkańców Białegostoku). Z czasem dodatkowym elementem spacerów stało się składanie kwiatów pod siedzibą Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" lub w innych miejscach. Demonstracyjne spacery w Białymstoku odbywały się prawdopodobnie najdłużej w kraju, praktycznie do końca pierwszej połowy 1983 r., a ostatni z nich miał miejsce 13 czerwca 1983 r.

demonstracje – w ocenie MSW uczestniczyło w nich od 40 do 200 (głównie młodych) osób. Tak na marginesie – według funkcjonariuszy – w tym ostatnim dniu sygnałem do rozpoczęcia spaceru miały być kościelne dzwony. Trudno powiedzieć, czy tak było w rzeczywistości, tym bardziej że demonstracje były poprzedzone akcjami ulotkowymi, jednak udział w nich księży (14 czerwca dwóch, a trzy dni później już czterech) był faktem.

Do spacerów dochodziło również w innych miastach. I tak np. w ten sposób w Łomży 13 czerwca 1981 r. miało według danych MSW demonstrować 100 osób, z kolei miesiąc wcześniej w Olsztynie (w rejonie ratusza na Starym Mieście) od ok. 2 tys. (według danych SB) do nawet 7 tys. (szacunki opozycji) osób. Z kolei w Słupsku spacerowano 3 maja 1982 r. (ok. 150 osób, głównie studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej, nomen omen na ówczesnym placu Armii Czerwonej (obecnie Starym Rynku, przed kinem Milenium) oraz w dniach następnych. Tego rodzaju manifestacje udało się również zorganizować w Garwolinie (19, 20 i 22 sierpnia 1982 r., spacerowano ulicą Kościuszki), Wyszkowie (13 maja) czy Piszu (13 czerwca, po mszy w intencji zniesienia stanu wojennego na placu Dzierżyńskiego, obecnie Daszyńskiego).

**Mimo że na temat manifestacyjnych spacerów powstało kilka filmów dokumentalnych, nadal nie są one jednak – szczególnie w przypadku innych niż Świdnik miejscowości – zjawiskiem szerzej znanym**

Kilkukrotnie spacery w porze „Dziennika Telewizyjnego" organizowano również w Warszawie, głównie na terenie osiedla Niedźwiadek na Ursusie. Po raz pierwszy 18 kwietnia 1982 r., przy ulicach Keniga i Bohaterów Warszawy. W maju trasę ursuskich spacerów zresztą przedłużono do pomnika Robotników Czerwca 1976 r., gdzie zapalano znicze. 4 i 5 maja w demonstracjach miało – w ocenie Służby Bezpieczeństwa – wziąć udział ok. 2 tys. osób. Rzadziej spacerowano w innych dzielnicach stolicy, np. 13 maja na Starym Mieście czy 27 czerwca przy ulicy Grójeckiej na Ochocie, a w tym samym miesiącu również na Służewie, przy Wałbrzyskiej. 5 maja 1982 r. w podobny sposób zaprotestowali również mieszkańcy dwóch podwarszawskich miasteczek – Piastowa i Pruszkowa (w każdym z nich po ok. 1 tys. osób). Z kolei w Sochaczewie, gdzie demonstrowano w ten sposób m.in. 13–15 i 17 czerwca 1982 r. – jak informował „Tygodnik Mazowsze" – jeden ze spacerów mieli prowadzić czterej księża. Nie były to oczywiście liczne

Kilkukrotnie prawdopodobnie skończyło się jedynie na przygotowaniach do demonstracyjnych spacerów. I tak np. wzywał do nich na dzień 13 maja (w porze wieczornego wydania „Dziennika Telewizyjnego") Studencki Komitet Protestacyjny, którego ulotki rozkolportowano na terenie domów akademickich Politechniki Świętokrzyskiej oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach. Do protestu w postaci spacerów w tym samym dniu wzywano również w ulotkach kolportowanych w Tomaszowie Lubelskim.

O czym była mowa w przypadku Lubelszczyzny, ta niema forma protestu nie była bezpieczna dla jej uczestników. W Piszu, gdzie demonstrować miało 70 osób, zatrzymano 10, z których następnie cztery (uznane za inicjatorów spaceru: Franciszka i Henryka Kozikowskich, Kazimierza Grusznisa i Bronisława Raszczyk-Ławskiego, szefa Oddziału Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego w Piszu) internowano. Do zatrzymań doszło również m.in. w Garwolinie, gdzie w pierwszym dniu demonstracyjnych spacerów taki los spotkał dwie młode, 24-letnie osoby (Ewę Kampinos oraz Jerzego Karmaca), które kolportowały przy tej okazji ulotki wzywające do udziału w podobnych manifestacjach w kolejnych dniach (do 30 sierpnia). Z kolei w Słupsku studentów, którzy mieli uczestniczyć w tych „wrogich marszach", na rozmowy ostrzegawcze wzywali prorektorzy WSP w tym mieście (Bernard Czerwiński i Hieronim Rybicki).

## INSPIRACJA DLA ARTYSTÓW

Fenomen, którym były manifestacyjne spacery w porze „Dziennika Telewizyjnego", stał się inspiracją dla twórców – zarówno tych podziemnych, jak i tych tworzących pod swoim nazwiskiem po 1989 r. I tak np. jedną z anonimowych piosenek śpiewanych po 13 grudnia 1981 r. był utwór pt. „Spacer telewizyjny":

*Gdy idziemy na spacerek,*
*pojedynczo albo w grupie,*
*wie zomowców już szpalerek:*
*„Dziennik" TV mamy w dupie...*
*Niech tam Tumanowicz kłamie,*
*niech rży Falska (na Siwaku),*
*ty małżonkę bierz pod ramię*
*i na spacer wal rodaku.*
*Więc gdy „Dziennik" się zaczyna,*
*Stefanowicz brednie czyta,*
*weź pod ramię żonę, syna*
*i na spacer wal i kwita*
*Aby było im wiadomo,*
*że dość mamy kłamstw z ekranu,*
*dosyć pałek, krat i ZOMO,*
*dosyć wojennego stanu [...].*

Mimo że powstało na ich temat kilka filmów dokumentalnych, nadal nie są one – szczególnie w przypadku innych niż Świdnik miejscowości – zjawiskiem szerzej znanym…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



eprasa.pl a6f11ff05f

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

# Delegatura rządu

Mówiąc czy pisząc o Polskim Państwie Podziemnym (PPP) w latach 1939–1945, musimy pamiętać również o strukturach cywilnych. Były to organizacje i partie polityczne, działające w II RP, które po wybuchu wojny zeszły do konspiracji. Niektóre z nich tworzyły też własne, samodzielne piony wojskowe, dlatego w okresie późniejszym dochodziło do ich scalania w ramach Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej.

Konspiracyjne organizacje cywilne utworzyły Delegaturę Rządu na Kraj. Były to: Stronnictwo Narodowe (SN), Stronnictwo Ludowe (SL), Polska Partia Socjalistyczna (PPS) i Stronnictwo Pracy (SP). Były one wewnętrznie podzielone na frakcje, niekiedy nawet zwalczające się między sobą. Największe z nich było SN, przed wojną liczniejsze niż wszystkie inne partie działające w konspiracji. Najmniejsze było SP – rachityczne, posiadające struktury tylko na małej części okupowanej Polski. Na mocy zakulisowych układów okręgowe delegatury zostały podzielone między poszczególne partie, niekoniecznie odpowiednio do ich siły. To one tworzyły zawiązki struktur cywilnych, które miały rozwinąć działalność po zakończeniu wojny. Wbrew pozorom DR była realną siłą, dysponującą pokaźnymi funduszami na propagandę, wydawnictwa, prace koncepcyjne itd.

Była jeszcze jedna partia konspiracyjna, mająca pokaźny udział w pracach DR i w dostępie do funduszy. Ta jest najmniej znana, a szkoda, bo opanowała część komórek politycznych i ideologicznych PPP, znacznie wypaczając obraz ich działalności. Chodzi o Stronnictwo Demokratyczne (SD), które istniało początkowo (od 1937 r.) jako Kluby, od roku następnego już jako partia o tej nazwie. Bardzo ciekawa jest jej geneza. Doszło bowiem przy jej tworzeniu do współpracy dwóch – wydawałoby się sprzecznych – sił: pozostałości po rozwiązanej przez Stalina nielegalnej Komunistycznej Partii Polski oraz również nielegalnych lóż masońskich. Bardzo ważną rolę (częściowo zakulisową) przy tworzeniu Klubów, następnie Stronnictwa Demokratycznego odegrali niepośledni działacze KPP: rodzeni bracia Goldbergowie: Nioma (Beniamin), bardziej znany jako Jerzy Borejsza, oraz Josek, bardziej znany jako Józef Różański. Skład personalny był bardzo ciekawy. Obok twardogłowych komunistów pojawili się tam ich nominalni przeciwnicy.

SD, mikroskopijne kadrowo i o zasięgu terytorialnym ograniczonym do kilku dużych miast, uzyskało wielki, zakulisowy wpływ na kształt ideowo-polityczny AK (obsada Biura Informacji i Propagandy!). Po wojnie SD było całkowicie podporządkowane komunistom. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Z brzytwą na poziomki

Czy można połączyć muzykę z malarstwem? A rock z baletem? Jak najbardziej i udowodnił to zespół Klan, którego lider, Marek Ałaszewski, student warszawskiej ASP, miał dwie pasje: muzykę rockową i malarstwo.

Zespół powstał 1 kwietnia 1969 r., ale muzycy nie uważali jego założenia za primaaprilisowy żart. Chcieli stworzyć coś odmiennego od „codziennej estradowej rąbanki", pragnąc „przełamać wszelkie schematy stosowane dotychczas w muzyce". Wypracowali własny styl, „piosenki o hipnotycznym nastroju zabarwione instrumentalnymi improwizacjami i opatrzone słowami o pewnych ambicjach intelektualnych". Duży udział w tym miał autor tekstów grupy i jej kierownik artystyczny, Marian Skolarski.

Wprawdzie wielu krytyków uznawało pierwszy hit zespołu za niepoważny, ale piosenka „Z brzytwą na poziomki" dobrze wpisywała się w ówczesny styl formacji. Absurdalny tekst dodawał muzyce specyficznego uroku i był czymś zupełnie nowym na polskiej scenie rockowej.

Decydująca dla losów grupy okazała się znajomość ze scenografem i plastykiem, Markiem Lewandowskim. Przez kilka miesięcy przebywał on w USA, gdzie miał okazję zapoznać się z tamtejszą muzyką rockową, a na Broadwayu obejrzeć musical „Hair". Po powrocie do kraju wspólnie z Ałaszewskim i Skolarskim opracowali projekt, jakiego jeszcze nie widziano nad Wisłą. Było to widowisko baletowe „Mrowisko", w którym połączono muzykę rockową z tańcem i niezwykle plastyczną scenografią. Mocną stroną była choreografia, a wśród tancerzy nie zabrakło samego Gerarda Wilka.

W czerwcu 1970 r. „Mrowisko" zostało wystawione w Opolu w ramach imprez towarzyszących festiwalowi. Podobno spektakl tak wstrząsnął środowiskiem muzycznym, że.... praktycznie pominięto go milczeniem. Najwyraźniej nowatorstwo projektu spowodowało, że krytycy nie potrafili się do niego odnieść.

„Mrowisko" trwało ok. 80 minut. Niestety, spektakl nigdy nie został sfilmowany, gdyż cenzura uznała go za aluzję do kastowych stosunków panujących w PRL. Mrowisko miało być państwem, gdzie w pocie czoła pracowały mrówki – robotnice, a kto miał być królową matką można było się tylko domyślać.

W efekcie inscenizacje widowiska były rzadkie. Grupie odmówiono też wydania paszportów na festiwal w Edynburgu. Zarejestrowano jeszcze kilkanaście instrumentalnych utworów na potrzeby Polskiej Kroniki Filmowej, które po latach ukazały się na oddzielnej płycie, ale był to już łabędzi śpiew zespołu. Chociaż Ałaszewski chciał grać dalej pod szyldem Klanu, to jednak drogi jego członków zaczęły się rozchodzić. I to zadecydowało o rozwiązaniu grupy. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

# Bratobójcza bitwa

Polski Kryżbork, a łotewski Krustpils nad Dźwiną w dawnych Inflantach to miejsce bratobójczej bitwy pomiędzy Szwecją a Rzecząpospolitą; tyle że przeciwników wspierali Litwini i Polacy należący do dwóch różnych obozów politycznych. Po stronie Rzeczypospolitej wzięły też udział wojska moskiewskie. 5 sierpnia 1704 r. starły się tutaj oddziały szwedzkiego generała Adama Ludwiga grafa Lewenhaupta, wspieranego przez jazdę Kazimierza Jana Sapiehy, dawnego hetmana litewskiego, którego władza i wpływy zostały obalone w wyniku zwycięstwa konfederacji szlachty Wielkiego Księstwa. Walczyły z armią litewską dowodzoną przez hetmanów Michała Serwacego Wiśniowieckiego i Grzegorza Antoniego Ogińskiego, których wspomagał z kolei rosyjski generał Bohdan Siemionowicz Korsak. Bitwa była ciekawa o tyle, że pomimo klęski hetmanów jej przebieg pozwala obalić pewne mity dotyczące wojsk I Rzeczypospolitej na początku XVIII w.

RYS. QBA

Do starcia doszło na skutek oblężenia przez Wiśniowieckiego Zelburga, co zmusiło Lewenhaupta do wyruszenia mu z odsieczą. Szwedzi dysponowali ok. 3 tys. jazdy i piechoty, wspartych 2 tys. jazdy Kazimierza Jana Sapiehy i 18 działami. Hetmani litewscy prowadzili 12,5 tys. wojsk, z czego 4,5 tys. moskiewskich strzelców, dragonów i innych formacji. Mieli też 21 dział. Obie armie spotkały się pod Kryżborkiem, gdzie ok. godz. 18 doszło do zaciętej bitwy. Siły uszykowane były podobnie – z piechotą i artylerią w centrum, a jazdą na skrzydłach. Bitwę rozpoczął atak szwedzkiej konnicy na lewe skrzydło szyku litewsko-moskiewskiego. Wiśniowiecki wsparł wówczas dowodzącego tam Ogińskiego, stając na czele jazdy, m.in. własnej chorągwi husarii i chorągwi kanclerza litewskiego Karola Stanisława Radziwiłła. Doszło do walki, w czasie której własna chorągiew hetmana uciekła ostrzelana przez Szwedów, a Radziwiłła… wytrzymała trzy salwy przeciwnika, uderzyła z furią na Szwedów i – wsparta przez pozostałe oddziały – złamała opór przeciwnika. Odrzuciła go tak mocno, że wrogowie wpadli na swoje własne oddziały pozostawione w odwodzie.

W tym samym czasie Krzysztof Zawisza z chorągwiami Sapiehy zaatakował w bratobójczej walce prawe skrzydło hetmanów. Został jednak odparty ogniem artylerii, a jego oddziały odrzucone. Jeden z nich – zapewne chorągiew jazdy pod Jerzym Sapiehą, stolnikiem litewskim – wpadł w taki popłoch, że uciekał aż do Rygi.

Dopiero teraz na całym froncie zaatakowały oddziały szwedzkie, od razu biorąc górę nad przeciwnikiem. Na prawym skrzydle hetmanów rajtaria i dragoni litewscy nie wytrzymali uderzenia i uciekli, pociągając za sobą jazdę. Tak samo triumfująca jeszcze przed chwilą kawaleria lewego skrzydła nie wytrzymała ataku Szwedów i się wycofała. Wrogowie skoncentrowali się teraz na zaatakowaniu litewsko-rosyjskiego centrum, które szybko załamało się pod wpływem prowadzonego biegiem uderzenia szwedzkiej piechoty. Żołnierze wycofali się, część rosyjskich żołnierzy szukała schronienia w taborze – jak podaje Karol Kościelniak. Reszta uciekła. O godz. 20.30, kiedy nastąpił zachód słońca, bitwa skończyła się klęską obu hetmanów. Pobici wycofali się do Dyneburga, a Szwedzi pomaszerowali pod Zelburg, gdzie wysadzili zamek, aby już nigdy nie posłużył przeciwnikom. Następnie Lewenhaupt zdobył Birże.

Bitwa przynosi wiele ciekawych spostrzeżeń. Po pierwsze, widać, że jazda – zarówno husaria, jak i chorągwie pancerne – mogła ciągle toczyć boje z konnicą szwedzką jak równy z równym i zwyciężać, a husaria była w stanie przełamać szyki wrogów. Jednocześnie niektóre jej jednostki – w tym przypadku chorągiew hetmana Wiśniowieckiego – doświadczały haniebnego upadku morale. Niektórzy historycy tłumaczą to w ciekawy sposób – otóż w oddziale tym w pierwszych szeregach mieli znaleźć się pocztowi, a nie towarzysze husarscy stanowiący najwartościowszy element żołnierski. Mogło się tak stać dlatego, że po prostu wspomnianych towarzyszy było zbyt mało i porucznik musiał ustawić w pierwszej linii zamiast nich pachołków. Świadczyłoby to o tym, że wielu z husarzy służyło tylko formalnie, zapisując się oficjalnie w rejestr chorągwi, ale zamiast siebie wysyłając do służby pocztowych – czeladników, co powodowało katastrofalny spadek morale oddziałów.

Bitwa pokazuje również, że dragonia i wojska moskiewskie, choć sformowane w ramach reform wojskowych Piotra I, prezentowały wcale nie lepszy materiał żołnierski niż armia polsko-litewska i łatwo ulegały Szwedom. Generalnie widać, że pod dobrym dowództwem i ze wsparciem własnej piechoty oraz artylerii armia I Rzeczypospolitej mogła stawiać mocny opór wrogowi. Niestety, piechoty nie było, a na reformy było już za późno. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

Ekrem Imamoğlu został aresztowany tuż przed prawyborami, które miały zatwierdzić jego kandydaturę. Jego zwolennicy wyszli więc na ulice FOT. UMIT BEKTAS/REUTERS/FORUM

# Przez więzienie do prezydentury?

*Teresa Stylińska*

**Ostatnie wydarzenia w Turcji są powszechnie odbierane jako kolejny przejaw dyktatorskich zapędów prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana. Jak inaczej traktować aresztowanie politycznego rywala i tłumienie manifestacji? Przyjrzyjmy się temu jednak z innej, nieco przewrotnej perspektywy**

Aresztowanie Ekrema Imamoğlu, burmistrza Stambułu i kandydata do prezydentury w następnych wyborach, stawia opozycję, zwłaszcza jej największe ugrupowanie, Republikańską Partię Ludową (CHP), do której należy Imamoğlu, w niełatwej sytuacji. Jednakże stanowi powód do zadowolenia. To przecież jasny sygnał, że rośnie w siłę i ma szanse na wyborcze zwycięstwo. Gdyby było inaczej, prezydent Erdoğan nie posunąłby się do stosowania tak drastycznych środków przeciwko potencjalnemu konkurentowi.

Burmistrza Stambułu zatrzymano rankiem w środę 19 marca. Cztery dni później sąd – według władz niezależny, zdaniem opozycji wprost przeciwnie – postawił mu zarzuty i wydał decyzję o formalnym jego aresztowaniu. – Ekrem Imamoğlu jest w drodze do więzienia, ale jest zarazem na drodze do prezydentury – tak w rozmowie z dziennikarzami skomentował ją Özgür Özel, przewodniczący CHP.

Czy mogą to być słowa prorocze? Wykluczać tego nie można, choć – jak wskazują tureckie doświadczenia wyborcze z ostatnich lat – nie jest to też wcale pewne. Zważywszy jednak na skalę protestów, największych od 2013 r., można sądzić, że przekroczony został próg, poza którym przychodzi czas na zmiany. Ludzi nie odstraszyły ani wprowadzony na cztery dni zakaz manifestowania, ani brutalność sił policyjnych, które do rozpędzenia demonstrantów użyły armatek wodnych i gazu łzawiącego (w okolicach stambulskiego ratusza nie dało się podobno oddychać), ani aresztowania (ponad 1,4 tys. osób przez sześć pierwszych dni). Protestujący mówili, że wyszli na ulice w obronie demokracji i swobody głosowania przeciwko tym, którzy ograniczają obywatelom swobodę wyboru.

## TĄ SAMĄ DROGĄ

Ekrem Imamoğlu został zatrzymany pod zarzutem przede wszystkim korupcji, na który mają się składać m.in. ustawianie przetargów, fałszowanie danych i wykorzystywanie wpływów. Nie działał sam, lecz jako szef zorganizowanej grupy przestępczej, którą tworzyli miejscy urzędnicy i stambulscy politycy CHP. W decyzji o aresztowaniu sąd nie podtrzymał jedynie zarzutu współpracy z organizacją terrorystyczną. Tak, zdaniem władz, należy interpretować współpracę władz miejskich z radnymi wybranymi z listy kurdyjskiej partii Wolność i Demokracja (DEM).

Imamoğlu nie jest jedyny. Zatrzymani zostali również jego najbliżsi współpracownicy w ratuszu i przedstawiciele władz dzielnicowych, a także politycy, zwłaszcza z CHP, ludzie nauki, kultury i biznesu – w sumie ponad 100 osób. Dzień wcześniej zaś uniwersytet w Stambule odebrał mu dyplom ukończenia studiów, uzasadniając to wątpliwościami co do spełnienia wymogów. Imamoğlu, który kontynuował w Stambule studia rozpoczęte wcześniej na uczelni w Kyrenii (po turecku Girne) w północnej części Cypru, twierdzi, że wszystkie papiery ma w porządku. Do tej pory jakoś nikt ich nie kwestionował.

Sprawa ta, wbrew pozorom, ma fundamentalne znaczenie z uwagi na konstytucyjny wymóg: prezydent musi mieć ukończone studia wyższe. Decyzja o zakwestionowaniu dyplomu stanowiła zatem czytelny sygnał, że coś się szykuje.



eprasa.pl a6f11ff05f

Imamoğlu został zawieszony w funkcji burmistrza, dopóki jednak nie zostanie skazany, dopóty nie można pozbawić go prawa kandydowania. Ani polityczni przeciwnicy Recepa Erdoğana, ani zwykli ludzie protestujący na ulicach nie mają wątpliwości, że chodzi wyłącznie o to, by bardzo popularnemu politykowi to uniemożliwić. Fakt, że akcja miała miejsce tuż przed prawyborami w CHP, które miały zatwierdzić kandydaturę Imamoğlu, utwierdziły ludzi w przekonaniu, że kryły się za nią kalkulacje polityczne.

Nie przypadkiem zatem opozycja domaga się, by przyszły proces Imamoğlu był, gwoli przejrzystości, transmitowany. Recep Erdoğan nieraz już bowiem wykorzystywał sądy w charakterze narzędzia, które miało zniszczyć jego przeciwników. Dość przypomnieć aferę Ergenekon z wczesnego okresu jego rządów, gdy przed sądem, pod zarzutem spiskowania przeciwko władzom, postawiono przedstawicieli tureckiej elity: profesorów wyższych uczelni, prawników, dziennikarzy i najwyższej rangi dowódców wojskowych. Masowe procesy, w których na ławie oskarżonych zasiadało po kilkaset osób jednocześnie, miały też miejsce po nieudanym zamachu stanu z 2016 r.

## KTO ZDOBYWA STAMBUŁ...

Czy Recep Erdoğan rzeczywiście ma powody, by obawiać się Ekrema Imamoğlu? Do tej pory nie mieli oni okazji zmierzyć się ani w wyborach parlamentarnych – bo Imamoglu, choć jest najbardziej popularnym politykiem CHP, nie był szefem partii – ani w wyborach prezydenckich – bo antyerdoganowski sojusz wyborczy, którego trzonem zawsze była CHP, wystawiał wówczas wspólnego kandydata. A jednak to w nim właśnie prezydent dostrzega zagrożenie. Czy dlatego, że – toutes proportions gardées – widzi w nim kogoś, kto przeszedł podobną drogę jak on sam?

W życiu obu polityków nietrudno dostrzec podobne elementy. Obaj urodzili się na północy Turcji, nad Morzem Czarnym – Erdoğan w Rize, Imamoğlu w Akcaabat koło Trabzonu, starożytnego Trapezuntu. Obaj przenieśli się z rodzicami do Stambułu. Obaj są entuzjastami futbolu, obaj myśleli o karierze piłkarskiej, a Imamoğlu jest nawet członkiem zarządu klubu piłkarskiego Trabzonspor. I najważniejsze: obaj zostali burmistrzami Stambułu. A jeśli, jak zauważył niegdyś Erdoğan, „kto zdobywa Stambuł, ten zdobywa Turcję", to staje się oczywiste, że sam wywróżył sobie powód do niepokoju.

Prezydent nie pozostawia spraw przypadkowi. Gdy w 2019 r. CHP wygrała wybory lokalne, a Ekrem Imamoğlu został burmistrzem, wyniki anulowano i głosowanie powtórzono. Ze skutkiem fatalnym dla partii Erdoğana, bo skromna przewaga 25 tys. głosów, z którą Imamoğlu zwyciężył, w drugim głosowaniu wzrosła do 800 tys.! Rok temu wygrał po raz trzeci, z przewagą ponad miliona głosów, umacniając swą pozycję nawet w dzielnicach, które zawsze stanowiły ostoję AKP.

Aresztowanie Imamoğlu dało asumpt do jeszcze jednej, równie wymownej analogii, o której mimochodem przypomniał eksprezydent Abdullah Gül: obaj trafili do więzienia. Erdoğan w 1998 r. został skazany za naruszenie zasady świeckości państwa. Gül, niegdyś Erdoğanowi bardzo bliski – to on w 2003 r. oddał mu stanowisko premiera – dziś jest w obozie zdeklarowanych przeciwników prezydenta.

## KOBIETA W CZARNEJ SUKNI

Wielkie protesty rodzą symbole. W mediach na całym świecie doniesienia ze Stambułu ilustrowano sugestywnym zdjęciem wysokiej postaci w długiej, szerokiej czarnej sukni, przypominającej strój wirujących derwiszów, z twarzą zasłoniętą czarną maską. W 2013 r., gdy mieszkańcy Stambułu masowo protestowali przeciwko planom zlikwidowania popularnego parku Gezi, oazy zieleni w samym centrum miasta, takim symbolem stał się obraz kobiety w czerwonej sukni. Sfotografowano ją, gdy stała przed szeregiem policjantów, którzy prysnęli jej gazem prosto w twarz.

Postać w czarnej sukni to – jak ustaliła BBC – młoda kobieta. Nie uchyliła się ona jednak od krótkiego wyjaśnienia, dlaczego uczestniczy w manifestacjach: nie dlatego, że popiera opozycję, lecz dlatego, że broni demokracji. „Chodzi mi – powiedziała – o wolność i o sprawiedliwość. My, Turcy, jesteśmy wolnymi ludźmi i nie możemy zaakceptować tego, co się teraz dzieje. Bo jest to wbrew naszej kulturze i naszym zasadom".

Czy odwaga i determinacja, z którymi Turcy, zwłaszcza w trzech wielkich miastach – Stambule, Ankarze i Izmirze – dali wyraz niezadowoleniu z poczynań władz, oznacza, że długie rządy Recepa Erdoğana i jego islamskiej partii mogą dobiegać końca? Nie jest to takie proste.

Recep Erdoğan jest u władzy od 22 lat – 11 lat na stanowisku premiera i tyle samo w charakterze prezydenta. To jego de facto trzecia kadencja, ale druga pod rządami obecnej konstytucji, przyjętej w 2017 r. i dającej mu przeogromne uprawnienia. Wybory prezydenckie odbędą się dopiero w 2028 r., jest zatem sporo czasu na szukanie rozwiązania, które umożliwiłoby Erdoğanowi pozostanie u władzy. Jedną z możliwych politycznych sztuczek jest przyspieszenie wyborów. Kadencję niedokończoną można przecież uznać za niebyłą, czyż nie? A skoro tak, to prezydent może raz jeszcze starać się o wybór.

## ARCYMISTRZ ROZGRYWEK

W takich manewrach Recep Erdoğan jest arcymistrzem. W grę może wchodzić np. zmiana konstytucji – zabieg już raz z powodzeniem przećwiczony. Rządzącej koalicji – AKP i Partii Ruchu Narodowego (MHP) – brakuje jednak mandatów do wymaganej większości dwóch trzecich głosów. Pomocą mogłoby być uzyskanie głosów deputowanych kurdyjskich. Być może w tym kontekście należy widzieć zakulisowe zabiegi o porozumienie z Kurdami, włącznie ze znienawidzonymi separatystami z PKK. Kilka tygodni temu jej lider, Abdullah Ocalan, w więzieniu od ponad 25 lat, oświadczył, że PKK jest gotowa złożyć broń i zaprzestać antytureckich działań. Fakt, że ta deklaracja jak dotąd pozostała bez widomych następstw, może sugerować, iż sprawy nie posuwają się naprzód.

W równie wysokim stopniu posiadł Recep Erdoğan umiejętność pacyfikowania nastrojów. Cóż z tego, że Turcy w miarę regularnie buntują się przeciwko rządom AKP? Poza wspomnianą sprawą parku Gezi powszechne oburzenie wywołała np. bezczynność władz po wielkim trzęsieniu ziemi na wschodzie przed dwoma laty czy dopuszczenie do kryzysu gospodarczego, zwłaszcza hiperinflacji, która zresztą już bardzo się zmniejszyła, bo w lutym wyniosła „tylko" 47 proc. Za każdym razem przepowiadano możliwy koniec rządów Recepa Erdoğana – i za każdym razem w wyborach odnosił on zwycięstwo. I to się może powtórzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

# Panika nad Dnieprem

FOT. NINA LIASHONOK/UKRINFORM/EAST NEWS

*Maciej Pieczyński*

**Ukraińcy nie chcą walczyć – marzą o pokoju i boją się wojny. Taki obraz sytuacji wyłania się z głośnych reportaży Szury Burtina – niezależnego dziennikarza rosyjskiego. Dla jednych to kremlowska propaganda. Dla innych – najważniejsze i najprawdziwsze teksty napisane dotychczas na temat obecnej wojny**

Szura Burtin ukończył Moskiewski Uniwersytet Państwowy (MGU). Pracował w rosyjskich mediach, takich jak „Moskowskije nowosti", „Russkij reporter" czy Colta.ru. Jest laureatem kilku prestiżowych nagród dziennikarskich. W 2018 r. przyłączył się do głodówki, którą ogłosił przebywający w rosyjskim więzieniu Ołeh Sencow – ukraiński reżyser zatrzymany na okupowanym Krymie pod zarzutem przygotowywania zamachów terrorystycznych na półwyspie. Po wybuchu pełnoskalowej wojny Burtin otrzymał akredytację od Sił Zbrojnych Ukrainy i pracował jako korespondent wojenny, pisząc dla różnych mediów, w tym dla szwajcarskiej gazety „Reportagen". Niedawno szeroki rozgłos zyskały dwa jego teksty po rosyjsku. Oba opublikowane w niezależnych, opozycyjnych wobec Kremla portalach. Oba przedstawiają pesymistyczny z punktu widzenia Kijowa obraz sytuacji i nastrojów społecznych nad Dnieprem.

## EGOIZM SILNIEJSZY OD PATRIOTYZMU

W reportażu dla Cherta.media Burtin opisuje życie codzienne przyfrontowej wsi Prorieczje na wschodniej Ukrainie. Nazwa miejscowości (podobnie jak imiona i nazwiska bohaterów tekstu) została zmieniona ze względów bezpieczeństwa. Mieszkańcy opowiadają dziennikarzowi o doświadczeniach z rosyjskiej okupacji (spod której zostali wyzwoleni) i o marnych perspektywach na przyszłość. U jednego z nich cały czas gra telewizor, a w nim „Telemaraton", czyli wiadomości, wspólnie podawane przez kilka najważniejszych kanałów. Burtin komentuje: „Jeśli chodzi o styl, to jest to absolutnie putinowska propaganda". Dziennikarz wskazuje na paradoksalny charakter nastrojów na Ukrainie: wszyscy chcą pokoju, ale nikt nie chce się zgodzić na warunki Moskwy. Rozmówcy Burtina narzekają zarówno na rosyjskich okupantów, jak i (choć w o wiele mniejszym stopniu) na ukraińskich wyzwolicieli. Pierwsi kradli samochody, bili ludzi (choć nie za patriotyzm, na który mało kogo z mieszkańców było stać), szabrowali dobytek, czasem strzelali do uciekających na drugą stronę frontu uchodźców. Drudzy są skorumpowani do szpiku kości, a zamiast śledzić prawdziwych zdrajców i kolaborantów, prześladują Ukraińską Cerkiew Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego (UCP MP). Zmuszają wiernych, aby przepisywali się do stworzonej przez władze w Kijowie Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (PCU). Tymczasem bodaj najbardziej pozytywny bohater reportażu jest duchownym UCP PM właśnie. Co prawda, o. Anatolij współpracował z Rosjanami, ale tylko po to, by pomóc lokalnej społeczności. Dzięki jego staraniom okupanci się zgodzili, aby przez



eprasa.pl a6f11ff05f

rzekę stanowiącą linię frontu przeprawiać na drugi brzeg uchodźców, a stamtąd (ze wsi położonej w strefie niczyjej) przywozić żywność. Ojciec Anatolij odgrywał rolę rzecznika mieszkańców, wykłócał się też o różne rzeczy z Rosjanami, którzy nieraz grozili mu śmiercią. Gdy Ukraińcy wyzwolili wieś, był zmuszany do przejścia z UCP PM do PCU, ale się nie zgodził. Pomimo nieprostych relacji z władzami duchowny zajął się zbiórką pieniędzy dla walczącej z agresorem armii. Tu jednak, w ślad za rozczarowaniem rządzącymi, przyszło rozczarowanie sąsiadami. Okazało się, że mieszkańcy Prorieczja chętnie przyjmują pomoc humanitarną od państwa, natomiast kompletnie nie mają ochoty temu samemu państwu pomagać w walce z wrogiem. Od patriotyzmu silniejszy jest egoizm. Sam Burtin przyznaje, że na Ukrainie wyraźnie widoczna jest atomizacja społeczeństwa. Jego zdaniem wynika to z poczucia znalezienia się w ślepym zaułku. Ukraińcy nie mają już sił, żeby wyzwalać kolejne terytoria, ale też bardzo trudno jest im się zatrzymać, ponieważ cena, którą dotychczas zapłacili, jest zbyt wysoka. Im ktoś więcej stracił na wojnie, tym, z jednej strony, bardziej jest wojną zmęczony, a z drugiej strony tym mniej wyobraża sobie rezygnację z kontynuacji walki. Bo przecież przelana krew nie może pójść na marne. Stąd rodzi się frustracja. A gdy władze w Kijowie zaczynają przyznawać, że potrzebny jest pokój, zwykli Ukraińcy mają pretensje, które – na podstawie refleksji Burtina – można streścić następująco: „To po to nasi ludzie ginęli, żebyście teraz nagle się poddali?! To już trzeba było iść na kompromis wcześniej, nie byłoby tylu ofiar!".

Jeszcze bardziej pesymistyczny obraz sytuacji dziennikarz przedstawia w drugim głośnym reportażu, tym razem na łamach portalu Meduza. Burtin odpowiada na pytanie: „Dlaczego Ukraińcy nie chcą walczyć?". Według jego obserwacji w ciągu ostatniego półtora roku nastroje nad Dnieprem radykalnie się zmieniły. Na początku wojny Ukraińcy masowo szli na ochotnika do armii. Jednak niepowodzenia na froncie i duże straty w ludziach sprawiły, że chętnych do obrony ojczyzny zaczęło brakować. Dlatego dziś – jak gorzko zauważa Burtin – w Kijowie o wojnie bardziej przypominają łapanki TCK (funkcjonariuszy WKU) i tzw. busyfikacja (przymusowe ładowanie poborowych do busów) niż rosyjskie ostrzały. I to przypominają w sposób, który raczej nie buduje nastrojów patriotycznych. Tradycyjne media ukraińskie przez długi czas niechętnie wspominały o przymusowej mobilizacji, sprawach sądowych przeciwko coraz liczniejszym dezerterom i uchylantom. Temat żył głównie w mediach społecznościowych, gdzie zwykli Ukraińcy żalili się bardziej na własne państwo niż na agresora z zewnątrz. TCK urosła do rangi wroga, niemal detronizując Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej. Burtin opisuje tragiczne przypadki, do których dochodziło w ostatnim czasie na Ukrainie w związku z mobilizacją. Zdesperowani poborowi wolą czasem popełnić samobójstwo – lub zabić funkcjonariusza państwowego – niż trafić na front. Uchylanci przed służbą w armii uciekają nie tylko do krajów Unii Europejskiej, lecz także nawet do Mołdawii – przez Naddniestrze. Często z tragicznym skutkiem – naddniestrzańskie służby nie witają uciekinierów z wrażej Ukrainy chlebem i solą.

Po patriotycznym uniesieniu z pierwszego etapu wojny nie zostało zbyt wiele. Społeczeństwo, wcześniej zjednoczone w walce z Rosją, dziś kłóci się o to, czy uchylanci i dezerterzy to godni pogardy tchórze czy ludzie, którym trzeba współczuć. Jeden z rozmówców Burtina, designer Boria, wybiera współczucie. Rozumie, że wojna to cierpienie, a unikanie cierpienia jest rzeczą ludzką. Sam też nie zamierza walczyć. „Jeśli nie jesteś na froncie, to z telewizora ciągle ci trują dupę, nazywają gównem, wymuszają na tobie poczucie winy, wciskają tobie, że to wszystko jest przez ciebie" – mówi Boria. Wspomina, jak Załużny został zwolniony za to, że publicznie przyznał, iż wojna zabrnęła w ślepy zaułek. Wtedy mówiono, że trzeba walczyć do końca, a z Putinem nie można rozmawiać. Dziś okazuje się, że to Załużny miał rację. „Wychodzi na to, że nas okłamali. Ilu przez to ludzi zginęło?!" – pyta retorycznie rozmówca Burtina. Przy czym, co znamienne, wśród dezerterów jest mnóstwo również tych, którzy na początku wojny do wojska poszli na ochotnika – nie pod przymusem, a powodowani uczuciami patriotycznymi. Z czasem, sfrustrowani brakiem postępów, przerażeni koszmarem wojny i zniechęceni nieudolnym dowodzeniem oficerów, często szafujących życiem podkomendnych, swoje nastawienie zmieniali.

## NADZIEJE NA KONIEC WOJNY

Równie nieciekawie wygląda sytuacja na froncie. „Większość dowódców po prostu zarabia pieniądze, oni mają gdzieś życie zwykłych żołnierzy" – żali się 23-letni szeregowy Witalik. A jego towarzysz broni Kostia opowiada o swoim oddziale jak o bandzie nieudaczników i darmozjadów, którzy w iście sowieckim stylu tylko pozorują służbę ku chwale ojczyzny. Operatorzy dronów zwiadowczych udają, że zobaczyli na ekranie coś, czego nie zobaczyli – przecież płacą im za to, by znaleźli wroga, a nie za puste przeloty. Również okoliczni mieszkańcy starają się skorzystać z sytuacji – na przyfrontowej prowincji ceny w restauracjach są wyższe niż w centrum Kijowa. Tak przynajmniej twierdzi Burtin.

Jak przekonuje dziennikarz, w prywatnych rozmowach Ukraińcy już od wielu miesięcy wyrażają nadzieję na możliwie najszybsze zakończenie wojny. I to niezależnie od okoliczności. Jednak publicznie do niedawna bali się takie opinie wygłaszać – traktowano to bowiem jako zdradę. W lutym 2025 r., wracając pociągiem ze strefy przyfrontowej, Burtin zauważył w tej kwestii znaczącą odmianę – mieszkańcy otwarcie wykłócali się z rannymi żołnierzami, przekonując ich, że „z sąsiadami trzeba żyć w zgodzie". Żołnierze też nieszczególnie oponowali – żal im przelanej krwi, ale wojny mają dość.

Krytycy Burtina – szczególnie ukraińscy komentatorzy – zarzucają dziennikarzowi powtarzanie tez kremlowskiej propagandy, sianie defetyzmu i koncentrację jedynie na ciemnych stronach sytuacji. Serhij Pryculski z portalu Apostrophe.ua przypomina, że autor kontrowersyjnych reportaży nazwał kiedyś konflikt na Ukrainie „wojną domową". Faktem jednak jest, że Burtin pisze wprost: agresorem jest Moskwa, a nie Kijów. Nie sposób zatem nazwać go kremlowskim propagandystą. Natomiast kwestionowanie problemów, które porusza, to próba zamykania oczu na rzeczywistość. Szczególnie że w pewnym sensie Burtin nie powiedział niczego nowego. Jedynie przedstawił na przykładach konkretnych ludzkich historii zjawiska, o których dziś otwarcie piszą nawet ukraińskie media.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

# Ameryka nie dla Portoryka

Ta wyspa to jeden wielki paradoks. Każdy jej mieszkaniec w momencie narodzin otrzymuje amerykańskie obywatelstwo, ale mało kto mówi tu po angielsku

FOT. ADOBE STOCK

Piotr Włoczyk z San Juan

**Stany Zjednoczone odebrały Portoryko Hiszpanii, aby przypieczętować mocarstwowy status. Po blisko 130 latach Amerykanie nie wiedzą jednak za bardzo, co zrobić z tą karaibską perłą. Jedno jest pewne: Donald Trump ma własny interes w tym, by Portoryko nigdy nie przystąpiło do USA jako 51. stan**

Kolumb może się tu czuć całkowicie bezpiecznie. Słynny Genueńczyk dumnie trzyma drzewiec zakończony krzyżem i spogląda na spokojną zatokę, która przez setki lat pozwalała Hiszpanii trzymać w garści Karaiby. „Portoryko Krzysztofowi Kolumbowi" – głosi napis na dole kolumny, na której stoi wielki odkrywca. Nawet gdy do władzy w USA wrócą demokraci, a wraz z nimi wokeizm na sterydach – tu, w San Juan, stolicy Portoryka, Kolumba nikt nie będzie strącał z postumentu. To nie Bahamy, gdzie najpierw, w 2021 r., jakiś aktywista rozbił młotem posąg Kolumba stojący przed rezydencją gubernatora generalnego, a potem lokalne władze, korzystając z tej okazji, zapakowały resztki pomnika do magazynu, pozostawiając ziejący pustką postument.

Wysoko nad placem Kolumba wznosi się Castillo San Cristóbal, forteca zbudowana przez Hiszpanów, która ryglowała ich bezcenny karaibski port od strony lądu. Nad warownią powiewają trzy flagi: Stanów Zjednoczonych, która manifestuje swoją kontrolę nad wyspą, Portoryka (przypominająca kubańską, ale z odwróconą kolorystyką), a także Krzyż Burgundzki, a to przecież symbol... dawnego imperium hiszpańskiego. Dla Portorykańczyków to jednak ważny element ich dziedzictwa, tak samo jak duma z odkryć Kolumba, który dobił do tej wyspy w 1493 r., podczas swojej drugiej podróży.

– Choć wszyscy jesteśmy obywatelami USA, to my jesteśmy „Puertorriqueños", natomiast Amerykanie to po prostu „Los Americanos" – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Antonio Nadal, założyciel Departamentu Studiów Portorykańskich na nowojorskim Brooklyn College. – Mój ojciec po wojnie był nauczycielem angielskiego i hiszpańskiego. Amerykanie chcieli, żeby wyspa zamieniła się w obszar anglojęzyczny, i starali się powoli wyprzeć w szkołach język hiszpański. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Waszyngton musiał w końcu uznać, że Portorykańczycy za nic nie porzucą ojczystej mowy i nie przyjmą języka administratorów z północy.

## PARADOKSY

Cała ta wyspa to jeden wielki paradoks. Każdy jej mieszkaniec w momencie narodzin otrzymuje amerykańskie obywatelstwo, ale przecież to nie jest amerykański stan i faktycznie mało kto mówi tu po angielsku. Trudno nie odnieść wrażenia, że Portoryko to wyspa żyjąca w zawieszeniu, szara plama na politycznej mapie świata. Trafiłem do miejsca, którego status prawny w pełni rozumie tylko niewielka grupa wyspecjalizowanych prawników.



eprasa.pl a6f11ff05f

Portoryko to terytorium nieinkorporowane należące do Stanów Zjednoczonych, ale tak naprawdę niestanowiące ich części. Takich terytoriów Ameryka posiada pięć. Na Karaibach po sąsiedzku leżą jeszcze Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych (kupione w 1917 r. od Danii), a na Pacyfiku Guam, Mariany Północne i Samoa Amerykańskie. Tyle tylko, że Portoryko, liczące ponad 3 mln mieszkańców, jest 10 razy większe od pozostałych „nieinkorporowanych" czterech terytoriów. Pod względem populacji wyspa jest bardziej ludna niż 18 „najmniejszych" stanów USA, w związku z czym tego „nieinkorporowanego" problemu nie da się amerykańskim politykom tak łatwo zignorować jak głosy protestu płynące z maleńkich atoli rozsianych po Pacyfiku.

Leżące 1,7 tys. km na południowy wschód od Miami Portoryko od blisko 130 lat znajduje się na uboczu amerykańskiego życia społeczno-gospodarczego, żyjąc swoim karaibskim, latynoskim życiem (trochę w rytm słynnego przeboju „Despacito" Luisa Fonsiego, który okazał się najlepszą turystyczną reklamą Portoryka).

I chociaż portorykańska diaspora ma spore wpływy polityczne w kilku kluczowych stanach, a gwiazdy pokroju Jennifer Lopez, Marca Anthony'ego czy Ricky'ego Martina robią wyspie dobry PR, to sondaże pokazują, że Amerykanie prawie nic nie wiedzą o swoich rodakach z dalekiego południowego wschodu. Mieszkańców Portoryka, którzy marzą o zyskaniu statusu stanu USA, załamać musiał sondaż przeprowadzony w 2017 r., gdy ich małą ojczyznę niemal zupełnie zmiótł z powierzchni ziemi huragan Maria. Niemal połowa Amerykanów badanych przez firmę Morning Consult nie zdawała sobie sprawy z tego, że Portorykańczycy, którzy właśnie przeżyli uderzenie największego od 90 lat huraganu, to również obywatele USA.

Po raz kolejny musieli się załamać, gdy po wygranej drugiej kadencji Donald Trump zaczął na siłę „zapraszać" Kanadę do przyłączenia się do Ameryki jako 51. stan, podczas gdy oni sami już od ponad 100 lat czekają w „przedpokoju" do USA. A skoro politycy w Waszyngtonie nie wpuszczają ich do środka, to obywatele USA mieszkający w Portoryku nie mogą głosować w wyborach do Kongresu USA i nie mają też żadnego wpływu na to, kto wprowadzi się do Białego Domu. Jednakże nie mając nic do powiedzenia w Waszyngtonie, muszą respektować wszystkie prawa, które Waszyngton uchwali dla Portoryka.

## KAPITOL PRZY PLAŻY

– Nie oszukujmy się, Ameryka traktuje Portoryko jak swoją kolonię, utrzymując tak długo ten dziwaczny status wyspy i jej mieszkańców – mówi prof. Nadal.

To samo słyszę na „ulicy" w San Juan. – Nasza relacja z Ameryką jest czysto kolonialna, to nie może tak dłużej wyglądać – mówi mi Enrique, energiczny 60-latek. – Ja osobiście jestem za niepodległością, bo sami najlepiej zadbamy o własną przyszłość. Ale skoro większość Portorykańczyków skłania się ku przystąpieniu do USA jako 51. stan, to niech tak będzie – pogodzę się z tym. Tylko niech już w końcu skończy się ten stan tymczasowości!

Kolejne referenda organizowane na wyspie, ostatnie odbyło się w zeszłym roku, potwierdzają tę tendencję – Portorykańczycy chcą zostać kolejnym stanem.

O kolonialnym statusie wprost mówią też lokalni politycy pracujący na Kapitolu w San Juan (żaden stanowy Kapitol nie jest położony równie pięknie: wśród palm, obok plaży z urwistym brzegiem).

Przykładowo Ricardo Rosselló, gubernator Portoryka w latach 2017–2019, stwierdził, że obecny status wyspy jest „kolonializmem pozbawiającym milionów ludzi równouprawnienia pod amerykańską flagą".

Tutejsze partie polityczne w pierwszym rzędzie dzielą się pod względem stosunku do USA. Największa, Partido Nuevo Progresista, kontrolująca obie izby lokalnego parlamentu oraz stanowisko gubernatora, opowiada się za oficjalnym przyłączeniem do USA. Jej stan posiadania wiele mówi o nastrojach wyborców. Na drugim miejscu w zeszłorocznych wyborach do lokalnej legislatywy uplasowała się lewicowa Partido Popular Democrático, która opowiada się za utrzymaniem status quo. Trzecie miejsce, z poparciem na poziomie ok. 10 proc., zajęła dążąca do niepodległości Partido Independentista Puertorriqueño. Jednak ta ostatnia partia zanotowała dużo lepszy wynik w wyborach na gubernatora – jej przedstawiciel, choć przegrał, zdobył prawie 31 proc. głosów.

– Dlaczego tak wielu Portorykańczyków popiera przyłączenie wyspy do USA? Ponieważ Waszyngton dotuje wyspę co roku 11–12 mld dol. Portorykańczycy przyzwyczaili się do tych środków, które przeznaczane są m.in. na edukację, infrastrukturę czy opłacanie urzędników – mówi prof. Antonio Nadal. – Wielu mieszkańców wyspy boi się, że odebranie tych dotacji sprawi, iż zamienimy się w drugą Kubę. Ale to oczywiście bzdura. Natomiast to nie jest tak, że USA tracą na posiadaniu Portoryka. Wielkie amerykańskie korporacje, które od samego początku zagwarantowały sobie uprzywilejowaną pozycję, wyciągają z tej wyspy miliardy. Stosunek Portorykańczyków do USA to bardzo interesujący temat, również pod kątem psychologicznym.

## ZAMIAST KAWY I TYTONIU

Amerykanie przejęli Portoryko w 1898 r., w wyniku wojny amerykańsko-hiszpańskiej. Konflikt oznaczał ostateczne rozmontowanie resztek hiszpańskiego imperium kolonialnego w Nowym Świecie. Wraz z Portorykiem Madryt stracił też Kubę.

– Przejmując Portoryko, Amerykanie przeorali gospodarkę, która była ukierunkowana na Europę. Chodzi przede wszystkim o kawę i tytoń. W ich miejsce pojawiła się jedna uprawa: trzcina cukrowa. Amerykańskie korporacje przejęły przemysł cukrowy już na samym początku XX w. Ta czysto kolonialna polityka gospodarcza przyniosła amerykańskiemu wielkiemu biznesowi ogromne pieniądze, natomiast dla większości mieszkańców wyspy oznaczała jeszcze większą biedę – mówi prof. Nadal.

Amerykanie zmilitaryzowali Portoryko – 13 proc. powierzchni wyspy przeznaczono na bazy wojskowe. Poza „zwykłymi" przykrościami, które zawsze spotykają mieszkańców terytoriów podbitych przez mocarstwa, wielu Portorykańczyków do dziś z goryczą mówi o czasach, gdy „przerywanie ciąży" było w USA nielegalne, natomiast Amerykanie, w imię eugeniki i chcąc ograniczyć przyrost naturalny mieszkańców wy-



eprasa.pl a6f11ff05f

Kapitol Portoryka FOT. PIOTR WŁOCZYK

spy, promowali tu aborcję i dokonywali też przymusowych sterylizacji.

Dziś dwa razy więcej Portorykańczyków żyje na terenie kontynentalnych USA (najwięcej w Nowym Jorku) niż na wyspie. Portoryko od początku XXI w. mierzy się z dramatycznym odpływem ludności. Jeszcze 20 lat temu na wyspie mieszkało 4 mln ludzi, obecnie niemal milion mniej. Trudno się dziwić, skoro poza powracającymi katastrofami naturalnymi, jak trzęsienia ziemi i huragany (jak wspomniana już Maria z 2017 r., która zabiła ok. 3 tys. Portorykańczyków), wyspa pogrążona jest od lat w poważnych problemach gospodarczych i właściwie stała się bankrutem. Problemy wynikają po części z polityki Waszyngtonu, który w latach 70. wprowadził sowite ulgi podatkowe dla biznesów przenoszących się na wyspę, a na początku XXI w. zakończył tę politykę, co oczywiście spowodowało odpływ inwestorów. I znów – Portorykańczycy nie mieli tu nic do powiedzenia, ponieważ nie mają w Waszyngtonie swoich przedstawicieli (W Kongresie USA mają tylko jednego obserwatora bez prawa głosu).

W związku z nadciągającym bankructwem Portoryka w 2016 r. Barack Obama stworzył specjalną komisję (zwaną tu nieoficjalnie „La junta"), obsadzaną przez Waszyngton, która stała się swego rodzaju nadzorcą lokalnych władz. „La junta" przez ten czas zaciska pas na budżecie Portoryka, przez co stała się symbolem amerykańskiej „perfidii" dla wszystkich tych, którzy twierdzą, że wyspa musi stać się niepodległym państwem.

**Niejeden prezydent deklarował, że trzeba skończyć z tą prowizorką, ale nie przekładało się to na działania**

– To, jak nas traktują, widać było po huraganie Maria. Całe miasteczka i wioski nie miały elektryczności nawet przez kilka miesięcy, ludzie musieli dosłownie walczyć o jedzenie. Tak się traktuje obywateli drugiej kategorii – mówi mi Elena, 70-letnia emerytka, była pracownica lotniska w San Juan. – Ameryka nie chce nas wypuścić, bo uważa nas za strategicznie ważny punkt na mapie i może korzystać z naszych bogactw naturalnych. Jeżeli to nie jest kolonia, to jak wygląda kolonia? I jeszcze bogaci Amerykanie wykupują u nas nieruchomości, przez co coraz trudniej zwykłemu Portorykańczykowi kupić mieszkanie. Nie chcę, żeby Portoryko zamieniło się w „Hawaje" wschodu, gdzie życie jest niewyobrażalnie drogie.

Gdyby Portoryko dziś dołączyło do USA, stałoby się równocześnie najmłodszym i najbiedniejszym stanem (poziom ubóstwa jest tu dwa razy wyższy niż w najbiedniejszym w Ameryce Missisipi).

## PROBLEM REPUBLIKANÓW

Na początku marca kolejny raz grupa portorykańskich polityków wybrała się na „pielgrzymkę" do Waszyngtonu, by lobbować za przyjęciem ich małej ojczyzny do USA. Gazeta „The San Juan Daily Star" zacytowała przy tej okazji list znanego lokalnego zwolennika inkorporacji, Gregorio Igartúa, który trafił do skrzynek amerykańskich kongresmenów. Igartúa podkreślał w nim, że obywatele USA żyjący na wyspie mają mniej praw niż ich rodacy z kontynentu. „Ta praktyka ma już miejsce ponad 127 lat. Gdy jest to wygodne, Portoryko traktowane jest jako terytorium nieinkorporowane, a innym razem uważane jest za terytorium inkorporowane. Takie arbitralne traktowanie musi w końcu przejść do historii".

Stan portorykańskiego zawieszenia wciąż jednak trwa i nic nie wskazuje na to, by coś miało się w tej sprawie zmienić w najbliższej przyszłości. Niejeden prezydent USA deklarował, że w końcu trzeba skończyć z tą prowizorką (m.in. Ronald Reagan i Barack Obama), ale nie przekładało się to na działania.

– Ruch na rzecz 51. stanu utknął w miejscu, bo Waszyngton tego nie chce. Problemem jest zbyt duża populacja Portoryka – mówi prof. Nadal. – Nowy stan miałby najprawdopodobniej ok. siedmiu przedstawicieli w Izbie Reprezentantów, a także dwóch senatorów, co przekładałoby się również na wybory prezydenckie. Portorykańczycy są tu jak inni Latynosi – bliżej im do demokratów niż do republikanów. Portoryko byłoby więc niebieskim stanem. A Donald Trump i jego partia nie chcą sobie jeszcze bardziej komplikować sytuacji wyborczej. Natomiast niewykluczone jest w przyszłości poszerzenie autonomii. Waszyngton chce zachować kontrolę nad wyspą i chce mieć tam spokój – żadnych rewolucji i wstrząsów. Przyznanie większej autonomii nie musi się z tym kłócić.

Aby przyjąć do unii nowy stan, zgodę muszą wyrazić Kongres i prezydent. – Takie głosowanie wymagałoby tzw. superwiększości w Senacie, czyli 60 głosów – tłumaczy „Do Rzeczy" prof. Bruce Cain, politolog z Uniwersytetu Stanforda. – Nic nie wskazuje na to, by demokraci zdobyli w przewidywalnej przyszłości taką większość. Wszystkie drogi prowadzą tu do Donalda Trumpa i jego Partii Republikańskiej.

A skoro tak, to Portoryko zamiast niebieskim stanem pozostanie szarą plamą na mapie Karaibów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

FOT. YOUTUBE.COM/@LUKELINTZ

## NIEŚMIERTELNY?

Kanadyjczyk Luke Lintz wydaje prawie 45 tys. dol. miesięcznie na zabiegi, które mają poprawiać jego samopoczucie oraz przedłużać mu młodość. Chce żyć wiecznie. Oprócz stosowania odpowiedniej diety (żywienie się wyłącznie produktami organicznymi) 26-letni biznesmen m.in. regularnie przyjmuje kroplówki NAD hamujące proces starzenia (anti-aging). Jego marzeniem jest – jak wyznał – utrzymanie kondycji, która w wieku 90 lat pozwoli mu jeździć na nartach z wnukami.

## PRZEDSZKOLANKA SKANDALISTKA

Młoda przedszkolanka z Treviso (Włochy) została zawieszona w obowiązkach służbowych. Powodem jest założenie przez nią w serwisie społecznościowym Only Fans konta, na którym zamieściła – w celach także zarobkowych – zdjęcia przedstawiające ją w wyzywających pozach i w skąpym ubraniu. Część rodziców dzieci, które są podopiecznymi kobiety w przedszkolu – dodajmy: katolickim – zareagowała oburzeniem i podjęła interwencję w placówce. Przedszkolanka nie kryje zdziwienia.

## NIE MA NIC ZA DARMO

Na kąpielisku w Gold Coast (Australia) mężczyzna i kobieta zostali przyłapani w sytuacji intymnej. Para przebywała w wodzie i swoim zachowaniem zwróciła uwagę innych osób. Jak się okazało, zrobiła to celowo. Mężczyzna bowiem zażądał od gapiów pieniędzy za widowisko.

## ŚCIEKI ZAMIAST WODY

Mieszkanka Szanghaju miała od pewnego czasu kłopoty zdrowotne. Nie wiedziała, co jest ich przyczyną, bo prowadzi zdrowy tryb życia. Na trop wpadła, gdy technik przeprowadził w jej mieszkaniu kontrolę jakości wody z kranu, którą przepuszcza przez filtr, żeby nadawała się do picia. Okazało się, że filtr był nieprawidłowo zainstalowany i w efekcie kobieta piła ścieki z rur.

## LOTY NIE DLA PSÓW

Ośmiogodzinna podróż samolotem z Paryża do Newark (w stanie New Jersey) okazała się dla pasażerów istnym utrapieniem. Na pokładzie był pies, który przez prawie godzinę lotu bez przerwy szczekał. Zwierzę było wciśnięte do zbyt małego, jak na nie, transportera. Na Reddicie pojawiły się głosy, że psy nie powinny w ogóle być przewożone samolotami. ©℗

***Filip Memches***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

# Wieczna zmiana?

Znów w wiosenny weekend ukradziono nam godzinę. Zmiana czasu to szok dla zegara biologicznego. Od lat mówią o tym lekarze, wskazując na negatywne skutki kombinowania przy wskazówkach zegarków dla naszego zdrowia, w tym na zwiększone ryzyko zawału serca czy udaru mózgu. A statystyki z izb przyjęć tylko potwierdzają ich obserwacje. Jednocześnie ekonomiści nie mają już wątpliwości: przesuwanie wskazówek dwa razy do roku nie przynosi współczesnym gospodarkom korzyści, a w wielu branżach wręcz wyrządza szkody, niepotrzebnie podnosząc koszty.

O bezsensowności zmiany czasu przekonani są również zwykli mieszkańcy Polski i innych krajów UE, którzy od dekady w kolejnych sondażach w większości opowiadają się za likwidacją szkodliwej tradycji przesuwania wskazówek. I co? I nadal nic.

Mało która kwestia tak jak ta obnaża skalę nieudolności – zarówno polskich, jak i unijnych polityków i urzędników. Teoretycznie wola polityczna już nawet była. Sprawa utknęła jednak na lata w Radzie Europejskiej. Brak działania tłumaczono pandemią, a potem rosyjską napaścią na Ukrainę. Gdy już zabrakło wymówek, urzędnicy z Komisji Europejskiej wpadli na pomysł, aby wycofać projekt dyrektywy z 2018 r. o zaprzestaniu sezonowej zmiany czasu z uwagi na... „przedłużający się impas w Radzie UE". Innymi słowy: hojnie opłacani eurokraci oficjalnie przyznali, że choć chętnie uchwalają tzw. dyrektywy plastikowe (nakazujące irytujące i kosztowne przytwierdzanie nakrętek do butelek), to absolutnie nie są w stanie zrobić jednej konkretnej rzeczy, na której Europejczykom zależy. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

# Kataster, czyli rozbój

Łukasz Warzecha

**Temat katastru, czyli podatku od wartości nieruchomości, przewija się od lat, na ogół w formie stwierdzenia „ekspertów", że kataster należy u nas wprowadzić. Wówczas w mediach robi się szum, a wtedy pojawia się przedstawiciel rządu i oznajmia, że władza nad takim podatkiem nie pracuje**

Tak wyglądała sytuacja za rządów PiS, gdy w 2021 r. zaczęły znów krążyć pogłoski o takim podatku. Dzisiaj sprawa ma się nieco inaczej, bo z rządu dobiega w tej sprawie kakofonia, budząca podejrzenia, tym bardziej że w okresie kampanii wyborczej często zaprzecza się powodującym niepokój zapowiedziom, które później okazują się spełniać.

Pytani w wywiadach o podatek katastralny minister funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050 oraz minister rozwoju i technologii Krzysztof Paszyk z PSL stwierdzili, że należałoby rozpocząć dyskusję o wprowadzeniu takiego podatku. Tymczasem pytany o to samo minister finansów Andrzej Domański oznajmił w tym samym mniej więcej czasie, że rząd nad podatkiem katastralnym nie pracuje. Tyle że stwierdzenie „rząd nie pracuje nad podatkiem katastralnym" to nie to samo co „ten rząd nie będzie nad podatkiem katastralnym pracował i nie będzie takiego podatku nigdy wprowadzał".

Jeszcze dalej posuwają się przedstawiciele Nowej Lewicy, będącej przecież częścią koalicji rządzącej. „Uważam, że to jedno z ważnych rozwiązań, które powinno zostać wprowadzone. Tych problemów jest trochę. Jest najem krótkoterminowy, pustostany. Podatek katastralny pozwoli uporządkować rynek mieszkaniowy" – mówiła w lutym wiceprzewodnicząca klubu Lewicy, Daria Gosek-Popiołek.

## CZY JEST SIĘ CZEGO BAĆ?

Ten wielogłos wykorzystuje opozycja. Poseł PiS Janusz Kowalski nagrał w lutym wideo, w którym przekonuje, że po wygranych ewentualnie przez Rafała Trzaskowskiego wyborach rząd będzie chciał wprowadzić kataster – choć nie do końca wiadomo, na jakiej podstawie tak twierdzi. Kandydat PiS na prezydenta, Karol Nawrocki, zapowiedział, że jako głowa państwa nigdy nie podpisze ustawy wprowadzającej podatek katastralny. Przeciwny jest temu również ścigający się z Nawrockim o drugie miejsce kandydat Konfederacji Sławomir Mentzen. We wpisie na Facebooku z początku marca wskazywał, że Polska tym różni się od państw takich jak Szwajcaria czy Niemcy – gdzie podatek katastralny istnieje – że u nas we własnym mieszkaniu żyje ok. 80 proc. obywateli, podczas gdy w wymienionych krajach na Zachodzie jedynie ok. 40 proc. Od dwóch pozostałych głównych pretendentów do prezydentury Rafała Trzaskowskiego odróżnia to, że na temat wprowadzenia katastru się nie wypowiedział. Trudno się dziwić, że opozycja wykorzystuje to tak, jak to uczynił poseł Kowalski.

Czy jest się czego bać? Zdecydowanie tak. Różnica pomiędzy podatkiem katastralnym a obowiązującym w naszym kraju – czy w wielu innych państwach Europy Środkowej – podatkiem liczonym od powierzchni nieruchomości jest zasadnicza. Podatek od powierzchni nieruchomości jest względnie niski nawet dla właścicieli domów, a w przypadku budynków wielorodzinnych – mówiąc w uproszczeniu – rozkłada się na wszystkie mieszkania, ma więc na ogół symboliczną wysokość: rocznie bywa to nie więcej niż kilkadziesiąt złotych. W 2025 r. maksymalna ustawowa stawka podatku za metr kwadratowy powierzchni użytkowej przy nieruchomości mieszkalnej to 1,19 zł (stawki są inne w przypadku budynków wykorzystywanych do działalności gospodarczej; ponadto istnieje uciążliwy dwuprocentowy podatek od budowli, nie dotyczy to jednak budynków mieszkalnych).

Zupełnie inaczej rzecz się ma z podatkiem od wartości nieruchomości. Tutaj nie ma mowy o rozkładaniu się jego stawki na wiele lokali. Sposoby liczenia takiego podatku w różnych krajach nieco się różnią. Na przykład we Francji podatek katastralny oblicza się poprzez valeur locative cadastrale, czyli teoretyczny przychód roczny, który wygenerowałaby dana nieruchomość, gdyby była wynajmowana. W praktyce oznacza to, że właściciele płacą od 0,5 do nawet 1,5 proc. rynkowej wartości nieruchomości, natomiast w większych miastach może to być jeszcze więcej.

W Niemczech obowiązuje Grundsteuer B, czyli podatek od nieruchomości innych niż grunty leśne i rolne. Jest on obliczany poprzez pomnożenie wartości katastralnej nieruchomości przez współczynnik podatkowy Steuermesszahl oraz przez Hebesatz, czyli specjalną lokalną stawkę. Ostateczna wysokość podatku ze względu na mnożniki była na ogół względnie niska i wynosiła od 0,1 do 0,3 proc. rynkowej wartości nieruchomości.

Jeśli w Polsce mówi się o katastrze, to przeważnie mowa jest o stawkach procentowo nieco niższych niż te realne we Francji, a nieco wyższych niż realne w Niemczech. Miałoby to być od 0,5 do 1 proc. wartości nieruchomości. Nietrudno policzyć, jakie dodatkowe koszty oznaczałoby to dla właścicieli. Jeśli przyjąć średnią z tego zakresu, czyli 0,75 proc., to za nieruchomość jednorodzinną wartą 1,5 mln zł – a nie jest to wartość wyjątkowa w dzisiejszych warunkach – właścicielowi przyszłoby płacić 11 250 zł rocznie, czyli 937 zł miesięcznie. Dla porównania: jeśli taka nieruchomość ma powierzchnię użytkową 120 mkw., to w przypadku maksymalnej stawki podatkowej właściciel zapłaci 142 zł rocznie, a więc niecałe 12 zł miesięcznie. W tym konkretnym przypadku mówimy więc o wzroście rzędu ponad 7 tys. proc.!



eprasa.pl a6f11ff05f

Przykłady Francji i Niemiec ilustrują jeden z zasadniczych problemów z katastrem: konieczność dokonywania wyceny praktycznie wszystkich nieruchomości w państwie, co jest operacją na gigantyczną skalę, a przecież tę wycenę trzeba co jakiś czas powtarzać, jeśli podatek nie ma być oderwany od realiów rynkowych. Tak się składa, że właśnie w obu wymienionych krajach odbywa się lub wkrótce odbędzie rewizja katastru. We Francji stawki nie były rewidowane od lat 70. XX w. Ich przegląd jest zaplanowany na 2028 r. W Niemczech w tym właśnie roku ma miejsce gruntowna reforma podatku katastralnego, mająca m.in. nieco złagodzić jego dolegliwość dla właścicieli nieruchomości w miastach, gdzie z powodu kryzysu mieszkaniowego wartość nieruchomości radykalnie wzrosła w ostatnich latach.

## NIESPRAWIEDLIWY PODATEK

Gdyby w Polsce chciano wprowadzić kataster, musiano by również zapewnić dokonanie wyceny co najmniej setek tysięcy albo i milionów nieruchomości (w zależności od zasięgu podatku). Taka procedura sama w sobie trwałaby latami, a przy okazji wytworzyłaby potężne lobby rzeczoznawców, którzy mieliby interes w tym, aby podatek się rozrastał, bo z tego by żyli. Co więcej, kataster jest korupcjogenny. Właścicielowi nieruchomości zależy, żeby została ona wyceniona jak najniżej, ponieważ wówczas zapłaci mniejszy podatek. Lecz zapewnić sobie odpowiednią wycenę najłatwiej będzie najbogatszym czy też funduszom dysponującym dużymi pieniędzmi i będącym w posiadaniu dziesiątek albo nawet setek mieszkań. Najgorsza zaś byłaby sytuacja właścicieli dwóch czy trzech nieruchomości lub po prostu zwykłego Kowalskiego, gdyby kataster miał ostatecznie objąć każdego, niezależnie od liczby posiadanych lokali.

To właśnie sprawa kluczowa: Czy mówimy o podatku od każdego mieszkania czy – co jest ulubionym motywem polskiej lewicy – dopiero od któregoś z kolei? Tu sięgnąć trzeba do rekomendacji organizacji międzynarodowych, za sprawą których o podatku katastralnym zrobiło się w Polsce znów głośno. Najpierw, pod koniec ubiegłego roku, media zaczęły wspominać, że wprowadzenie podatku katastralnego rekomenduje naszemu krajowi Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Jak to często bywa, nie sprawdzono źródeł. Owszem, w różnych materiałach MFW pojawiały się sugestie, aby podatki od nieruchomości w krajach, gdzie przynoszą zbyt mało środków do budżetu, zostały podwyższone. A podstawowym sposobem jest zamiana podatku od powierzchni nieruchomości na podatek od jej wartości. Jednak w żadnym konkretnym materiale MFW w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy nie pojawia się takie konkretne zalecenie skierowane wprost pod adresem Polski. Ogólnikowa sugestia jest natomiast zawarta w raporcie z wizytacji naszego kraju z października ubiegłego roku.

Wprost kataster rekomenduje natomiast OECD w swoim raporcie na temat Polski ze stycznia 2025 r. Ale uwaga: w obu przypadkach – i MFW, i OECD – kataster jest traktowany jako środek na zwiększenie wpływów do budżetu i poprzez to – na jego zrównoważenie poprzez zminimalizowanie deficytu. Nie ma mowy o tym, żeby miał być instrumentem jakiejś sprawiedliwości społecznej czy sposobem na naprawianie problemów mieszkalnictwa. Tymczasem tak jest promowany przez jego zwolenników w Polsce.

Cytowana na początku pani Gosek-Popiołek mówi o problemach z najmem czy pustostanami i ta właśnie narracja jest słyszana najczęściej: podatek katastralny nie miałby dotyczyć każdego, a jedynie „bogaczy" mających po kilka mieszkań. To argumentacja obłudna i fałszywa, której głównym celem jest pobudzenie emocji elektoratu: kataster mają odbierać jako słuszny, bo jego ofiarą padną wstrętni „krezusi". Jednak nie ma żadnych danych wskazujących na to, że posiadanie przez prywatnych właścicieli czy fundusze większej liczby mieszkań w jakikolwiek sposób wpływa na rynek mieszkaniowy w Polsce. Ba, okazuje się, że nie ma nawet danych na temat liczby osób mających więcej niż jedną nieruchomość. Podatki zaś co do zasady nie powinny służyć wychowywaniu obywateli czy zaprowadzaniu społecznej sprawiedliwości, a jedynie zasilaniu budżetu w zakresie niezbędnym dla wypełniania przez państwo jego podstawowych zadań.

Po drugie: od ilu mieszkań wzwyż miałby być kataster wprowadzony? Wiele osób wchodzi przecież w posiadanie jednej albo nawet dwóch dodatkowych nieruchomości po prostu za sprawą dziedziczenia. Nie bardzo też wiadomo, którego mieszkania – w przypadku posiadania kilku – miałby dotyczyć. Najdroższego? Najtańszego? Kupionego jako ostatnie czy jako pierwsze?

Po trzecie: Dlaczego państwo miałoby ograniczać obywatelom możliwość inwestowania, w co chcą – także w mieszkania? Jeśli te później stoją puste, to nie dlatego, że są skupione w ręku jednego właściciela, ale dlatego, że przepisy tak bardzo wspierają najemców kosztem wynajmujących, iż ci ostatni nierzadko wolą, żeby ich dodatkowe mieszkania stały puste jako lokata kapitału, niż żeby musieli latami zmagać się z niepłacącym lokatorem odmawiającym opuszczenia lokalu.

Po czwarte: wprowadzenie katastru nie sprawi, że mieszkania staną się tańsze, bo ci, którzy w nie inwestują – czyli z zasady mają ich wiele – nie przestaną ich kupować z tego powodu. Po prostu doliczą sumę podatku do stawek wynajmu, a zatem jedynym skutkiem będą jeszcze wyższe czynsze w przypadku lokali na wynajem.

Po piąte wreszcie: państwo jest chciwe, a politycy uwielbiają zasilać budżet kolejnymi wpływami. Dlatego otwarcie raz furtki dla katastru – nawet gdyby początkowo miał on dotyczyć trzeciego czy czwartego mieszkania – jest gwarancją, że w ciągu kilku lat jego zakres będzie poszerzany, aż w końcu obejmie nawet właścicieli tylko jednej nieruchomości. Wielu nie będzie stać na jego opłacanie, część z jego powodu popadnie w ubóstwo, bo – nie zapominajmy – jeśli UE nie zawróci z drogi klimatystycznego szaleństwa, to wkrótce czeka nas drastyczny wzrost kosztów życia za sprawą ETS2, a do nich doszedłby jeszcze kataster. Dlatego część zostanie zmuszona do sprzedania swoich mieszkań. Na takie okazje będą polowały fundusze i hurtowi właściciele lokali, a więc ostatecznie kataster nie pomoże szukającym własnego lokum, ale przeciwnie – będzie sprzyjał masowym posiadaczom mieszkań.

Podatek katastralny należy na dodatek do najbardziej niesprawiedliwej kategorii: jest podatkiem majątkowym. To oznacza, że pieniądze właściciela majątku zostają opodatkowane drugi raz. Za pierwszym razem – gdy zostały zarobione. Potem właściciel wydał je na trwałą wartość – w tym wypadku nieruchomość – a następnie państwo tę nieruchomość opodatkowuje. Karze więc obywatela za to, że udało mu się za raz już opodatkowane pieniądze zgromadzić trwały majątek. To nie jest polityka podatkowa, ale rozbój.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

# OZE, czyli pasożyt?

Ziemowit Miłosz Malecha

**Pasożyt jest organizmem, który do życia wykorzystuje inny organizm. Czy można powiedzieć, że niestabilne OZE pasożytują na systemie energetycznym opartym na stabilnych źródłach?**

FOT. ADOBE STOCK

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy najpierw zdefiniować, czym jest zdrowy system elektroenergetyczny. Definicja ta jest dość intuicyjna: to system, który płynnie dostosowuje się do chwilowego zapotrzebowania na energię oraz dostarcza ją nieprzerwanie – 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, 365 dni w roku.

Zbudowanie takiego systemu w dużej skali jest ogromnym wyzwaniem, jednak – jak pokazuje doświadczenie – w wielu miejscach na świecie udało się go stworzyć i utrzymać przez długi czas.

Nie ulega wątpliwości, że fundamentem zdrowego systemu są stabilne i elastyczne (w pewnym zakresie) jednostki wytwórcze. Na obecnym poziomie rozwoju technologicznego należą do nich elektrownie cieplne zasilane paliwami kopalnymi (węgiel, gaz, ropa, uran), elektrownie wodne oraz elektrownie na biomasę. Niepodważalnym faktem jest, że systemy elektroenergetyczne oparte na tych technologiach przyczyniły się do bezprecedensowego rozwoju cywilizacyjnego.

## NIEZDROWA NIESTABILNOŚĆ

Skoro wiemy już, czym jest zdrowy system energetyczny, to warto się zastanowić, jak wygląda jego „niezdrowy" odpowiednik. Odpowiedź jest intuicyjna – wystarczy zanegować kluczowe cechy pierwszego i w miejsce stabilnych, sterowalnych źródeł wstawić jednostki niestabilne i niesterowalne, czyli elektrownie wiatrowe i słoneczne. Ich produkcja zależy od chwilowego stanu pogody, który charakteryzuje się dużą zmiennością i nieprzewidywalnością.

W tym miejscu warto przywołać definicję pasożyta: jest to organizm, który do życia wykorzystuje inny organizm. Czy można więc powiedzieć, że niestabilne OZE pasożytują na systemie energetycznym opartym na stabilnych źródłach?

Zastanówmy się, co dzieje się w momencie dodawania niestabilnych jednostek do zdrowego systemu. Gdy pojawiają się odpowiednie warunki pogodowe, źródła OZE zaczynają generować energię. Aby mogła ona zostać wykorzystana, jednostki stabilne muszą zredukować swoją produkcję. Czy już na tym etapie można mówić o działaniu pasożytniczym? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Faktem jest, że stabilne elektrownie są zmuszone do ograniczenia wytwarzania w sposób niemal „przemocowy" i schodzą z optymalnego punktu swojej pracy. Ponadto następuje pewna redukcja zużycia paliwa.

Jeśli udział niestabilnych źródeł w systemie jest niewielki, to oszczędności paliwa mogą pokrywać koszty wynikające z dynamicznych zmian obciążenia i nieoptymalnej pracy elektrowni stabil-



eprasa.pl a6f11ff05f

nych. Jednak wraz ze wzrostem udziału niestabilnych OZE sytuacja staje się coraz bardziej krytyczna, ponieważ wzrasta „przemocowy" charakter współżycia między poszczególnymi elementami systemu. Prowadzi to do szybszego zużycia infrastruktury i wzrostu awaryjności.

Można więc przyjąć tezę, że do pewnego stopnia nasycenia systemu niestabilnymi źródłami korzyści mogą przeważać, ale po przekroczeniu tego progu negatywne skutki zaczynają dominować.

Zjawisko to jest dobrze widoczne w cenach energii elektrycznej. Najniższe ceny występują wtedy, gdy system oparty jest na jednostkach stabilnych, a rosną wraz ze wzrostem udziału źródeł niestabilnych. Warto podkreślić, że błędem jest porównywanie jedynie kosztów technicznych wytwarzania energii – kluczowe jest uwzględnienie średniej ceny energii uzyskiwanej w całym systemie. Często przywoływane w kontekście OZE niskie koszty wytwarzania nie uwzględniają ich negatywnego wpływu na inne elementy systemu. Tym samym realne koszty produkcji energii ze źródeł stabilnych są zawyżone z powodu „przemocowego" współistnienia z OZE. Innymi słowy: dodatkowe koszty generowane przez niestabilne źródła są przenoszone na stabilne jednostki wytwórcze.

Warto także podkreślić, że cena sprzedaży energii z OZE powinna być rozumiana jako koszty produkcji pomniejszone o wszelkie subsydia – co podważa mit „darmowej energii" ze źródeł odnawialnych.

## PROBLEM MAGAZYNOWANIA

Najważniejsza kwestia dotyczy jednak magazynowania energii. Czym tak naprawdę są paliwa kopalne: węgiel, gaz, ropa czy uran? To naturalne magazyny energii, które są rozładowywane w odpowiednich elektrowniach. Kopalnia dostarcza paliwo, a elektrownia dostarcza energię niezbędną do wydobycia i przetworzenia surowca. Dopiero nadwyżka energii trafia do społeczeństwa i napędza rozwój cywilizacji – od przemysłu, przez infrastrukturę, służbę zdrowia, edukację, rozrywkę, aż do lotów kosmicznych.

Konsekwentnie – niestabilne OZE również powinny być rozważane w połączeniu z magazynami energii, ponieważ tylko w ten sposób mogą funkcjonować niezależnie, bez obciążania innych uczestników systemu. Podobnie jak w przypadku klasycznych elektrowni, które muszą zapewnić energię do budowy i eksploatacji kopalń, energię do budowy i utrzymania magazynów powinny dostarczać same niestabilne OZE. I tu pojawia się fundamentalny problem. System oparty na niestabilnych źródłach nie jest w stanie wytworzyć wystarczającej ilości energii, aby pokryć swoje własne potrzeby, zbudować magazyny oraz zapewnić odpowiednie nadwyżki energii dla rozwiniętego społeczeństwa – nie wspominając już o lotach w kosmos...

Być może właśnie dlatego twórcy maszyny parowej porzucili wiatraki…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest badaczem w dyscyplinie inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka, profesorem Politechniki Wrocławskiej na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym i współtwórcą filmu „Odnawialne źródła pieniędzy" w reż. Mateusza Dzieduszyckiego (https:/odnawialnefilm.pl).

REKLAMA

eprasa.pl a6f11ff05f

# Cel: szmal

Jacek Przybylski

**Unia Europejska planuje wydać fortunę na zbrojenia. Akcjonariusze wielu spółek już zarobili na tym krocie. Wydatki na ten cel zwiększa też Polska. Kto zyskał najwięcej? Jakie ryzyko niesie gospodarka wojenna? I wreszcie: Ile za to zapłacimy?**

FOT. ADOBE STOCK

Ponad 123 proc. Tyle od stycznia obecnego roku można było zarobić na akcjach koncernu Rheinmetall AG. Akcje francuskiego producenta samolotów wojskowych, biznesowych i pasażerskich Dassault Aviation podrożały od początku 2025 r. o 61 proc. Akcje koncernu Thales SA – francuskiego koncernu dostarczającego systemy wykorzystywane w transporcie lądowym, lotnictwie, wojsku oraz kosmonautyce – dały inwestorom zarobić od stycznia ponad 82 proc. Wycena jednej akcji włoskiego koncernu Leonardo SpA – jednej z wiodących firm lotniczo-kosmicznych, zbrojeniowych i elektronicznych na świecie, która planuje zwiększyć siłę ognia europejskich dronów dzięki współpracy z tureckim Baykarem – wzrosła od początku roku o 76,29 proc. O ponad 70 proc. w górę poszybowały również od stycznia 2025 r. akcje szwedzkiego koncernu zbrojeniowego Saab AB. Giełdowa wycena niemieckiej firmy Hensoldt – specjalizującej się w technologiach radiolokacyjnych – zyskała od początku roku ok. 98,99 proc. Akcje grupy RENK – niemieckiego producenta znanego m.in. z przekładni wozów bojowych używanych np. w czołgach Leopard 2 – od stycznia do 27 marca zyskały ponad 144 proc. Ponad 37 proc. można było też od początku obecnego roku zarobić na akcjach brytyjskiej firmy obronnej BAE Systems.

Sporo zarobili również udziałowcy spółek produkujących materiały i dostarczających niezbędne surowce dla sektora zbrojeniowego. Niemiecki koncern ThyssenKrupp – który w ubiegłym roku mierzył się z globalnym kryzysem w branży stalowej – od początku obecnego roku zyskał ok. 139 proc., z czego tylko w marcu ok. 25 proc.

Wzrosty odnotowały też firmy notowane na warszawskiej giełdzie. Cognor produkujący m.in. blachy pancerne dla kołowych transporterów opancerzonych Rosomak od początku roku zyskał 18,22 proc., z czego tylko od końca lutego do 27 marca aż 15,82 proc. Odlewnie Polskie SA od początku roku dały zarobić akcjonariuszom ok. 17 proc. (choć kurs od 27 lutego do 27 marca wzrósł o ok. 21 proc.). Z kolei akcje Izostalu zyskały od początku roku ok. 12 proc., z czego niemal 5 proc. w okresie od 27 lutego do 27 marca.

## GOSPODARKA WOJENNA

Kursy spółek zbrojeniowych najmocniej wystrzeliły w górę nie po inwazji Rosji na Gruzję, nie po zajęciu Krymu ani też nie po inwazji na wielką skalę na Ukrainę w 2022 r. Największe wzrosty odnotowano w ostatnich tygodniach, a zwłaszcza tuż po tym, jak na początku marca Komisja Europejska zaproponowała przestawienie europejskiej gospodarki na tryb wojenny.

Co prawda, komisarz UE do spraw rynku wewnętrznego Thierry Breton już w maju 2023 r. przekonywał, że Unia Europejska musi jak najszybciej „przejść do trybu gospodarki wojennej". Wtedy mało kto dołączył jednak do jego chóru. W marcu obecnego roku stwierdzono jednak oficjalnie, że celem unijnej strategii ma być rozkręcenie przemysłów zbrojeniowych państw członkowskich Unii Europejskiej. Zgodnie z pięciopunktowym planem dozbrajania Europy, ogłoszonym hucznie przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der



eprasa.pl a6f11ff05f

Leyen, na obronę ma zostać przeznaczone do 800 mld euro. Czyli dokładnie tyle, ile rekomendował Mario Draghi w swym raporcie dotyczącym wzmacniania konkurencyjności europejskiej gospodarki. – Era dywidendy pokoju dawno minęła. Architektura bezpieczeństwa, na której polegaliśmy, nie może być już dłużej brana za pewnik – ogłosiła Niemka, zapowiadając wielkie inwestycje w obronność.

Skąd wzięło się te 800 mld? Według von der Leyen jeżeli państwa członkowskie UE zwiększą wydatki na obronność średnio o 1,5 proc. PKB, to w ciągu czterech lat wyniosą one 650 mld euro (choć część tych pieniędzy już zakontraktowano, a teraz zostaną dopiero rozliczone). Poza planem „ReArm Europe" jest też pakiet SAFE (ang. Security Action for Europe), czyli plan pożyczek o wartości 150 mld euro, które mają być wydane m.in. na obronę przeciwlotniczą. A to nie wszystko: kraje UE zyskają także możliwość wykorzystania funduszy z polityki spójności z unijnego budżetu. Bruksela w celu finansowania wydatków zbrojeniowych zamierza również wykorzystać kapitał prywatny zgromadzony przez prywatne osoby w europejskich bankach.

Innymi słowy: wielkie unijne zbrojenia finansowane mają być z olbrzymich pożyczek. Unijni politycy przeszli w tej kwestii w ostatnich tygodniach olbrzymią przemianę. Nagle święte dotąd reguły wydatkowe przestają obowiązywać. A na porzuceniem ograniczeń w tym zakresie opowiadają się nawet Niemcy. Aby nie wywoływać teraz nadmiernej troski o stan finansów przyszłych pokoleń podatników, wydatki na uzbrojenie zostaną oficjalnie wyłączone z zasad dyscypliny fiskalnej. „Zaproponujemy uruchomienie krajowej »klauzuli wyjścia« z Paktu stabilności i wzrostu. Umożliwi to państwom członkowskim znaczne zwiększenie wydatków na obronę bez uruchamiania procedury nadmiernego deficytu" – zapowiedziała przywódczyni KE von der Leyen, która jako minister obrony Niemiec wielokrotnie oskarżana była przez media o brak kontroli nad armią i odpowiedzialność za fatalny stan Bundeswehry. Wiadomo więc, że europejski wyścig zbrojeń zostanie sfinansowany poprzez zwiększenie deficytu budżetowego oraz długu publicznego.

A co będzie z nami? – Polska gospodarka przestawia się na tryb wojenny, zaczęliśmy to jako pierwszy kraj w Europie – mówił 7 marca na antenie TVP Info minister rozwoju i technologii. – Mamy stan nadzwyczajny, stan zagrożenia bezpieczeństwa. W związku z tym potrzeba szybszej produkcji broni, wzmocnienia potencjału – podkreślał Krzysztof Paszyk, zaznaczając, że „nadzwyczajna sytuacja wymaga nadzwyczajnych decyzji, więc trzeba przesunąć część środków z Krajowego Planu Odbudowy na zbrojenia". Zastrzegł jednak, że widzi możliwość pogodzenia planów realizacji ważnych inwestycji z planami zwiększenia wydatków na obronność, np. budując obiekty użyteczności publicznej, które mogą jednocześnie pełnić funkcję schronu.

W podobnym tonie wypowiedział się także niedawno polski minister obrony. – Europa powinna przestawić swój tryb gospodarki na tryb bezpośredniego zagrożenia wojną – oznajmił Władysław Kosiniak-Kamysz. Za słowami polityków idą też konkretne pieniądze. Jak ogłosił szef MON, w 2024 r. nowy sprzęt zakontraktowany dla armii kosztował ponad 161 mld zł. Lwia część tej kwoty (ok. 110 mld zł) wsparła przemysł zagraniczny. W 2026 r. Polska ma wydać na obronność co najmniej 5 proc. PKB, co nominalnie oznacza ponad 200 mld zł. Nowa unijna strategia jest więc dla polskiego rządu znakomitą wiadomością: ułatwi bowiem zakończenie tzw. procedury nadmiernego deficytu, którą w połowie ubiegłego roku wszczęła przeciwko Polsce Komisja Europejska bez konieczności wdrażania poważnych cięć budżetowych.

## NAJWIĘKSZY KRACH W HISTORII?

W ubiegłym roku globalne wydatki na zbrojenia wzrosły do nowego rekordu – 2,46 bln dol. z 2,24 bln dol. w roku 2023. W liczbach bezwzględnych zdecydowanie najwięcej na armię nadal wydają Stany Zjednoczone (968 mld dol. w 2024 r.). To więcej niż dwukrotność całych wydatków krajów stanowiących europejski filar NATO, a jednocześnie ponad dwukrotność łącznych wydatków na obronę Chin (235 mld dol.) i Rosji (145,9 mld dol.). Łączne wydatki na obronność w Europie wzrosły o 11,7 proc. w ujęciu realnym i osiągnęły kwotę 457 mld dol. Na Starym Kontynencie na ten cel najwięcej wydały Niemcy (86 mld dol.), Wielka Brytania (81,1 mld dol.), Francja (64 mld dol.), Włochy (35,2 mld dol.) oraz Polska (28 mld dol.). Dopiero na dalszych miejscach znalazły się Holandia, Hiszpania, Szwecja, Norwegia, Rumunia czy Belgia.

Teoretycznie skoro rząd zamierza inwestować fortunę, to powinniśmy być świadkami dużego wzrostu gospodarczego. W Polsce raczej tak jednak nie będzie, ponieważ większość pieniędzy wydajemy na wzmocnienie zagranicznych gospodarek.

Za pilne dozbrajanie zapłacą zaś nie tylko przyszłe pokolenia podatników. Ktoś musi ponieść choćby rosnące koszty obsługi zadłużenia. Należy się więc spodziewać podwyżki podatków. Jednym z najprostszych sposobów na jej ukrycie będzie zamrożenie progów PIT i kwoty wolnej od podatku przy nominalnych wzrostach wynagrodzeń i emerytur. A to pewnie tylko początek zaciskania fiskalnej pętli.

Według prof. Andrzeja K. Koźmińskiego ostatnie wypowiedzi polityków czy zapowiedziane przez premiera Donalda Tuska powszechne szkolenia wojskowe to przygrywka do przestawienia gospodarki w tryb wojenny. Profesor Koźmiński w rozmowie z Polską Agencją Prasową zauważył, że w Polsce na uruchomieniu trybów gospodarki wojennej powinny zyskiwać takie branże jak przemysł zbrojeniowy, stalowy, chemiczny czy wytwórcy cementu. Na największe profity mogą zaś, zdaniem Andrzeja K. Koźmińskiego, liczyć firmy z branży high-tech. Współtwórca Akademii Leona Koźmińskiego jednocześnie jasno ostrzega przed niebezpieczeństwem. – Wejście w tryb wojenny może jednak doprowadzić do największego krachu w historii – alarmował, przypominając, że uruchomienie gospodarki wojennej „odbywa się kosztem konsumentów, ponieważ wszystkie zasoby, np. surowców, materiałów czy ludzi, podporządkowane są budowie i utrzymaniu systemu obronnego".

I chociaż bezpieczeństwo trudno wycenić, to warto pilnować rządzących – obojętnie z której partii – aby inwestycji zadłużających kraj na setki miliardów dokonywali, skrupulatnie pilnując każdego wydanego złotego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

# Kto po nich posprząta?

Co powiedzieliby państwo o rodzinie, która ponad 30 proc. pieniędzy, które wydaje „na życie", czerpie z długu? Z kredytu, który zaciąga? I to zaciąga go nie z myślą o niezbędnym do życia zakupie czy o jakiejś arcyważnej dla swej przyszłości inwestycji, a po prostu „na życie"? Cóż, zapewne powiedzieliby państwo, że to rodzina, która zachowuje się nieroztropnie, a nawet głupio, prawda? No bo jakże można się tak bardzo zadłużać, zamiast po prostu wydawać mniej i w związku z tym mniej się zadłużać, a najlepiej tak oszczędzić na wydatkach, żeby nie zadłużać się „na życie" w ogóle?

A taki właśnie dług – sięgający aż ponad 30 proc. wydatków budżetu Polski – w 2025 r. na nasz rachunek, nie pytając nas o zgodę, zaciąga rząd Tuska. I to zaciąga go, zapewne z powodu kłopotów z tym związanych, uciekając się, po raz pierwszy od lat, do sprzedaży także bonów skarbowych (a nie wyłącznie obligacji) – a to mniej więcej tak, jakby zamiast do banku po pożyczkę „chwilówkę" udać się wiadomo do kogo.

Zapisane w obowiązującej ustawie budżetowej liczby są więc takie: wydatki budżetu Polski w 2025 r. wyniosą aż 921,6 mld zł, podczas gdy dochody zaledwie 632,6 mld zł, a w związku z tym nowy dług sięgnie aż 289 mld zł, czyli właśnie owe ponad 30 proc. wszystkich wydatków. A dokładnie – 31,37 proc.

Skłonność do zaciągania wielkich długów pojawiła się jednak wcześniej, już za rządów Morawieckiego, wszelako nie były one aż tak astronomiczne. Dość wspomnieć, że przygotowany przez niego ostatni budżet – na 2024 r. – zakładał wydatki w wysokości 866 mld zł, a dochody – 682 mld zł, czyli nowy dług – 184 mld zł, a więc nieco ponad 21 proc. Ale Tusk powiększył deficyt na rok 2024 do aż 211 mld zł, czyli do niemal 24 proc.

A skoro o rodzinie, która tak zaplanowałaby swój roczny budżet, każdy przytomnie myślący człowiek powiedziałby, że jest „nieroztropna, a nawet głupia", to czyż inną miarę należy przykładać do rządu, który tak zaplanował wydatki państwa? Oczywiście – nie. Należy przyłożyć miarę taką samą – to rząd nieroztropny, a nawet głupi. Tym bardziej że o ile w przypadku rodziny mamy do czynienia z zagrożeniem bankructwem tylko jednej rodziny, której z pomocą mogą przyjść inne rodziny, i można sobie wyobrazić, że w skrajnym przypadku będzie to pomoc bezinteresowna, tak w przypadku bankructwa państwa nigdy o pomocy bezinteresownej nie ma mowy. W odróżnieniu od ludzi państwa i banki nie mają bowiem żadnych przyjaciół, a wyłącznie interesy.

Co więc – w przypadku, gdyby Polska zbankrutowała albo „tylko" znalazła się na krawędzi bankructwa – mogłoby być ceną udzielenia jej pomocy? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

# Czy Vance nienawidzi Europy?

Zawsze, gdy wydaje mi się, że głupiej się już nie da, pojawia się jakieś polskie medium i powiada: „Tak? To potrzymaj mi piwo i patrz". I faktycznie – okazuje się, że głupiej można. A potem znowu i znowu.

Kolejny rekord głupoty został pobity, gdy część mediów zaczęła relacjonować „Signalgate", czyli rozmowę o ataku na Hutich w Jemenie pomiędzy najważniejszymi przedstawicielami administracji Donalda Trumpa, do której doproszony został – wciąż nie wiadomo, czy wskutek ludzkiego błędu (to najbardziej prawdopodobne) czy z innych powodów – Jeffrey Goldberg, redaktor naczelny „The Atlantic", magazynu mocno antytrumpowskiego.

**Być może autorzy tezy o nienawiści USA wobec Europy słabo znają angielski**

Na podstawie wypowiedzi amerykańskiego wiceprezydenta J.D. Vance'a i odpowiedzi na jego opinię ze strony Pete'a Hegsetha, sekretarza obrony, polskie media wywiodły, że ludzie Trumpa „nienawidzą" Europy. Ten fałszywy przekaz jest całkowicie bezrefleksyjnie powielany w kolejnych tekstach i wypowiedziach. Spór dotyczył tego, czy USA powinny ponosić koszty ataku na Hutich, skoro najwięcej skorzysta na tym Europa, nie Ameryka. Przytoczmy w możliwie dokładnym tłumaczeniu, co napisali obaj panowie.

Vance: „Irytuje mnie po prostu, że znów ratujemy Europę".

Hegseth: „Podzielam w pełni twoją niechęć do wożenia się Europy za darmo. To ŻAŁOSNE".

Być może autorzy tezy o nienawiści wobec Europy słabo znają angielski. Owszem, pojawia się tam słowo „hate", jednak zostaje użyte w znaczeniu „irytuje mnie", „wkurza mnie": „I just hate bailing Europe out again". Nie pada natomiast w ogóle pojawiające się w polskich relacjach słowo „pasożyt" (parasite). Hegseth używa sformułowania „free-loading", oznaczającego tyle co jazda na gapę czy wykorzystywanie kogoś. I nie jest to sformułowanie obraźliwe, w przeciwieństwie do słowa „pasożyt".

Przede wszystkim zaś rozmowa nie dotyczy osobistych odczuć urzędników Trumpa, ale ich oceny relacji pomiędzy USA a Europą. Z tego punktu widzenia nie ma w niej niczego nowego. Ton jest całkowicie spójny z polityką obecnej ekipy z Białego Domu. Jak widać, polska publicystyka histeryczna osiąga kolejne poziomy absurdu. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

# CUPRA LEON 1.5 eTSI 150 KM

FOT. JAP.

W ciągu ostatnich lat przetestowałem już setki różnych modeli. Bardzo rzadko zdarzało się jednak, aby zatrzymywali się koło mnie kierowcy innych aut, aby podniesionym kciukiem (tak, mam pewność, że to był kciuk) zasygnalizować, że podoba im się kierowany przeze mnie hatchback.

I rzeczywiście Cupra Leon po ubiegłorocznym liftingu został uzbrojony w wiele elementów, które mogą wpaść w oko: przepiękny matowy lakier Magnetic Tech, drapieżne przetłoczenia, obudowy lusterek z włókna węglowego, oryginalne felgi, matrycowe reflektory LED MATRIX z przodu i tylna listwa z podświetlonym logo marki to tylko niektóre z nich.

Nowocześnie wygląda także wnętrze. Nowy ekran systemu multimedialnego podczas liftingu nie tylko urósł, lecz także działa o wiele lepiej niż ten w poprzedniej generacji. Bez zarzutu działa bezprzewodowe połączenie ze smartfonami Android oraz tymi z systemem iOS. Do wykończenia deski rozdzielczej w najważniejszych miejscach użyto przyjemnych w dotyku, miękkich materiałów.

Ciekawą nowością w bazowej wersji Leona jest świetnie leżąca w dłoniach kierownica, wyposażona m.in. w duże przyciski do sterowania trybami jazdy i do uruchamiania silnika (charakterystyczne wcześniej dla szybkich i mocnych wersji VZ). W kabinie wiele jest charakterystycznych dla Cupry akcentów. I nie chodzi tylko o miedziane wstawki, lecz także np. bardzo wygodne sportowe fotele. Z tyłu jest już nieco mniej wygodnie, ale nawet po zajęciu miejsca na tylnej kanapie miejsca na nogi i nad głową jest wystarczająco. Gorzej z miejscem w bagażniku: kufer w testowanym modelu ma jedynie 380 l pojemności.

Sportowe emocje tłumi nieco informacja o osiągach umieszczonej pod maską jednostki napędowej. Bazowy wariant ma silnik o pojemności 1.5 eTSI, a moc 150 KM oraz 250 Nm maksymalnego momentu obrotowego, który wspierany jest przez układ miękkiej hybrydy. Napęd sprawnie współpracuje z siedmiobiegową automatyczną skrzynią DSG. Jak na Cuprę, moc taka sobie, ale w praktyce auto okazuje się dość zrywne. Od zera do pierwszej setki Leon w tej konfiguracji przyspiesza w niecałe 9 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 215 km/h.

Chociaż osiągi nie rzucają na kolana, to hiszpański hatchback potrafi dać sporo frajdy z jazdy. Auto prowadzi się lekko i pewnie. Zawieszenie jest dość sztywne, ale bez przesady. Jednocześnie Leon potrafi być dość oszczędny. Spalanie w zakorkowanej Warszawie wyniosło podczas testu 7,5 l/100 km, a na autostradzie 7,7 l/100 km. Na trasie krajowej Leon spalił zaś tylko średnio 5,1 l/100 km. Nieźle.

Najtańsza Cupra Leon z silnikiem 1.5 TSI i ręczną skrzynią biegów kosztuje w promocji 109,8 tys. zł. Wersja z silnikiem 1.5 eTSI i automatyczną przekładnią podnosi cenę promocyjną do 124,8 tys. zł. Testowany egzemplarz wyceniony był zaś na 201,4 tys. zł (z czego sam lakier kosztował niemal 11 tys. zł). Tymczasem w promocyjnym cenniku za mniejsze pieniądze, bo za 167,6 tys. zł można znaleźć wariant z silnikiem 2.0 TSI o słusznej mocy... 300 KM. ©℗

# SAMSUNG HW-Q930D

Dobrej jakości dźwięk przestrzenny, wysoka moc, niezły bas, wsparcie dla Dolby Atmos, eleganckie wzornictwo, banalnie prosta obsługa oraz świetny stosunek ceny do możliwości – to największe zalety potężnego wielokanałowego zestawu 9.1.4 południowokoreańskiej firmy Samsung, w którego skład oprócz samego soundbaru wchodzą również bezprzewodowe głośniki oraz subwoofer.

Wzornictwo modelu HW-Q930D – premierę miał co prawda w roku ubiegłym, ale na razie pozostaje w top 10 najlepszych zestawów na rok 2025 – wiernie naśladuje design starszych braci, czyli Q930C czy Q930B. I dobrze, bo minimalizm nadal jest w modzie. Trudno mieć też zastrzeżenia do jakości wykonania poszczególnych elementów zestawu (z aluminium i wysokiej jakości plastiku). Obsługa zestawu jest bardzo prosta, ale parowanie poszczególnych elementów podobnie jak we wcześniejszych generacjach czasem idzie sprawnie, a czasem jest niepotrzebnie frustrujące.

Ostatecznie człowiek jest jednak zadowolony, że nie potrzeba kłaść wielu nowych kabli, aby otoczyć kanapę (a nawet szezlong) w dużym salonie prawdziwym przestrzennym dźwiękiem i móc się cieszyć kinowymi efektami (dzięki technologii Dolby Atmos). Mimo że testowany model nie jest najdroższy w ofercie Samsunga, to jakość dźwięku powinna zaspokoić oczekiwania większości użytkowników (choć prawdziwych melomanów odsyłałbym mimo wszystko do najdroższych modeli). Posługując się szkolną skalą, zasługuje na solidną czwórkę z plusem. Bas jest głęboki i mocny, a brzmienie pełne detali. Słychać tu każdy szmer skradających się komandosów i dźwięk wirnika śmigłowca nadlatującego nagle tuż zza pleców.

Moc całkowita to 540 W i jest wystarczająca nawet w dużych pomieszczeniach. Przydatna jest też funkcja optymalizacji brzmienia – dzięki niej zestaw sam, wykorzystując wbudowany mikrofon, dostosowuje zasięg i ton dźwięku do warunków w danym pomieszczeniu. Na pochwałę zasługuje również mnogość gniazd: złącze optyczne, HDMI eARC, Bluetooth, wi-fi, Chromecast i AirPlay 2.

Wady? Scena dźwiękowa może wydawać się nieco ciasna. Pilot mógłby wreszcie doczekać się upgrade'u. A poza tym jeśli ktoś posiada zestawy poprzednich generacji, to absolutnie nie warto wymieniać ich na Q930D, bo zmiany są mocno kosmetyczne.

Mimo drobnych minusów testowany zestaw to świetny wybór dla tych, którzy chcą mieć wysokiej jakości zestaw Samsunga, ale nie zamierzają wydawać na niego całej miesięcznej pensji. Cena: 2348 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI



eprasa.pl a6f11ff05f

# Ciemna strona Ozempicu

Joanna Bojańczyk

**Nowa generacja „cudownych" leków na odchudzanie, które de facto są lekami na cukrzycę, budzi nadzieje i obawy. Są bestsellerami aptek, choć długofalowe skutki ich działania nie są jeszcze poznane. Na ich czele plasuje się duński Ozempic**

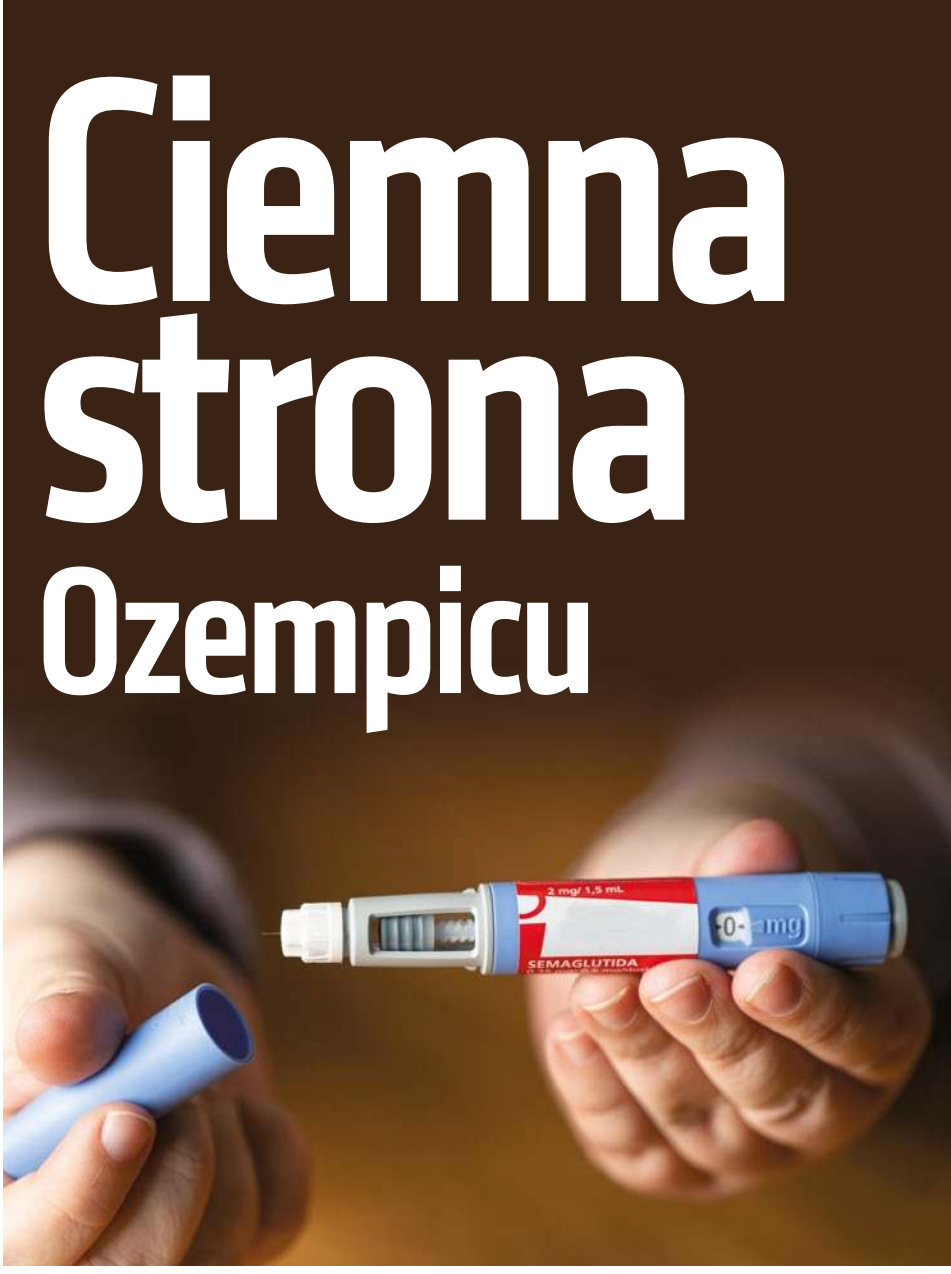


FOT. ADOBE STOCK

Już się wydawało, że w świecie fashion wszystko wróciło do normy. Do normy, to znaczy, że na wybiegach mody pojawiają się normalne kobiety – grubsze, chudsze, czasem z nadwagą. Że nie powrócą wychudzone sieroty o smutnych twarzach i wystających łopatkach. Że pod wpływem kampanii społecznych zniknie bodyshaming (wyśmiewanie grubych ludzi) lub przynajmniej nie wróci w tak ostrej, jak jeszcze niedawno, formie. Że chudość przestanie być prawem i przymusem dla współczesności, od którego nie ma odstępstwa. Że „body positive" zwycięży. To było kilka lat nadziei. Więc dlaczego to się zmieniło?

Bo pojawił się Ozempic, cudowny środek, który miał rozwiązać – teoretycznie – największy globalny problem ludzkości: otyłość (uwaga: ironia). I który – teoretycznie – otworzył każdemu prostą i krótką drogę do upragnionej szczupłej sylwetki. Normalsi mają znowu zejść ze sceny, teraz znowu trzeba być chudym. A że można, są dowody. Dieta cud działa...

Najsłynniejszej amerykańskiej celebrytce Oprah Winfery (70 lat) dzięki Ozempicowi w kilka miesięcy udało się schudnąć 18 kg. Zmagająca się od lat z problemem wagi dziennikarka zerwała umowę z firmą Weight Watchers, której akcje natychmiast spadły o jedną piątą.

Elon Musk, szef Tesli (53 lata), ostatnio mianowany ministrem skuteczności przez Donalda Trumpa, jeszcze w roku 2022 prezentował na greckiej wyspie Mykonos tłustawe ciało. Dwa lata później donosił na X: „Odzyskałem młodzieńczą sylwetkę". Cud schudnięcia 13 kg podziwiać można razem ze 150 mln wielbicieli Elona na platformie X.

Lizzo, amerykańska wokalistka, niedawno twierdziła, że ze swoją tuszą – a ta była solidna – czuje się szczęśliwa. Potem schudła w tajemniczy sposób i teraz też czuje się z tym szczęśliwa. Dlaczego zatem na Halloween zamieściła zdjęcie swojej mocno wyszczuplonej sylwetki przebrana w pudełko podobne do opakowania leku Ozempic?

Kim Kardashian udało się zmieścić w słynną sukienkę Marilyn Monroe na zeszłorocznej Gali Metropolitan Museum of Art. Ten cud także sprawił Ozempic.

„Witamy na 82. Golden Globach, największym wieczorze Ozempicu" – powitała przybyłych na ceremonię amerykańska stand-uperka, aktorka i humorystka Nikki Glaser. Rzeczywiście, Ozempic zdziałał cuda na widowni tego wydarzenia. Niektórych gości trudno było rozpoznać. Nicole Kidman – jeszcze chudsza, podobnie Angelina Jolie, Selena Gomez, Adele.

Niektórzy milczą, inni przyznają się do użycia leku, który do niedawna znali tylko diabetolodzy i cukrzycy. A teraz: parę zastrzyków w brzuch i gotowe. Żegnajcie Dukan, Atkins, Keto, Paleo i inne diety. Żegnajcie, frustracje, rozczarowania, męki głodu i efekty jo-jo.

## CHUDNIEMY, ALE NIE MÓWIMY

Ozempic to lek stosowany w leczeniu cukrzycy typu 2, w problemach kardiologicznych oraz wspomagająco w kon-



eprasa.pl a6f11ff05f

troli masy ciała. Naśladuje działanie naturalnego hormonu inkretynowego, pomaga regulować poziom cukru we krwi i zmniejsza apetyt. Spowalniając opróżnianie żołądka, prowadzi do uczucia sytości i mniejszego apetytu. W naturze nasz hormon sytości daje to uczucie na kilka godzin, a ten w postaci leku działa nawet dobę. Je się mniej i chudnie szybko. Lekarze przepisują Ozempic najczęściej diabetykom z nadwagą prowadzącym siedzący tryb życia. Takie jest zalecenie.

Ale od roku 2022 TikTok, ulubiony komunikator nastolatków, zaczął wrzucać zdjęcia młodych ludzi robiących sobie zastrzyk w brzuch, a obok nich zdjęcia „przed" i „po". Hashtag #Ozempic skumulował 500 mln odsłon na świecie. W Nowym Jorku, w metrze i na ulicach, pełno było reklam zachwalających ten środek – w Stanach reklama leków na receptę jest dozwolona pod warunkiem przestrzegania odpowiednich przepisów, reklamy muszą zawierać informacje o przeciwwskazaniach i możliwych skutkach ubocznych. Na berlińskim Fashion Weeku modelki wystąpiły w koszulkach z napisem: „I love Ozempic".

Do obrotu w Unii Europejskiej lek został dopuszczony w roku 2018. W Polsce jest dostępny od roku 2019, kiedy rozpoczęto refundację dla pacjentów z cukrzycą typu 2. Jednak myliłby się ten, kto myślałby, że aby zdobyć to lekarstwo, wystarczy mieć receptę i pójść do apteki na rogu. Na polskim rynku Ozempicu brakuje. Jak każdy specyfik poszukiwany stał się on trudno dostępny. Według danych z września 2024 r. posiada go jedynie ok. 1 proc. aptek w Polsce. Wiceminister zdrowia Marek Kos obiecał, że w roku 2025 dostawy się zwiększą. Firma Nuovo Nordisk twierdzi, że dostawy zwiększono i odbywają się w systemie ciągłym. Ale brakuje go w całej Europie.

Nazwa Ozempic poszła w świat, tworząc obłok, jakby ktoś dmuchnął pudrem. Nieznany wcześniej środek szybko zyskał sławę magicznego odchudzacza, jak wcześniej botoks stał się symbolem młodości, Prozac lekiem na spokój ducha, a Viagra na udany seks.

Ale czy rzeczywiście wszyscy mówią o tym otwarcie? Przeszukanie Internetu dowodzi, że nawet celebryci, po których spodziewamy się najintymniejszych wyznań, uznają, iż nie jest to temat do zwierzeń. Popisać się szczupłą sylwetką – tak. Co innego powiedzieć, skąd się ona wzięła. Specjaliści twierdzą, że ozempikowa twarz – wysuszona, szara i obwisła – może na to wskazywać. „Postozempic body" – jak mówi się w mediach społecznościowych. Lek jest na rynku od niedawna, jego długotrwale skutki uboczne nie są jeszcze dobrze poznane. Już teraz wiadomo, że osoby z chorobami trzustki nie powinny go przyjmować – mówi Ewa Budzowska, prezes grupy Apteki od Serca.

**Skutki uboczne nowych leków na odchudzanie to m.in.: problemy trzustki, zaburzenia smaku, reakcje alergiczne**

Przyjemniej jest się chwalić szybko zdobytą szczupłą sylwetką, niż opowiadać o towarzyszących odchudzaniu objawach. Sharon Osbourne, żona muzyka metalowego, powiedziała tygodnikowi „Paris Match": „W cztery miesiące schudłam 20 kg. Już nigdy nie bywam głodna, ważę 44 kg. Mąż mówi, że wyglądam jak Nancy Reagan. I czuję się ciągle zmęczona".

Francuski lekarz Jean-Pierre Riveline twierdzi, że utracone w wyniku obcięcia apetytu kilogramy organizm szybko odzyska – efektowi jo-jo może zapobiec tylko rozłożona na kilka miesięcy kuracja.

Przy tak wielkim popycie trudno będzie skontrolować recepty. Czy odpowiadają zaleceniom producenta? Czy pacjent rzeczywiście jest otyły i czy prowadzi siedzący tryb życia? To pozostaje do oceny lekarza. Zapewne wielu cukrzyków nie zdobędzie leku, który wykupiły panie chcące ładnie wyglądać na plaży.

## ILE TO KOSZTUJE?

Koszt trzymiesięcznej kuracji Ozempikiem zależy od tego, czy jest ona refundowana czy pełnopłatna. Dla pacjentów objętych refundacją (to osoby z cukrzycą typu 2, leczone co najmniej dwoma lekami hipoglikemizującymi, z otyłością definiowaną oraz wysokim ryzykiem sercowo-naczyniowym) standardowa cena detaliczna opakowania wynosi ok. 403,55 zł. Trzymiesięczna kuracja wymaga trzech opakowań. Z refundacją lek kosztuje 127 zł.

Zachęcające wyniki sprzedaży skłoniły producentów do dalszych badań nad rozwojem tego typu. leków. W zeszłym roku Novo Nordisk, duński producent Ozempicu, wypuścił lek Wegovy, zawierający jako główny składnik semaglutyd, ten sam, który jest w Ozempicu. Wegovy jest jeszcze droższy niż Ozempic – dawka 1 mg kosztuje od 1899 zł do 2,5 tys. zł. Jedna dawka Mounjaro, innego leku na cukrzycę 2, produkowanego przez farmaceutyczny gigant Eli Lilly, kosztuje w zależności od wagi od 295 zł do 396 zł. Mounjaro robi nadzieje, że jest skuteczniejszy niż Wegovy i Ozempic. Czas pokaże, czy te nadzieje się sprawdzą.

Dla przemysłu farmaceutycznego leki na odchudzanie to żyła złota. Rynek jest obiecujący i wciąż rozwojowy: jak podaje WHO, na świecie miliard ludzi cierpi na nadwagę, z czego połowa deklaruje chęć schudnięcia. Budżety producentów leków puchną w miarę, jak chudną pacjenci. Ozempic jest trzecim najlepiej sprzedającym się lekiem na świecie. Przez rok – od stycznia 2023 r. do stycznia 2024 r. – akcje duńskiej firmy Novo Nordisk wzrosły od 65 do 114 dol. za akcję. W roku 2023 Ozempic przyniósł Duńczykom 13 mld dol. Kapitalizacja rynkowa firmy przekroczyła wartość PKB Danii. Sprzedaż Wegovy wyniosła ponad 31,3 mld koron duńskich, czyli ok. 4,5 mld dol.

Oprócz tych robiących wrażenie liczb i optymistycznych perspektyw wokół nowej generacji leków na odchudzanie powstają także obawy. Wymienia się skutki uboczne: problemy trzustki, zaburzenia smaku, reakcje alergiczne, problemy z nerkami. To na razie przypuszczenia, bo za wcześnie na zbadanie skutków długofalowych. W grudniu 2024 r. Novo Nordisk ogłosił, że nowy eksperymentalny lek przeciw otyłości, CagriSema, nie spełnił oczekiwań w badaniach fazy III, co spowodowało spadek wartości akcji o 29 proc. w ciągu jednego dnia.

Są też nadzieje: podobno te leki są dobre na serce, a nawet na zdolności poznawcze.

Jednak nie na poprawę zdolności poznawczych liczy świat. W naszej cywilizacji ponad wszystko liczy się ciało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl a6f11ff05f

SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

# Superfoods – najlepsze dla umysłu i ciała

Wśród promowanych przez znawców zdrowego odżywiania rozmaitych diet często spotykamy się z określeniem „superfood". Czym jest to superjedzenie i dlaczego warto włączyć je do swej diety? Prawdą jest, że aby zachować zdrowie, powinniśmy spożywać produkty jak najmniej przetworzone, a przy tym superodżywcze i wartościowe. Nazwę superfood wprowadził Aaron Moss, który opisał żywność organiczną jako taką, która ma nadzwyczajne właściwości i wpływa korzystnie na organizm człowieka.

Superfood jest doskonałym źródłem składników odżywczych, a oprócz tego witamin i minerałów, które doskonale wpływają na naszą kondycję fizyczną oraz pracę mózgu. Co zatem zalicza się do superzdrowej żywności? Na pewno nasz polski czosnek, siemię lniane, nasiona chia, czarnuszka, quinoa, awokado, buraki, orzechy włoskie, jagody goji. Lista jest o wiele dłuższa. Ważne, aby te produkty nie były przetworzone i aby nie miały chemicznych dodatków czy barwników oraz aby spożywać je każdego dnia regularnie. I tak np. siemię lniane, nasiona chia możemy dodawać do deserów, domowego pieczywa czy do ciast. Orzechy włoskie zajadać między posiłkami, jako wsparcie dla mózgu, natomiast migdały dla zdrowej i pięknej cery. Suszone owoce morwy białej pomogą nam uregulować poziom cukru we krwi. Śniadania warto wzbogacić o awokado, bo jest źródłem zdrowego tłuszczu, który doskonale wpływa na układ krwionośno-sercowy, wspiera pracę mózgu i poprawia wygląd cery i włosów. Awokado idealnie smakuje z jajkami, a żółtko to przecież istna bomba witaminowa. Zawarta w nich cholina tak samo jak orzechy wspiera pracę mózgu. Na deser polecamy gorzką czekoladę zawierającą minimum 80 proc. kakao, które zawiera polifenole mające działanie przeciwakrzepowe, zwiększające przepływ krwi do mózgu i wspierające pamięć.

Po kolacji powinniśmy przyjmować mielone nasiona ostropestu plamistego, który po całym dniu doskonale wpłynie na regenerację wątroby. Pamiętajmy jednak, aby stosować zrównoważoną dietę bogatą we wszystkie składniki odżywcze.

## Poranna siemianka kakaowa

• 250 ml mleka lub napoju roślinnego, np. mleko kokosowe • 1 duża łyżka kakao • 2 duże łyżki siemienia lnianego mielonego • 1 łyżka mielonych orzechów włoskich lub laskowych • 1 łyżeczka wiórków kokosowych • 1 łyżeczka cynamonu • 1 łyżeczka miodu lub ksylitolu (lub bez słodzika) • owoce do smaku: jagody goji, acai, maliny lub borówki

Mleko podgrzewamy w garnuszku, dodajemy kakao, wiórki, orzechy mielone, miód lub ksylitol. Cynamon delikatnie mieszamy, dodajemy siemię lniane i zagotowujemy od razu. Wyłączamy gaz, przelewamy do miseczki, odstawiamy do zagęszczenia, dekorujemy owocami. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

# Birdwatching dla debiutantów

W lesie dużo popiskiwań, dzięcioł stuka, tu i tam odzywają się sroki. Sójki wiją gniazdo na belce przy drzwiach wejściowych i już naznosiły masę patyków. Na czubku modrzewia dorocznym zwyczajem umieszcza się kos i stamtąd nadaje swoje piosenki.

Jednym słowem: wiosna. Dzień długi – nareszcie; o szóstej po południu można iść do lasu. Na spacer, co nadal aktualne, mimo że teraz praktykuje się kąpiele leśne, warsztaty leśne albo forest therapy. Większość ludzi jednak wciąż chodzi do lasu zwyczajnie, bo lubią drzewa, ciszę i śpiew ptaków, zwłaszcza jeśli rzecz odbywa się wiosną.

Czyli właśnie teraz. Mieszkam tuż obok sporego obszaru leśnego, którym jest Las Kabacki. Za każdym razem, kiedy idę znajomymi ścieżkami, jestem wdzięczna prezydentowi Starzyńskiemu za te 900 ha przyrody. I trzeba przyznać, że mimo narastającego oblężenia lasu przez mieszkańców Warszawy utrzymuje on formę. Oprócz sporadycznie rzucanych chustek do nosa i puszek przez amatorów napoju chmielowego Las Kabacki jest czysty.

Całą zimę przy śniadaniu obserwowaliśmy ruch przy czterech karmnikach zawieszonych na wprost dużego kuchennego okna. Oprócz licznych sikorek, dzięciołów, sójek i także kosów – bo nie wszystkie odleciały – na co nieco wpadały bażanty. Całe towarzystwo w zgodzie i harmonii konsumowało słonecznik, którego średnio w sezonie wychodzi 25-kilogramowy worek. W tym roku poszło mniej, bo śniegu mało, w ogóle zima marna, więc coś tam ptaki mogły sobie wydłubać z ziemi. Teraz czekam na szpaki, które zasiedlą budki, no i na majowe trele, zwłaszcza na wilgę. Słowika słyszałam tu tylko raz; brak mokrych zarośli, w których słowik czuje się najlepiej.

Jego śpiew jest nawet dla amatora łatwo rozpoznawalny: czuły, głęboki, o zmiennych tonach. Jako początkująca amatorka birdwatchingu wciąż marzę, że uda mi się nauczyć rozpoznawania innych ptaków i ich głosów. Nie można się tego nauczyć z You Tube, trzeba wstawać o czwartej rano, najlepiej gdzieś w lesie nad wodą.

Nasze pierwsze podejście do tej trudnej sztuki zakończyło się fiaskiem. Wybraliśmy się kiedyś z panem Bojańczykiem nad Biebrzę z nadzieją, że o poranku obudzą nas ptasie symfonie. Maj był wyjątkowo ciepły, na bagnach szalały komary i jak tylko wyszliśmy z hotelu, rzuciły się na nas desanty gryzących potworów. Potem zgubiliśmy się w lesie, gdzie para przypadkowych niemieckich turystów uratowała męża diabetyka przed niechybną śmiercią – ofiarowali kanapkę. – Reparacje wojenne – powiedział pan Bojańczyk. Poznawanie przyrody wymaga poświęceń. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

# Kampanijna fucha

Coraz mniejszą mądrością rządzony jest ten świat. I chyba się jakoś do tego wszyscy przyzwyczailiśmy. A podobno elity się sublimują, mędrcy najęci doradzają, o sztucznej inteligencji już nie wspominając. A rozumu na świecie coraz mniej, zwłaszcza w rządzeniu.

Kiedyś, mimo szalejących wojen religijnych czy ideologicznych, jakoś to wyglądało rozumniej. Byli jacyś królowie, choćby i nie najroztropniejsi, ale kwestia kontynuacji dynastii trzymała ich w jakichś karbach rozsądku. Teraz, przy kadencyjności zewnętrznego świata politycznego nieprzekraczającej ośmiu lat, trudno mówić o jakichś rozumnych posunięciach: jedni marzą o nachapaniu się w tak krótkim czasie, drudzy – o przedłużeniu swej kadencji, co popycha ich do schlebiania coraz to bardziej skołowanemu i niewymagającemu suwerenowi.

Patrzę na tę naszą kampanię prezydencką i oczom nie wierzę. Oba plemiona (zresztą jak zwykle) argumentują, że akurat te wybory są kluczowe, a zachowują się i prowadzą swoje sprawy w kampanii, jakby odwalały jakąś nielubianą fuchę. W końcu już nie wiadomo – mają ci tam oni po tych sztabach (płaconych głównie za publiczne) jakieś dokładne badania tzw. opinii publicznej, ale – widać – łatwiej urabiać takową, niż ją badać. A już tym bardziej łatwiej ściemniać, niż odpowiadać realnie na ludzkie potrzeby. Skoro można je, jak widać, kształtować, to odpada męka z jakimiś zachciankami ludu, które trzeba z mozołem realizować. Zresztą postpolityka – od kiedy wprowadziła zasadę nierozliczania z obietnic wyborczych, byleby spełnić jedyną prawdziwą, czyli pogrześć przeciwnika – pozwala bezkarnie naobiecywać ile wlezie.

No właśnie – w końcu nie wiadomo, czy poziom polityki, a zwłaszcza debaty, jest tak niski, bo odbiorcy, czyli wyborcy, wyższego nie wymagają, czy to politycy kształtują swym stylem tak niskie wymagania wyborców co do nich. Ale nieważne to jest, kto kogo indukuje i czym. Ważne, że tak wielka okazja, jaką jest kampania na pierwszego człowieka III RP, sprowadza się do miałkiego pitolenia na wiecach, udawania, że prezydent jest superpremierem, który obniży ceny żywności i prądu, zharmonizuje podatki i obroni nas puklerzem z dachu Pałacu Namiestnikowskiego.

Taki Trump zdefiniował w kampanii główne problemy swoich rodaków, przyrzekł ich rozwiązanie i zaczyna dowozić to, co obiecał. U nas też tak zrobiono, z jednym wyjątkiem: można się spodziewać, że sprawy dowiezione nie zostaną, wszak chodzi, przynajmniej w Polsce, by o nich tylko pogadać. Będzie jak u Dyzmy: „Rząd zrobi, jak będzie chciał, a co będzie dalej – sami zobaczycie”. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

# Sabotaż iluzjonisty

Przeniesienie rozrywki do on-line sprawia, że iluzjoniści tracą publiczność. Dostępność nowych technologii, łatwość montażu filmów na smartfonie, sztuczna inteligencja otworzyły pole do nieograniczonej kreacji scen, wobec których bledną sztuczki najzdolniejszych magików. Czy grozi nam, że ta trudna sztuka podzieli los takich profesji jak praczka, kołodziej, gazeciarz? Czy króliki z kapelusza, znikanie przedmiotów, przecinanie kobiety w pół na oczach przerażonej publiczności to już przeszłość? Dla wielbicieli tej sztuki mam dobrą wiadomość.

W Polsce mamy jeszcze możliwość obserwować show z udziałem niezwykłego prestidigitatora. Jeżeli jedną z najważniejszych umiejętności magika było czarowanie widzów czynnością jednej ręki koncentrującej ich uwagę, gdy tymczasem druga wykonywała właściwą manipulację (rozumianą dosłownie) pod osłoną, to takim artystą jest Donald Tusk. Ciągłe odwracanie uwagi, przykrywanie kłopotliwych faktów wymyślanymi ad hoc spektaklami, demonstracyjne aresztowania posłów opozycji, poszukiwanie fragmentów Tu-154 w piwnicy, rewizja u opozycjonisty Ryszarda Majdzika, agresywne, prowokacyjne wrzutki na platformie X, a wszystko najczęściej wymierzone w obecną opozycję (choć bywa, że nieraz i w koalicjantów), stały się właściwie jedyną zauważalną metodą rządzenia. Tymczasem trwa rozkład sądownictwa i prokuratury. Strategiczne inwestycje ugrzęzły na dobre, przez zachodnią granicę przywożeni są migranci, pod siedzibą Bumar Łabędy związkowcy, w akcie desperacji, palą opony… I można by mnożyć tę wyliczankę. Ale po co się jeszcze bardziej dołować?

Najbardziej ponure w tym pokazie prestidigitatora jest to, że ten show rozgrywa się w sytuacji, gdy jako państwo i jako region stoimy wobec bardzo poważnego zagrożenia. Mamy już mało czasu, by się pozbierać i wdrożyć budowę silnej armii, a także zorganizować – najlepiej, jak się da – społeczeństwo w zakresie obrony cywilnej. Paradoksalnie uświadomienie Polakom realności zagrożenia nie musi wywoływać ani paniki, ani depresji czy rezygnacji. Modernizacja systemu bezpieczeństwa państwa może właśnie być czynnikiem odbudowywania ducha wspólnoty, niwelującym polityczne i światopoglądowe podziały.

Niestety, błazenada iluzjonisty jest nie tylko aktem skrajnej nieodpowiedzialności. To samobójcza gra na pogłębianie podziałów. Polska traci szanse na odbudowę obywatelskiego ducha, a my tracimy cenny czas, by się przygotować na najgorsze. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

# Dobrze, że swoich przywiózł

Jakże piękne i zaskakujące bywają spotkania polityków z ludem polskim. Stop. Szymon Hołownia, czyli szczątkowy kandydat na prezydenta, odwiedził rodzinny Białystok w ramach rytualnego lansu czy tam kampanii. Stop. Powstał z tego filmik szczery, na którym jeden z tubylców chwali rotacyjnego słowami: „Dobrze, że marszałek trochę swoich przywiózł, bo by nie było z kim rozmawiać". Stop. Sprawiedliwie przyznać należy, że po werbalnym sierpie na brodę Hołownia ustał, aczkolwiek nadawał się do liczenia. Stop.

Tusk zrobił sobie selfie na Stadionie Narodowym w czasie meczu Polska – Malta. Stop. Napisał na portalu X, że on był tam „incognito wśród zwykłych kibiców". Stop. Kibice natychmiast doprecyzowali na podstawie fotki, że był w strefie VIP Gold, na którą bilet kosztuje prawie 2 tys. zł. Stop. Dobra tam, mniejsza z tym, szkoda, że spiker nie poinformował kibiców, iż na stadionie jest premier, gdyż mają oni na cześć Donalda gotową pieśń o tym, jak ma on niejaką Tolę, i zapewne (jak ich znam) chętnie by zaśpiewali.

Michał Kamiński, wyrzucony z Platformy Obywatelskiej w 2016 r., a obecnie będący z Platformą w sojuszu jako członek klubu poselskiego PSL, nie oszczędza swojego starego ugrupowania i nie gryzie się w język, co świadczyć może o zaleganiu afektu. Stop. O Donaldzie Tusku powiedział, że jest największym obciążeniem Koalicji Obywatelskiej, ale to jeszcze nic, bo lepsze jest to, co rzekł o Marcinie Kierwińskim. Stop. Cytuję: „Nie słuchałem się Marcina Kierwińskiego i nikomu nie radzę, bo to nic mądrego". Stop. Niełatwo tu o polemikę.

Roman Giertych (ciągle na wolności) umieścił na portalu X następujący wpis: „Dzisiaj Ziobro nazwał mnie bydlakiem, psychopatą i człowiekiem całkowicie zdemoralizowanym". Stop. Ponieważ sam pan mecenas nie raczył tego skomentować, ja, z ostrożności procesowej, pozwolę zostawić sobie ten wpis także sauté. Stop.

Jak donoszą media, za rządów Tuska niemiecka policja może podobno wjeżdżać na teren Polski i legitymować Polaków. Stop. Napisałem podobno, bo mnie Niemcy jeszcze nie legitymowali, niemniej w przypadku rozkazu znanego nam z filmów o hitlerowcach „Ausweiss bitte" doradzam odpowiedzieć Niemcowi: „Co ci jest?". Stop. Być może zakończy to niefortunne spotkanie z niechcianymi gośćmi. Stop.

Na koniec ćwiczenie z mediów, które ja oblałem. Stop. Uwaga: „Były mąż Dody spotyka się z byłą dziewczyną byłego męża aktualnej żony pierwszego męża Doroty Rabczewskiej". Jeżeli ktoś potrafiłby mi to wyjaśnić czy rozrysować, to będę zobowiązany. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

# Sny o mocarstwie

Coraz dziwniejsze oświadczenia zaczynają wygłaszać polscy politycy. Szymon Hołownia ogłosił niedawno dziennikarzom, że Polska musi obecnie „jasno definiować się" jako „regionalne mocarstwo Europy Północnej". Nie jest to jedyna część świata, w której, zdaniem płaczliwego polityka, rozdawać musimy karty. „Bardzo wiele lat byliśmy przywiązani do tego konceptu bycia liderem Europy Wschodniej, dzisiaj musimy powiedzieć: jesteśmy jednym ze współliderów Europy Północnej" – powiedział marszałek Sejmu przed swoją wizytą na Litwie. I dodał: „Jadę tam jasno powiedzieć naszym przyjaciołom z państw bałtyckich: jesteśmy z wami. Jesteśmy z wami, będziemy z wami. Mam nadzieję, że nikt nas nie będzie atakować, ale jesteśmy z wami po to, żeby razem się bronić, razem budować".

Bardzo podobnymi planami podzielił się niedawno ekskról Europy, Donald Tusk. On także zwrócił swoje spojrzenie w stronę północnych miraży. Na odbywającym się w szwedzkiej rezydencji Harpsund szczycie państw nordyckich (Szwecja, Norwegia, Dania, Finlandia i Islandia) oraz bałtyckich (Litwa, Łotwa i Estonia) polski premier wystąpił w roli specjalnego gościa. Wezwał tam gospodarzy do wykazania odwagi i wiary we własne siły. „Porównajmy nasz potencjał z potencjałem Rosji. Nie ma powodu, żebyśmy się bali i myśleli o kapitulacji albo żebyśmy nie wspierali Ukrainy w tym konflikcie. Są to tylko powody natury psychologicznej" – upewniał lękliwych Skandynawów Tusk. I dodał: „Europa i NATO muszą wzmocnić swoje działania i być przygotowane na ewentualne zastąpienie Stanów Zjednoczonych w pewnym zakresie […]. Należy to traktować jako szansę, a nie jako zagrożenie".

Wzięcie pod polską protekcję koalicji państw nordyckich może, przy odrobinie szczęścia, stać się pomysłem zbawiennym. Będziemy tylko musieli zagwarantować granice Danii. Pretensje do duńskiego terytorium – a takim jest Grenlandia – zgłaszały ostatnio Stany Zjednoczone Ameryki. Obrona Grenlandii przed Trumpem jest, co oczywiste, nad siły świeżo upieczonego mocarstwa Europy Północnej i skończy się honorową kapitulacją polskiego korpusu ekspedycyjnego. Rządząca Polską ekipa poczuje się wtedy zmuszona do spakowania zakupionych w Biedronce plecaczków ucieczkowych, o których, w przypływie szczerości, wspomniał minister Kosiniak-Kamysz. Jedyna droga ucieczki wieść będzie na południe – do Turcji, gdzie emigracyjny rząd Tuska poczuje się jak w domu. Jeśli w wyniku tej hecy znajdziemy się pod okupacją Amerykanów, to snucie mocarstwowych urojeń rzeczywiście okaże się szansą. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

# Sacrum i rewolucja 2.0

W opublikowanej ponad 30 lat temu znakomitej książce „Sacrum i rewolucja" prof. Andrzej Chwalba poddał wnikliwej analizie dyskurs polityczny oraz symbolikę używaną przez polskich socjalistów na przełomie wieków XIX i XX. Wynikiem tych badań była konstatacja, że rodzimy obóz rewolucji (aczkolwiek dążący do socjalizmu przez konieczny etap pośredni w postaci niepodległej i demokratycznej Polski) nie odżegnywał się od frazeologii oraz symboli wprost odwołujących się do katolickiej tradycji. Nieraz zdarzało się, że na czerwonych sztandarach z jednej strony były cytaty z Manifestu Komunistycznego (albo podobne frazy), a na drugiej wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Temat „sacrum i rewolucja" powinien być wdzięcznym zagadnieniem także dla badaczy współczesnej odmiany tego zjawiska. A materiału źródłowego nie brakuje. Ostatnio np. pani poseł Barbara Nowacka, kierująca pracami Ministerstwa Edukacji Narodowej, a jednocześnie jedna z pierwszoplanowych postaci rewolucji narzucanej odgórnie w obszarze edukacji i wychowania dzieci oraz młodzieży, stwierdziła w jednym z wywiadów: „Sacrum śmierci nie powinno być naruszane i brutalizowane przez polityka".

Pomijając „szczegół", że słowa te, które padły w kontekście piętnowania przez minister Nowacką polityków PiS domagających się wyjaśnienia okoliczności przesłuchania śp. Barbary Skrzypek, wypowiedziała osoba związana z obozem politycznym, który regularnie budował kapitał polityczny i społeczny na tragicznych zgonach osób znanych w przestrzeni publicznej (Blida, Szczęsny, Adamowicz), warto zwrócić uwagę na to, że pani minister rewolucjonistka używa słowa „sacrum". Nie „powaga", „majestat" czy „godność", ale „sacrum" właśnie. To bardzo znamienne nieprzejęzyczenie. Zwłaszcza że słowo to pojawia się w ustach działaczki politycznej od lat mocno zaangażowanej w forsowanie zasady „rozdziału Kościoła od państwa" oraz w promowanie „neutralności światopoglądowej państwa" rozumianej w sposób, który w 1991 r. bezbłędnie rozszyfrował św. Jan Paweł II jako dążenie do tego, „ażeby do życia społecznego i państwowego w żaden sposób nie dopuszczać wymiaru świętości"; świętości, czyli sacrum.

**Wzdragająca się przed „brutalizowaniem sacrum śmierci" minister Nowacka gorąco wspierała marsze spod znaku czerwonego pioruna**

Zatroskana o uszanowanie „sacrum śmierci" minister Nowacka ma natomiast spore kłopoty z uszanowaniem sacrum życia ludzkiego; zwłaszcza życia tych, którzy powinni być przedmiotem zainteresowania wrażliwej społecznie lewicy, czyli osób najsłabszych, którym grozi radykalne wykluczenie z możliwości korzystania ze wszystkich dóbr tego świata poprzez pozbawienie ich życia w wyniku tzw. aborcji.

Wzdragająca się przed „brutalizowaniem sacrum śmierci" minister Nowacka – jak cały empatyczny obóz „uśmiechniętej Polski" – gorąco wspierała agresywne marsze spod znaku czerwonego pioruna i ani słowem nie protestowała, gdy bojówki walczące o „reprodukcyjne prawa kobiet" i „świeckie państwo" napadały na kościoły, przerywając nabożeństwa, malowały bluźniercze napisy na murach świątyń, ścinały przydrożne krzyże, rąbały siekierami ołtarze, biły duchownych. Najwyraźniej nie był to przejaw żadnej brutalizacji, ale konieczny etap rewolucyjnych przemian. Muszą one dotknąć wszystkich, także uczniów, których minister Nowacka chce poddać „edukacji zdrowotnej". Jej pierwszą ofiarą padnie sacrum dziecięcej delikatności. I niech rodzice nie powołują się na prawo wychowania dzieci wedle wyznawanego przez siebie systemu wartości! Od czasów jakobińskich promotorów „rządów cnoty" wiadomo, że „dzieci należą do rewolucji" (Danton).

W ramach walki z brutalizacją – już nie tylko „sacrum śmierci", lecz także całej sfery publicznej – obóz rewolucji dopilnuje, by w Internecie nie było „mowy nienawiści", a w wyborach nie startowali kandydaci, których obecność budzi podejrzenie „obcej ingerencji w proces wyborczy". Oczywiście pilnowanie, by brutalizacja nie wdarła się do naszej polityki, wymaga pewnych nakładów finansowych, które zapewnią przyjaciele „społeczeństwa otwartego" z rozmaitych fundacji i funduszów. Tak żeby nikt nie miał wątpliwości, że jakieś obce czynniki ingerują w nasz proces wyborczy i demokratyczne państwo prawa okresu przejściowego. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

# RASISTA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

*Wojciech Cejrowski korespondencja z USA*

Nielegalna imigracja. Gadają o niej kandydaci, a naród się cieszy, gdy polityk chce nielegalną imigrację zatrzymać. Moim zdaniem dużo groźniejsza jest imigracja legalna. Nielegalna jest mała, legalna jest ogromna. Pakistańcy, Bangladesze, Gruzini, Kolumbijczycy, masa Wietnamczyków (których wpuszcza się od tak dawna, że mają już teraz dzieci urodzone w Polsce, które chodzą na studia). A w Płocku jest całe osiedle kontenerowe dla muzułmanów w kapciach – sprowadzono ich do roboty przy rozbudowie Petrochemii. Największą liczbę imigrantów legalnych sprowadził do Polski PiS, który jednocześnie w słowach i hasłach wyborczych przeciwstawia się imigracji, ale… tylko tej nielegalnej.

W ubiegłym roku w Warszawie było ponad 500 przypadków walk gangów gruzińskich. Imigranci z krajów Trzeciego Świata zalewają Polskę. W 2023 r. nastąpił olbrzymi wzrost liczby Kolumbijczyków (215 proc.), Nepalczyków (110 proc.). Ogółem w poprzednim roku w ZUS zarejestrowanych było 1,1 mln cudzoziemców, z czego 328 tys. to obywatele krajów spoza Unii Europejskiej, niebędący obywatelami Ukrainy. Większość imigrantów stanowią mężczyźni (670 tys.). Co to oznacza? Gwałty na polskich kobietach oraz mieszane małżeństwa prowadzące do nadawania obywatelstwa obcym rasowo i kulturowo mężczyznom, którzy ożenili się z Polkami.

***

W rozmowach na takie tematy proszę się nie bać oskarżeń o uprzedzenia. Uprzedzenia rasowe i kulturowe są dobre – porządkują świat oraz są jak najbardziej prawidłowym odruchem wobec czegoś, co jest nam nieznane, a może być niebezpieczne. Przykład: wchodzimy do wioski i wybiegają na nas psy. Zanim człowiek się uspokoi i zacznie głaskać, powinien mieć uprzedzenia wobec tych psów, czyli być ostrożny i SPRAWDZIĆ, z czym ma do czynienia.

Podobnie w złej dzielnicy Londynu, Sztokholmu czy Nowego Jorku – gdy idzie na nas grupa o innym kolorze skóry niż nasz, warto się wtedy wykazać uprzedzeniami, czyli zaniepokojoną rezerwą, bo to postawa ostrożna; bardziej bezpieczna niż beztroskie podejście do świata „wszyscy są tacy sami, kochajmy się". Zdecydowanie nie wszyscy są tacy sami – różnice kulturowe istnieją obiektywnie, a dowodem w tej sprawie był afrykański inżynier robiący kupę do stawu w Katowicach. W tym przypadku różnica kulturowa polega na tym, że oni tam u siebie nadal robią kupę do rzeki i nie mają z tym problemu. A my się od nich różnimy kulturowo i nasza kultura jest zdecydowanie WYŻSZA od tamtej kultury. Gdybyśmy uważali inaczej, to wszyscy robilibyśmy kupę do tego stawu razem z Panem Inżynierem z Senegalu.

***

– Panie Cejrowski, pan jesteś rasista.

– Według obecnie obowiązujących lewicowych definicji raczej tak, jestem.

– Pan nie lubisz Murzynów.

– Osobiście znam tylko dwóch i tych lubię, ale reszta… jest mi obca kulturowo i nie odpowiada mi estetycznie, więc owszem: nie lubię Murzynów. Nie angażuję się w aktywne nielubienie, po prostu raczej unikam. Podobnie jak z rosołem – nie lubię, to unikam. Nie robię nagonki na rosół, po prostu nie lubię.

– A ciapatych pan lubi?

– Ciapatych się boję, że nam zaczną w Europie podrzynać gardła. Robili to już wcześniej, zanim ich pogoniliśmy w czasach wypraw krzyżowych, potem znów odzyskali siły i wyrzynali chrześcijan oraz brali w niewolę. Dopiero Amerykanie ich pokonali, przysyłając na Morze Śródziemne flotę Jeffersona – dwie wojny berberyjskie na początku XIX w. No a dziś znów muzułmany próbują zawładnąć Europą. Nie da się lubić kogoś, kogo człowiek się boi. Odbieram ich jako zagrożenie.

– Tak nie wolno, panie Cejrowski, prawo zabrania mowy nienawiści oraz rasizmu.

– W porządku, ale prawo jednocześnie nie mówi nic na ten temat, w jaki sposób ja miałbym polubić kogoś, kogo nie lubię. Zabrania niechęci do Murzynów, no ale to tak, jakby ktoś zabraniał niechęci do upałów lub do zimna. Co ja mam zrobić konkretnie, aby się wywiązać z zakazu nielubienia? Mam zacząć kłamać, że ich lubię? Prawo, które zmusza do rzeczy niewykonalnej, jest nieważne.

– Przecież Murzyni to tacy sami ludzie jak my.

– Nieprawda. Są czarni, a ja jestem biały i to widać z daleka.

– W sensie istoty ludzkiej są tacy sami.

– Bzdury! Kościół katolicki uczy, że każdy z nas jest zupełnie inny od wszystkich pozostałych. Każdy człowiek jest unikatowy. To marksiści uczą o masach ludzkich, a chrześcijaństwo uczy o indywidualizmach. Więc ja nie jestem taki sam jak Murzyn ani nawet Murzyn nie jest taki sam jak wszyscy inni Murzyni.

– Kogoś jeszcze pan nie lubi?

– Powody są odmienne w każdym przypadku, ale poza Murzynami i ciapatymi nie lubię Niemców, Ruskich, Ukraińców, Chińczyków i ogólnie Azjatów.

– Jest pan obrzydliwym popaprańcem.

– Wolno panu tak uważać i ja świetnie rozumiem powody, tylko… co z tego, że jestem popaprańcem?

– Nie lubię pana.

– No to teraz pan jest rasistą, bo mnie pan nie lubi z powodu moich uprzedzeń rasowych.

***

Białych ludzi jest najmniej ze wszystkich ras. Stanowimy mniejszość mocno zagrożoną wymarciem (lub wybiciem). Powinniśmy być chronieni, a jest na odwrót. Biały człowiek i jego dorobek są tępieni. Stworzyliśmy cywilizację przemysłową, a potem elektroniczną. Ustanowiliśmy prawa człowieka, których w kulturach niechrześcijańskich, czyli barbarzyńskich, nie było. Reszta świata wzoruje się teraz na naszym dorobku, a jednocześnie nami gardzi i nas zwalcza.

Co robić, skoro mamy w Polsce masę legalnych i nielegalnych imigrantów, którzy gardzą nami, naszą kulturą i naszym dorobkiem? Masowe deportacje to nie jest wynalazek Trumpa. Masowe deportacje w milionach ludzi realizowali prezydenci Roosevelt, Truman, Eisenhower. Obama deportował 3 mln nielegalnych. ©℗



eprasa.pl a6f11ff05f

**Uwaga: nowe ceny na rok 2025**

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

**W PREZENCIE**

## KSIĄŻKI

GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI: „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE", KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ"

**ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

~~593~~ ZŁ

**274,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 319ZŁ**

**CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?**

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a6f11ff05f

HISTORIA DO RZECZY

# NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

## JAK BOLESŁAW CHROBRY ZDOBYŁ KORONĘ

**1000. rocznica pierwszej koronacji** – status królestwa dla Polski oznaczał komplikacje dla niemieckich planów

**Tajemnice gen. von Seydlitza** – oficer Wehrmachtu po dostaniu się do niewoli zaczął służyć Sowietom w najgorszym możliwym stylu

**Chiński „twórca królów"** – obrotny kupiec zainwestował w banitę pochodzącego z królewskiego rodu. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania

**Moskale porywają biskupa** – Kajetan Sołtyk dał się uwikłać w perfidną grę przeciw Stanisławowi Augustowi. Gdy przejrzał na oczy, Rosjanie postanowili go ukarać

**Zabójcze „żyjątka"** – Medycy bardzo późno zrozumieli, że zwykłe mycie rąk i narzędzi chirurgicznych może uratować niezliczone istnienia

## I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a6f11ff05f